STARE GAWĘDY

I

OBRAZY

NAPISAŁ

Kazimiérz Władysław Wójcicki.

TOM III.

WARSZAWA,
Nakładem Gustawa Sennewalda Księgarza
przy Ulicy Miodowéj Nro 481.

1840.

W DRUKARNI MAXYM: CHMIELEWSKIEGO.

Stare
GAWĘDY I OBRAZY.

STARE
GAWĘDY I OBRAZY

NAPISAŁ

KAZIMIÉRZ WŁADYSŁAW WÓJCICKI.

TOM III.

„I oni w grzechach na ziemi tu żyli,
„Po falach czasu przemknęli po cichu:
„Wrzały ich głowy chwilę; i po chwili,
„Głucho, i pusto,—ni śladu, ni słychu.“

* * *

WARSZAWA,
NAKŁADEM GUSTAWA SENNEWALDA KSIĘGARZA
PRZY ULICY MIODOWÉJ NRO 481.

1840.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

W DRUKARNI MAXYMILIJANA CHMIELEWSKIEGO.

I.

DOBOSZ.

„Oj! po pid haj zełenéńki:
Chodyt *Dobosz* mołodcéńki,
Topircem sia pidpiraje,
Taj, na chłopci pokłykaje."

Pieśń ludu o Doboszu.

OBRAZ HISTORYCZNY

Z PODAŃ I PIEŚNI LUDU.

I.

Było to dnia 4 Października, roku pańskiego 1741. Chmury miesiąc zaciemniły, gdzie niegdzie gwiazdka jaśniała, wiatr poświstywał, i wznosił tumany piasku na szerokim gościńcu. Szumiały gęstym liściem rosochate lipy z wierzchołkami wieńcowemi, ocieniając dworzec szlachecki, którego ściany jak zaspa śniegu bieliły pomiędzy zielonym liściem lipy, żółtawéj topoli, wierzby, z których już liść zlatywał, i kilku smereków zdobiących niewielki podworzec.

Choć szum wiatru był silny, już od bramy i parkanu wchodzący słyszeli gwar przy-

tłumiony; zlewało się kilka głosów, a jeden był wydatniéjszy, gruby, przeciągły, mocny, znać pana, co rozkazywał domownikom i czeladzi. Przed samym gankiem, stały trzy brockie bryki, dwie pakowne, a na trzecią ładowano z pośpiechem sprzęty. W jedném oknie tylko od sieni, błyskało słabe światełko latarni, reszta okien pokryta skutemi w żelazo okiennicami. Na twarzy domowników znać trwogę: stali rzędem podstarości, dwóch karbowych; kilku czeladzi znosiło na brykę tłomoki i kufry.

Aż w trzeciéj izbie od sieni, stał pan domu przy łożu choréj małżonki, lampka jeno oświécała tę sypialnią.

—Już jedziesz Jędrzeju? odezwał się głos słaby, niewieści z łoża.

—Odjeżdżam! zabrzmiały słowa w odpowiedzi pana domu: odjeżdżam zaraz, bo on prędko przybędzie: niech go przyjmą najuprzejmiéj, wydałem już polecenie gospodyni; ty się droga Rozalio nie martw', nie będzie się mścił nad bezbronną niewiastą, po-

lecam cię Bogu i Jego świętéj opiece. Gdybym się został, zmazałby pewnie góralską siekierę we krwi mojéj, chociaż Bóg widzi, żem mu nigdy drogi nie zachodził.

Tu upadł na kolana, modlił się krótko, lecz szczerze, i z wymówionem *Amen* powstał, ucałował chorą małżonkę i wyszedł prędkim krokiem do sieni. Gdy mu ukłon oddawał podstarości, i karbowi: «*Zrobić wszystko, jak kazałem,*» wyrzekł surowo, siadł do piérwszéj bryki, a gdy woźnica biczem znak krzyża przed końmi zrobiwszy, dosiadł kozła; zaturkotały koła trzech bryk ciężkich, i prędko z przed oczu patrzących zniknęły.

—Trzeba i o sobie pomyśleć (*rzekł gajowy z obawą*), pan z domu ucieka daleko, my mamy bór blizko, to nogi zapas i wnogi.

—Ja nie głupim uciekać, bo gorzéj byłoby, jakby złapali na drodze, daliby dopiéro kwaśnego bigosu skosztować.

—A to czemu? zapytał z większą bojaźnią piérwszy.

—Dla czego? to oczewista, sądziliby że

biegniesz, by sprowadzić na nich towarzyszów, a tak, prędko porachowałbym, gruszki na wierzbie.

—Róbta jak się wam podoba (*wyrzekł sędziwy podstarości*), ja się z miejsca nie ruszę: nie taki on okrutny, jak gadają ludzie, nie raz chudzinę zapomógł. A wreszcie, cóż się ma mscić nad siwemi włosami, i biédną panią, co w niemocy leży. Uciekajta tchórze! ale nikt nie powie, że stary Junosza odbiegł ze strachu dobréj pani wtedy, gdy mu pan, dozór nad całym domem i panią, opiece troskliwéj powierzył.

Ledwie tych słów domówił, usłyszano świstanie, nie długo przybiegł chłopak wybladły z przestrachu: «*Już idą! już idą!*» zawołał drżącym i cichym głosem, i pobiegł na poddasze do znajoméj kryjówki: za nim pospieszył, bojaźliwy gajowy.

Zawyły psy na podwórzu, a z poświstem wiatru, dochodziły coraz bliżéj słowa znanéj piosnki rozbójników.

Na wysokoj połonyńci y zrodiły rižki:
Ta, cy pidem pane brate, na wesni w Opryszki?
A wrobimo topirczyki, ta zsamoji stały:
Ta, ne kłyczmy my nikoho, pidemo my samy?
A wrobimo topirczyki, ta z samoji midy,
Jak naskoczym u wikońci, ta zaznajem bidy. (a)

Podstarości wyjął z zanadrza szkaplerz z relikwiją, pocałował go ze łzami, a żegnając drżącego karbowego wyrzekł:

— Jeżeli Bóg da wyjść cało, nie zapomnę Waszeci, żeś mię nie odstąpił w takiéj godzinie!

I zaraz porwał latarnią, i wyszedł na ganek. Do sześćdziesięciu Opryszków stało na podwórzu zbrojnych. Jeden wyższy nad wszystkich głową, szedł na przód, i właśnie gdy wstępował na schody podniesionego ganku, spotkał starego Junoszę, który zdjąwszy czapkę, uścisnął mu kolana, i przyświécał w pomroku. Ten hołd starca, podobał się zbójcy: dał znak swoim żeby się zatrzymali, a dobywszy pistoletu z zapasa, w którym dwie pary jaśniały bogato nabijane srebrem, i od-

wiodłszy kurek, wszedł sam za przyświécającym Junoszą.

W sieni brwi zmarszczył, ujrzawszy wysokiego karbowego, i już wziął go na cel, gdy Podstarości wyrzekł, że to jest domownik i pomocnik jego. Uśmiechnął się. *Dobosz*, gdy ten nizki mu oddał pokłon, i wszedł do piérwszéj komnaty.

Stół już był nakryty, zastawiony wódkami, miodem, wędlinami i nabiałem. Gospodyni, zostawiona przez pana domu, chyżo się krzątała, a dwie dziéwki wkrótce przyniosły ogromne baranie pieczenie, świeżo z rożna zdjęte, i upieczoną na węglach świeżą kukurydzę.

Spojrzał z radością Dobosz na te przysmaki Górali-Rusi, a zdziwiony uprzejmością, wesoło rzekł do gospodyni, głaskając pod brodę.

—«*Dobre! dobre! na majesz za to!* i odjąwszy z kapelusza sznurek, na który nawlekał zdobyte złoto, zsunął trzy sztuki, i darował już daleko spokojniéjszéj niewieście.»

—«*A de wasza Pani?*»

Gospodyni wskazała sypialnią, a Opryszek zostawiwszy przy stole swoich towarzyszów, wszedł sam z gospodynią.

—Pani Karpińska, była blizką rozwiązania. Poznał stan cierpiącéj, a uchyliwszy kapelusza:

— *Ne bijte sia pani*, *my wam żadnéj szkody ne zrobimo!* rzekł i na palcach z cicha idąc, powrócił do swoich.

Gospodyni została: wkrótce pani powiła syna. Był to on sławny późniéj *śpiewak-poeta*, *Frańciszek Karpiński.* Płacz tego niemowlęcia, zwiastun jego przyjścia, mięszał się z nutą zbójeckiéj pieśni, bo rozochoceni Opryszki i podpili, piosnką radość ogłaszali, jakby witając urodzenie wieszcza (b).

Dobosz uwiadomiony o urodzonym synu, za zdrowie jego spełnił szklankę okowity, i prosił matki, aby na pamiątkę, dziecię jego imieniem nazwała. Przyrzekła mu wtedy z bojaźni, ale pobożna niewiasta, wolała grzech złamanego słowa przyjąć na sumienie, niżeli

dziecię ulubione, imieniem *Aleksego* nazywać, tém imieniem, które nosił straszny i groźny, w okolicy zbójca.

We dwadzieścia lat późniéj, taż sama gospodyni, uczyła wnuczęta swoje ulubionéj piosnki:

Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory:
Tam ja z moją Justyną,
Słodkie pędził wieczory: (c)

którą młody panicz, jak nazywała, napisał, a ma on głowę nie lada.

* * *

II.

Na gołéj skale, śnieg w bryle leżał, a na niéj orzeł, szerokim dziobem, i ostremi szponami, roździerał zdobycz złowioną. Na nagiéj skale poniżéj trochę, na mchu zielonym stał Góral: wzrok przenikliwy puścił na dro-

gę stromą, wązką, i krętą, co szła od strony Węgierskiéj. Tak stał spokojnie, że kto na niego spojrzał z dala, nie widział człeka, lecz raczéj drzewo.

Zdala w zakręcie coś zamignęło; Góral dotąd nieruchomy, skrył się nagle po za bukiem. Czy to nagłe poruszenie, czy łoskot broni co miał przy sobie, zestraszył orła ze skały. Zaszumiał szerokiém skrzydłem, i tak prześpiewał w polocie.

«Za tém drzewem siedzi zbójca, chciwém okiém patrzy wciąż: czy nie zoczy podróżnego, by mu zdarł bogaty trzos. Po za pasem błyszczy srebro, co utaja broń straszliwą. Nie ulecę jeszcze tyle, by nie doszedł mój tu głos, a podróżny zubożony, na kolanach będzie błagał, by mu życie choć darował.»

* *

Radość na twarzy Dobosza, malowała się widocznie, bo ukryty po za bukiem, widzi dobrze choć z daleka, że bogatą zdobycz schwyci. Na małych koniach, jechało kilku, nie zrachował jeszcze wszystkich, bo mu ska-

ła zasłaniała, ale po ubiorze poznał, że cały orszak podróżnych, musi mieć napchane trzosy, jechali bowiem Ormijanie.

Nie miał przy sobie więcéj, jak jednego towarzysza, a podróżnych już naliczył dwudziestu i czterech. Swisnął z cicha, a Opryszek zaraz stanął przy swym panu. Dobosz mu szepnął słów kilka w ucho, i prędko zsuwa się ze skały. Na tém miejscu gdzie wódz stojał, stanął jego wierny drużba, a obejrzawszy strzelbę, podsypał świeżego prochu, i długą lufę skierował na orszak podróżnych.

Nie wiedząc co im zagraża, jadą *gęsiego* Ormijanie (d), jeden za drugim po wązkiéj ścieżce. Nagle z za skały wyskakuje góral, i mocnym głosem zawoła: »*Dobosz! Dobosz!*« powtórzył to hasło drugi z wierzchołka skały, a przelękli wędrownicy ujrzeli z przestrachem, jak góral olbrzymi z wysoka, wziął na cel wszystkich. Dobosz nie czekał ni chwili, dobył z za pasa pistoletu, odwiódł kurek, i piérwszemu przyłożył do piersi. Zeskoczył

z konia Ormijanin, chciał prosić, lecz gdy spotkał wzrok Dobosza, spuścił oczy, zamknął usta, i z pod płaszcza podróżnego, odpiął łosi trzos ładowny, gdzie brząkało samo złoto.

Dwudziestu trzech towarzyszów zsiadło z koni, przejęci strachem, i jak stado kuropatw, przed polotem jastrzębia, zwiesili głowy na piérsi, i opuścili bezbronne ręce.

Każdy z Ormijan, widział prosto w serce wymierzoną lufę karabina Opryszka, stojącego na wysokiéj skale: każdemu w uszach brzmiała, groźna *Dobosza* nazwa: a sam Dobosz, jakby haracz dobrowolny, do każdego przystępując, odbiérał trzosy bogate, i rzucał na wielki kamień, co stérczał przy drodze. Odarci Ormijanie, złupieni, na małéj polance stanęli razem, czekając na nowy rozkaz zbójcy: ale Dobosz kiwnął ręką tylko, dając pozwolenie do odjazdu.

Zrozumieli ten znak niemy: radość ożywiła ich serca, dosiedli koni, i na szerszéj drodze, sporym puścili się kłusem. Już opu-

ścili wysokie góry i ciemne lasy, a chociaż ujrzeli wsie rozsiane w dolinie nad Prutem, pędzili jeszcze z pośpiechem i strachem, bo każdy (jak późniéj mówili), czuł oparty koniec lufy karabina, onego ze skały Opryszka, na własnym karku.

IIII.

W pobliżu Bolechowa (e), stoi dotąd cerkiew' mała, okolona smerekami, a stoi na skale wysokiéj. Obok cerkwi, w skromnym domku, mieszkał ruski Pop sędziwy. Słońce było na zachodzie, właśnie stał przy świętéj cerkwi, i poglądał to na miasto jak na dłoni, to na rzekę by zwierciadło, co w zakrętach przerzyna zielone łąki i złociste pola. I tak stał w zadumie, że nie usłyszał nawet, jak z sąsiedniego lasu, sporym krokiem zbliżył się do niego Opryszek. Dopiéro, gdy uczuł dłoń żylastą, wspartą na swojém

ramieniu, odwrócił głowę, i po stroju i obliczu, poznał groźnego *pustaka* (f).

—Dobosz (tak mówił po rusku), przykazał, ażebyście wieczerzę jutro po zachodzie, na trzydziestu pustaków mieli.

A wymówiwszy te słowa, spojrzał raz jeno na miasto, i prędko znikł w lesie.

Nie daleko od téj cerkwi, bielił się dwór możnego szlachcica, którego po herbie *Rawiczem* zwano. Śmiały i odważny, już nie raz stawił opór zuchwałemu Doboszowi.

Raz, (był to wieczór grubéj jesieni), wiatr zimny przewiewał, pan domu kazał dobrze okna pozamykać: już miał snem odpocząć, gdy ujrzał w jednéj komnacie, niedomkniętą okiennicę. Spojrzał przez szybę, i widzi pod murem zaczajonego Opryszka, co podważył drągiem, grubą z dębu okiennicę. W największéj cichości, zebrał czeladź, domowników, i uzbroił należycie: pozamykano drzwi wszystkie dobrze, zostawując owe okno niezamknięte.

Czekali godzinę, czekają i drugą: spojrzał Rawicz oknem, aż w lipowym szpalerze, widzi bandę Opryszków. Czeladź i domownicy, podsypali świeżym prochem celne strzelby, pan domu z dwoma gajowemi stanął przy niezamkniętym oknie, reszta obsadziła drzwi i okna wszystkie, obszernego dworu.

Pogaszono ogień, ciemnota i cichość w dworze, uradowały Opryszków: to bowiem przekonywało, że mieszkańcy uśpieni, ulegną ich zuchwałości, a łup bogaty, nagrodzi im trudy. Radość ich była większą, gdy spotkali czterech *Hajduków* (g) dworskich, (którzy przeszli na stronę Dobosza), świadomych wszelkich kryjówek dworu.

Rawicz zgrzytał zębami w uniesieniu, poznawszy własnych Hajduków, że go zdradzili. Spojrzał na swoich domowników, a nie dostrzegłszy na ich twarzach bojaźni, gotowych wszystkich do zaciętej bójki, ochłonął z gniewu, i weselszy, odmówił z cicha: »*Pod Twoję obronę.*«

Rozkazy Dobosza były krótkie: sześciu najśmielszych stanęło pod oknem, gdzie okiennicy nie dozwolili zamknąć, i gdzie żelaznéj kraty nie było. Że dwór stał na wysokiém podmurowaniu, podsadzili odważnego Pyłypa na barkach, który, równie zręcznie jak prędko, roztworzył okiennicę, odwrócił się, i plecami uderzył silnie, a szyby i ramy wszczęt poszły, i stanął na oknie. Rawicz nie czekał ani chwili: zmierzył, a z połyskiem na panewce, Pyłyp ugodzony w samo oko, zwinął się, i na znak padając zabity w ogród, potłukł ciałem swoich towarzyszy.

Za starą lipą stojący Dobosz, wydając jeszcze rozkazy dwudziestu Opryszkom, zadrżał na wystrzał, nie z bojaźni, ale z wściekłości, widząc Pyłypa, jednego z najodważniéjszych zamordowanego. Przypada pod okno, i sam chce się wdziérać, gdy go drudzy wstrzymali, pokazując, że trzech już siedzi na oknie. Ile się uradował, prędzéj jeszcze zasmucił, bo kule domowników i czeladzi Rawicza,

zrzuciły wszystkich na ogród. Dwóch zabito do razu, a trzeci w pół godziny skonał.

I szturm do drzwi głównych dworu, nie udał się wcale: to prawda, że toporem, wyważyli, lecz zaledwie mocne podwoje z łoskotem upadły, dwadzieścia kul ołowianych, wstrzymały zuchwalców, pierzchnęli jak stado szpaków. Dobosz poznał, że to nie przelewki, świsnął całemi piersiami, a gwizd jego pomimo gęstych strzałów i wrzawy, wszyscy usłyszeli. Opryszki trupów swoich i rannych unieśli, a Rawicz nie mając dostatecznéj siły do gonienia zbójców w gęstym lesie i po górach, nie pędził za niemi.

Ostatni szedł Dobosz ze zwieszoną głową, przeklinając nieszczęśliwą godzinę napadu. Przysiągł srogą zemstę Rawiczowi, i żeby jéj dopełnił, na własnym pistolecie, w pośród towarzyszów, przysięgę powtórzył. Dowiedział się o niéj Rawicz, był przeto więcéj baczniéjszy, bo wiedział, jak ważny u tych łotrów, jest taki rodzaj przysięgi.

Rok już dobiegał, jak w ciągłéj zostając obawie, zrywał się co nocy nie raz, pewien napadu, skoro usłyszał od silnego wiatru poruszenie okiennic. Raz wydał już był rozkazy do obwarowania, jak zwykle, swojego dworu, gdy na podwórze zajechał znajomy proboszcz ruski z pod Bolechowa. Bladość jego twarzy i pomieszanie, uderzyły Rawicza. Pop opowiedział z przestrachem, jakie dziś poselstwo odebrał od Dobosza, i że ma mieć na jutro wieczerzę gotową, na trzydziestu pustaków.

—To dobrze! to dobrze! jakem szlachcic! zawołał uradowany Rawicz, a pop z podziwem na niego poglądał. Miéj wszystko gotowo jak kazali; i do ucha mu szepnął: przyjdę tam z swojemi ludźmi, dobiorę śmiałych towarzyszów, i da Bóg, ze wschodem słońca, będę miał tę *satysfakcyją*, że każę tego łotra przed oknami swojego dworu powiesić. Niech patrzy na mój herb rodzinny, i pamięta, że z niedźwiedzich pazurów, nie tak łatwo się wymknąć (c). No, *verbum nobile*, jakem szlachcic, będzie dyndał.

I pełen radości, uspokoiwszy przybyłego gościa, starém miodem częstował, sam spełnił kilka puharów, i wysławszy tajemnie do najbliższéj komendy po pięćdziesiąt towarzyszów, marzył o zwycięztwie nad Opryszkami, i widział we śnie związanego Dobosza.

* * *

IV.

Zaledwie *Węgierka* świtać zaczęła (i), pięćdziesięciu towarzyszów przybranych i Rawicz z całą swoją czeladzią i domownikami, osadzili skrycie dom Popa, i cerkiew' całą. Nikt ze służących cerkwi nie wiedział o tém, żaden odgłos, ani szczęk broni, nie zdradził ukrytych.

Rawicz zostawił w domu żonę, i troje małych dzieci, uzbroił sześciu pachołków, pod dowództwem Ruszczyca swego krewniaka doświadczonéj wiary, kazał zamknąć i obwaro-

wać dwór cały, a gdyby ujrzeli Opryszków, gęsto sypać ogień, który miał służyć za hasło dla niego, żeby przybywał swoim na pomoc. Dwór ten położony na dolinie, i widzialny z cerkwi, był jeno o pół mili oddalony.

Przeszło południe, Pop kazał wieczerzę na 30 pustaków przyrządzić, wychodził często niespokojny, czy nie spotka którego, ale daremnie wypatrywał. Uderzyła godzina wyznaczona, słońce już zaszło za góry. Rawicz niecierpliwy, wyszedł tajemnie z kryjówki, stanął za świerkiem i w zamyśleniu spojrzał na dolinę. Wśród łąk zielonych bielił się dwor jego, nagle dym mocny zaciemnił cały, zadrżał, przeciera oczy, dach cały w płomieniach, a silny wicher rozdyma pożar: załamał ręce i wydał krzyk tak przeraźliwy, że czeladź, domownicy i towarzysze wybiegli razem z ukrycia. Ale Rawicz już był daleko, pędził jak jeleń po dolinie: spojrzeli wszyscy, jeden odgłos: « *gore! gore*» zawołali, i w ślady pognali Rawicza.

Ciemno było w komnatach dworu Rawicza, młoda małżonka siedziała przy kołysce małéj córeczki uśpionéj, i przędła na kołowrotku, najstarszy syn w siódmym roku, machał kordelasem myśliwskim, siedząc na drewnianym koniu, a młodszy oparłszy bibliją z obrazkami na kolanach matki, przy świetle lampy, oglądał z ciekawością wizerunki.

Ruszczyc zostawiony z sześcią pachołkami, wyszedł na poddasze i wyglądał dymnikiem, ciekawy bitwy z Opryszkami, a pachołcy w izbie, obok sieni popijali kwartę miodu.

— Co ci to za djabeł, że jeszcze nic nie słychać od cerkwi, rzekł stary Tadeusz, taże i doba po temu, jeżeli prawdę ludzie gadali.

— Dyć poczkajma trochę, usłyszemy nie długo grajków, aż się okna zatrzęsą.

Ruszczyc w gęstwinie ujrzawszy kilku ludzi, zwrócił na nich całą uwagę, a przecież gdyby był spojrzał w ogród, poznałby Dobosza, jak z gromadą swoją, z cicha się skra-

da, trzymając w ręku gorejącą głownią. I przystąpił blizko dworu, podsadzili go na barkach, silną ręką zerwał kilka gontów, rozdmuchał głownię i rzucił na nią pęk słomy. W mgnieniu oka suche i smolne gonty zajął silny płomień, a Ruszczyc jeszcze wzrok zatrzymał na dostrzeżonych Opryszkach w zaroślach. Nagle dym poczuł, obraca się i widzi większą połowę dachu w płomieniach, zbiega na dół, a krzycząc z gardła «*gore! gore*» wpadł do izby pachołków, a potem z niemi do komnaty pani Rawiczowéj. Wystraszona niewiasta, porwała córkę z kołyski, Ruszczyc obu synów: i wśród walących się belek, wybiegli szczęśliwie do sieni. Roztwarto drzwi główne, jakiż widok nowy! Stoi Dobosz z drużyną swoją. Strzélili pachołcy, zbladł piérwszy raz w życiu z przestrachu Ruszczyc, a biédna matka, tuląc do siebie dzieci, upadła na kolana, i wyciągnęła do zbójcy białe dłonie, prosząc o litość.

Pożar niszczył gwałtownie drogie obicia, makaty, i bogate sprzęty, a klęcząca niewia-

sła zapomniała o wszystkiém, zasłaniając własném ciałem drobne dziatki. Widziała śmierć pewną, a mniemała, że kula choć ją zabije, nie urazi dziatwy. W tém świstanie kilkakrotne usłyszano, najprzód zdala, potem coraz bliżéj: na to hasło, Opryszki zaczynają się cofać do lasu, a Dobosz ostatni ze sztućcem dwururnym gwintowanym stanąwszy na krańcu boru, patrzył, jak ogień który rozniecił, dwór wspaniały zamieniał w rozwaliny i gruzy.

Bez tchu wybladły, z iskrzącemi oczyma, z pałaszem w ręku, strzelbą na ramieniu, wbiega Rawicz na dziedziniec, za nim pięćdziesięciu towarzyszów, i czeladź zbrojna, i domownicy. Pan dworu w płomieniach, nie biegł gasić pożaru, ale ze łzami, ściskał żonę i drobną dziatwę. Jeszcze ta godzina nie nadeszła, w któréj wczora marzył o zwycięztwie i pochwyceniu Dobosza, a już nie miał gdzie marzyć, nie miał swego poddasza, bo mściwi Opryszki, i całe gumna spalili. Przy płomieniu swego mienia, Rawicz dziękując Bo-

gu za ocalenie żony i dzieci smutnie powtarzał pokręcając wąsa w zamyśleniu: «*Homo proponit, Deus disponit.*»

Dobosz tymczasem ze swemi Opryszkami przychodzi do wystraszonego popa, a dotrzymując obietnicy, zajadał smaczno mamałygę i kukurydzę, popijając wódką, i przepraszał zarazem gospodarza domu, że się spóźnił o dwie jeno godziny.

V.

Ciemny bór otaczał w koło, na mchu skalistym spoczywała drużyna Dobosza przy nanieconych ogniskach: w małych kociołkach, gotowali kukrydzę, a na drewnianych rożnach, piekli tłustą baraninę. Zdala siedział zamyślony Dobosz, kapelusz który zdjął z głowy, świecił złotem, i błyszczał odbijając promienie zachodzącego słońca: bo sznur długi nawleczonych dukatów, okręcał go cztéry

razy w około. Dziobeńka (*) u prostego Opryszka świécąca mosiężnemi guzikami, u niego świéciła równie złotem. Dwie pary pistoletów tureckich, bogato nabijanych srebrem, i nóż potężny, wyglądały z za szerokiego pasa: sztuciec dwururny leżał obok. Był zmęczony, rozpiął kołnierz od koszuli, i pokazał piérsi szerokie, wyniosłe, i obrosłe kudłami niedźwiedzia. Przeciągnął się kilka razy, jakby chciał nową giętkość nadać ciału, poziewnął, i ukazał zęby białe, jak kły dzika.

Powodzenia pierwiastkowe rozzuchwaliły śmiałka, mniemał, chociaż już raz odebrał naukę od Rawicza, że jeszcze lepsze zdobędzie łupy w przemożnym dworze Potockich, gdzie napad przedsiewziął. Rzuciwszy się niedbale na mech miękki, marzył o złocie i bogactwach, jakie zdobędzie: kwarta starego miodu i kilka szklanek wina, zdobycz piwnicy jakiegoś szlachcica, rozweseliły Opryszka.

Wstał, przeciągnął się raz jeszcze, a pa-

(*) Torba.

trząc na zachodzące za góry słońce, dał znak do modlitwy. Był to dzień sobotni, w którym zawsze jeden głośno odczytywał Ewanieliją po rusku, po niej modlitwę, a tę cała banda odmawiała zdjąwszy kapelusze. Uszykowali się w wieniec. Dobosz stanął we środku, a przy nim Opryszek umiejący czytać: wszyscy się pobożnie przeżegnali, i powtarzali słowa modlitwy. Amen! wyrzekł czytający. Amen odbiły lasy, i zabrzękła broń zabójcza, bo zaraz cichym pochodem zeszli na doliny.

Trzech Opryszków zostawionych na Prucie, z trzema łodziami podpłynęli w zarośla. Miesiąc wpełni przyświecał, a czarne lasy, gdzie niegdzie ubielone śniegiem, łąki zielone i pola, tak widne, jak gdyby, promień je słońca oświecał. Krywonos otulony bundą, stał pod wierzbą, natężał ucho ciekawie w tę stronę, gdzie Dobosz obrócił się ze swemi chłopcami, gdy dwaj jego towarzysze strudzeni, wyciągnięci w łodziach, smaczno zasnęli. Stojąc na straży, to spoglądał

na bory i góry onéj twierdzy Opryszków, to nastawiał ucho ku stronie zachodniéj, skąd wkrótce usłyszy wrzawę, i strzały. Lecz próżno czekał, chłód wieczora zziębił mu ciało, otrząsnął z bundy i długich włosów kroplistą rosę, a oparty o pień wiérzby, uczuł że drzymota zamyka mu oczy (k). Lecz nie był to sen mocny, bo dwa dałekie najprzód strzały, a po nich kilkadziesiąt wystrzałów, i krzyki płynąc po rosie; uderzyły w jego ucho. Zadrżał zbudzony, przetarł oczy, a krzyki i strzały, nie ustają wcale. Nie oddalały się ony, ale coraz zbliżały, i tak silnie uderzyły o wody Prutu, że dwaj Krywonosa towarzysze zbudzeni, stanęli na nogach. Ciemna chmura zaciemniła miesiąc, a w pomroku chwilowym, błyskały dalekie strzały. Krywonos, z lekkością wiewiórki wdarł się na buk stary, a rozgarnąwszy rosochate konary i liść gęsty, wychylił głowy, i zapuścił w tamtę stronę wzrok sokoli. Nagle świsnął przeraźliwie, i zahuknął jak nocny puhacz: z trwogą usłyszeli tak złowróżbe ha-

sło, porwali wiosła, nożami odcieli sznury, któremi przywiązali łodzie, i w mgnieniu oka, na środek wypłynęli Prutu. Poszedł za ich przykładem Krywonos, zostawiając na los szczęścia swoich towarzyszów i pana.

Krwią zbroczony, dwa razy cięty w głowę, z przestrzeloną ręką, uchodził Dobosz patrząc z wściekłością, jak liczni jego towarzysze, rozpierzchli się w różne strony. Najwaleczniéjsi padli pod murami dworu, lub schwytani, jutro po wschodzie słońca, wysokiego drzewa, nie dojrzą zachodu, a ich ciałami wiatry pobujają. Ciężko szeroką i wyniosłą oddychał piersią, rozdarł na niéj koszulę, bo mu jak pancerz żelazny ciężyła. Omglałym krokiem postępował zwolna: zaledwie wyszedł na pole, spotkał wieśniaka z furą nawozu: już iść nie mógł: «*Bat'ku! ratujte.*» wyjęknął i upadł.

Po szerokim gościńcu, kilku towarzyszów pancernych gnało na dzielnych koniach, i właśnie na onę ścieżkę zawrócili. Kmieć zobaczył ich zdaleka, lecz niezmieszany, szedł przy

furze, i zwolna poganiał konia. Towarzysze pominęli furę, rzucając wzrok bystry na wszystkie strony, Dobosza już nie było. A przecież, skryty na furze leżąc Opryszek omglały, gdy usłyszał szczęk dobrze mu znanéj broni, sięgnął do pasa, pochwycił za pistolet, lecz ręka osłabła nie posłuchała myśli, i bezwładna opadła na powrot.

VI.

W pośrodku wyniosłych Karpat, jest wieś Górali-ruskich Hucułów, zwana *Kośniacz*, w okół zasłoniona czarnemi lasami. W piérwszéj chacie znacznie oddzielonéj od innych, mieszkał *Stefan Dzwinka*, Huculł zamożny. Już od dawna sąsiedzi mówili, że Stefan ma tajemne związki z *Didkiem* (*) i Opryszka-

---

(*) z Djabłem.

mi, a piérwszy i drudzy, dostarczają mu pieniędzy: jakoż na niczém nie zbywało Dzwince, a idąc za powszechnym zwyczajem, nie zważał wcale na miłosne związki żony z Doboszem, bo tam każda musi mieć swego *Lubasa:* wzgardził by mąż taką żoną, któraby go nie miała, bo to mu wskazuje, że się ludziom nie podoba. Hucuł zostawiając swoję niewiastę z *Lubasem* samotnie, nalawszy w butelkę wódki, zdejmie z kołka kiełbasę, w dziobeńkę włoży placek kukurydziany, i idzie znowu do swojéj *Lubaszki.*

Dobosz od dawna ukochał Hankę, żonę Stefana Dzwinki: w długie miesiące zimowe, u niéj najwięcéj przebywał, bo wypraw w tę dobę nie przedsiębrał nigdy, lecz z odgłosem *Zazuli* (*), już jako pan lasów i gór, wychodził na nowe rozboje. Noc niewidna powiększała czarność lasów w około: było po północy, a w jednym domu Dzwinki gorzał ogień, choć we wszystkich chatach zagaszo-

---

(*) Kukułki.

no: słychać wewnątrz bieganie, i przytłumioną rozmowę. Hanka zapłakana, przewijała rany leżącego na słomie Dobosza, a stara baba, warzyła przy ognisku zioła i maści. Opryszek blady, osłabiony dużym krwi upływem, przekleństwami i krzywieniem twarzy, okazywał ból niemały: wyciągniony, szeroką, obrosłą piersią, oddychał ciężko. Baba przyniesione zioła, wlała mu w usta, a Dobosz wkrótce otworzył zaczerwieniałe oczy, i jakby ze snu zbudzony, odetchnął wolniej. Nie długo zasnął twardo, czuwała przy nim Hanka: baba przygasiwszy ogień, i zawarłszy dobrze drzwi chaty, zdrzymnęła się utrudzona pracą i niewczasem.

Równo ze świtem, już dwudziestu Opryszków, spoczywało na sianie w stodole Dzwinki, zgromadzeni blizko swojego wodza. Rozmawiali z cicha o nieszczęsnej wyprawie, co o trzydziestu przeszło braci, zmniejszyła się banda. Wysłani na zwiady, radosną przynieśli nowinę, że towarzysze pancerni, ślad ich zgubili, i pognali w inne strony. Jeszcze

słonko nie weszło na góry, a coraz więcéj rannych Opryszków zgromadziło się z różnych zakątków: obecność Dobosza i nadzieja że wkrótce wyłeczony będzie, ożywiła ich ducha, i wzmocniła upadłą nadzieją.

Nade dniem, na spoconym i zhasanym koniu, przybył i sam Stefan Dzwinka, powitał w swojéj chacie znajomego gościa, i liczną jego drużynę. Nad wieczorem wsiadł na świéżego konia, a rzucając złowróżbe spojrzenie na chatę, gdzie Dobosz spoczywał: »*Nie długo tak będzie* (pomruknął z cicha), *przyjdzie tobie koniec*,« i popędził w las ciemny. Trzos ładowny pobrzękiwał mu złotem; a brzęk ten przypominał, do czego się zobowiązał. Za lasem, czekał na niego szlachcic, jak poznać z kubraka i szabli, z którym odtąd łącznie, nie wyrzekłszy słowa, w dalszą puścili się drogę.

Dobosz po czterech dobach niemocy, czuł się zdrowszy, już mógł żwawie chodzić: zaledwie przygoił rany, począł rozmyślać o nowéj wyprawie, ale nikomu zamysłu swego

nie powierzał. Piątego dnia, na tych samych łodziach, które go zaniosły, na nieszczęsną wyprawę, przebył *Prut* brzemienny, bo dużo śniégów roztajało w górach. Dwudziestu towarzyszów miał jeno przy sobie, reszcie kazał czekać w gromadzie, na wzgórzu w lesie, po tamtéj stronie rzéki. Lecz co samych Opryszków zdziwiło, to dzień, samo południe: a szli na wyprawę, bo nakazał im Dobosz świéżo strzelby nabić, poostrzyć toporki, i sam swój nóż długi, zaostrzył na granitowéj skale.

Dotychczas wieś Borszczów istnieje nad Prutem: był tam dziedzicem poważny szlachcic, herbu *Topora:* towarzysz waleczny niegdyś sławnéj chorągwi Hussarskiéj. On ze swoją czeladzią, bronił także dworu Potockich, przed kilką dniami, i najlepiéj dał się we znaki Opryszkom. Dobosz postanowił sowicie mu zapłacić. Jak dzikie koty, skradli się Opryszki po cichu wyniosłą kukurydzą, żaden odgłos nie zdradził ich kroków, nagle oskoczyli mały dworek. Kilka tylko jęków, przez

wybite okno, wiatr wyniósł na fale Prutu Dobosz wybiegł z skrwawionym nożem, towarzysze z toporkami w posoce, wkrótce wybuchnął pożar, który spalił kilka trupów, cała rodzina Toporczyka zginęła.

Słońce w południe dojmowało skwarem, a dworek jeszcze się palił: przestraszeni kmiecie nie śmieli ratować, bo Dobosz stojąc na łodzi, pasł wzrok dziki nieszczęsnym pożarem: za późno uderzono w dzwon cerkiewny na gwałt, już tylko popiół z domostwa pozostał. Ale dzwon ten,na próżno nie zagrzmiał, przy piérwszém uderzeniu, łodzie z Opryszkami odpłynęły chyżo na drugą stronę.

VII.

Jakiż to tuman na polu? i jakie wrzawy radosne? Wśród doliny mała chata, zdala od niéj dąb wyrasta stary, a pnia tak grubego, że cztérech chłopów zaledwie objąć

go zdoła. Od wieków pasterze używali pod nim chłodu, a w ranki wiosniane, przymrożne, w ranki i wieczory jesienne, palili częściami pień gruby. Choć ogień go z dawna niszczył, i wypróchniał już nie mało, czołem zielonym od wieków, jeszcze potrząsał zuchwale. W około chaty, zbrojni na koniach siedzą sami towarzysze, w około dębu szlachta piechotna, z rusznicą na ramieniu, rozpalili ogień spory.

—Tam! do djabła! *peletego!* rzekł jakiś wąsacz wysoki, chyba biesa że ma w ciele, na własne oczy widziałem, jak ten poganin wybiegł z téj chaty: chyba go święta ziemia pożarła.

—I jać tož samo (odrzekł mu drugi), widziałem, żywie Bóg prawda. Dobosz! o przeklęty Dobosz! co naszego Toporczyka z całym rodem wymordował. O! gdybym go raz pochwycił, takbym w pieluchy okręcił, żeby mu kosteczka każda, w drobny mak się pokruszyła.

I wyciągnął żylaste ręce, potrząsł niemi groźnie, i zgrzytnął zębami.

—Ej! tu nie ma co gaworzyć! poszukajma jeno pilnie, czy nie znajdziem tu gdzie szpary, w którą się ten łotr zacisnął, bo gdy zechce, w taką jamkę, gdzie jaszczurka się wśliźnie, to on wlézie, i prześpi noc całą.

Gdy jedni poczęli troskliwie wyszukiwać jakiéj jamy, pozostali przy ognisku dokładali coraz suszu i polan. I towarzysze konni, zmordowani pogonią, nie przespawszy całéj nocy, puścili konie na trawę, zeszli się do ognia, a podłożywszy siodła pod głowy, wyciągnęli zmęczone ciała. Wiatr podmuchiwał w ognisko, a to dotąd mocnym buchające płomieniem, powoli zmniéjszało się coraz. Stary Jędra z Załucza, stojąc najbliżéj dębu, którego pień gorzał, słyszał kilka razy oddech mocny, prawie przy swojém uchu, a nawet raz mocne zakrztuszenie: odwrócił głowę, ale nikogo za sobą nie ujrzał. Wziął to za głos jednego z swoich towarzyszów, co

zasypiali smaczno przy ognisku, i więcéj nie dawał na to baczenia.

A jednak, gdyby pochylił głowy ku dębu, usłyszałby w pniu jego szmer cichy, czasem jęk mocniéjszy, lub ciężkie westchnienie: tam stulony stał Dobosz, połykając dym czarny. W tym pniu, już nie raz znalazł uchronę przed pogonią i omylił zajadłych gońców, co mu śmiercią grozili: ale teraz był w najgorszym położeniu: pień w części od spodu zwęglony, zajął się od blizkiego ognia, a wiatr żar mocniéj rozrzarzał: dym dusił mu oddech: chociaż mu nie tyle dokuczał, jakby komu innemu, nawykły był z młodu do niego, tyle lat przesiedziawszy w dymnéj chacie. Jednak teraz zmęczony, z bijącą piersią, nie mogąc zachwycić świeżego powietrza, czuł mocny ciężar, co mu piérsi gniecie. Czuł okropne położenie swoje, a jednakże dym błogosławił, bo on go jedynie zasłaniał od wrogów, co w około zasiedli. Uciekać nie mógł, lubo wszystkich pieszych by prześcignął, konni towarzysze, wnetby dopędzili: z całą więc odwagą cze-

kał co mu los zdarzy. A pień jego ochrona jedyna, żarzył się coraz silniéj: zobaczył że mu się tlą chodaki łyczane: rozdarta koszula, nie zasłaniała zarosłych piersi: płomień co buchnął nagle, zapalił mu zarost: choć ból czuł piekielny, szeroką dłonią przygasił pożar nagły, i ochronił brodę, wąsy, i głowę od spalenizny. Od spodu, czuł coraz mocniéjszy ogień, a Opryszek czasem jeno cichym jękiem, alboli mocnym westchnieniem, objawiał ból, jakiego dotąd od żadnéj rany nie doznał.

—Szukający jamy na polu, albo kryjówki Dobosza, wrócili z próżnéj wyprawy, po spoczynku towarzysze pancerni dosiadłszy koni, ruszyli kłusem szerokim gościńcem, a szlachta piesza, wolnym krokiem zaczęła się rozchodzić.

Wtedy z pnia dębu, ostrożnie wysunął Dobosz skaleczoną nogę, i rozrzucił ognisko, poczém wychylił głowę z przepalonym włosem, z iskrzącemi oczyma, i odetchnął świeżym powietrzem: tak był go łakomy, że dłu-

gą chwilę z roztwartemi ustami, chwytał chciwie zbawczy żywioł. Wychylił się więcéj nieco, i spojrzał na dolinę w około: jazdę tuman kurzawy zakrywał, szlachta już nikła w lesie: w on czas wyskoczył rzeźwo, przesadził stos tlący jeszcze, i upadł bólami zmęczony na zieloną murawę.

VIII.

Słabo tlało na kominie w chacie Stefana Dzwinki, kędy Dobosz rozweselony zabawiał się z Hanką. Stary miód w gąsiorze, i żytnianka, dodawały wymowy i radości Opryszkowi. Ale jego *Lubaszka* ukochana Hanna, nie dzieliła téj radości, z niepokojem obracała oczy na drzwi zamknięte alkierza: a kiedy Dobosz pytał o powód smutku, z bojaźnią wyrzekła: «*myślę, że umrę nie długo*»

— Ho! ho! zawołał zbójca, umrzéć każdy musi, ale mię nikt nie zabije, mojéj skóry

nie przebije na śmierć kula, chyba!... i zamilkł zmarszczywszy czoła.

Hanka wzrok martwy do niego zwróciła, i drżącą ręką dolewając w kubek drewniany starego miodu, nie szczędząc pieszczot zapytała: «Jakaż cię kula zabije?»

Dobosz wychylił miód podany, a ocierając wąsy, odrzekł: «Strzelbę, trzebaby nabić srebrną kulą, na jéj wierzch położyć 9 ziarn pszenicy, któreby Pop poświęcił, i odmówił 12 Ewanielij nad niemi.

—Taka więc kula zabije cię pewno?

Opryszek kiwnął głową, gdy w téj chwili usłyszano poruszenie w komorze. Dobosz zerwał się na nogi. Hanka zbladła: otworzył drzwi przymknięte i z pistoletem w ręku wpadł do komory, ale ujrzawszy Stefana Dzwinkę jak wyciągniony na słomie chrapał spokojnie, wrócił na powrot.

Zaledwie mrok padać zaczął, opuścił chatę Stefana, a gdy stanął pod Czarną-górą, świsnął na cztery strony świata, i stu młodców zbrojnych stanęło w pogotowiu na roz-

kazy wodza. Nie rzekł i słowa, wskazał na doliny, i w milczeniu z gór zeszli wązką i stromą ścieszką.

A w chacie opuszczonéj rzewliwie płakała Hanka. Stefan z Lachem, dawniéj znajomym sobie, co z wylotów i szabli wyglądał na szlachcica, rachowali złoto. Lach pocieszał gładką Hucułkę, i wkrótce korale, wstęgi, i paciorki, otarły łzy pięknéj.

Całą noc topili talary, po usilnéj pracy ulali trzy kule: szlachcic równo ze świtem opuścił chatę, a Dzwinka z kulami i garścią pszenicy, poszedł do cerkwi. Hanka przed zwierciadłem, co jéj Lach darował, probowała korali, wstąg i paciorków z radością, lecz gdy usłyszała dzwon cerkwi, zadrżała, jakaś myśl okropna napełniła jéj głowę, uklękła przed bohomazem i cicho odmawiała modlitwę, snadź modliła się szczerze, bo twarz białą zrosiła łzami.

———

IX.

Z dalekich stron Pokucia, śpieszyła szlachta i gromady wieśniaków na jarmark do Bolechowa Pędzono stada rosłych Besarabskich wołów, koni, skrzypiały kryte mazie, a telegi i kolasy, pełne mieszczan, szlachty, i przybranych szlachcianek, napełniły cały gościniec. Kupcy ze Lwowa, i Bukowiny, rozkładali na rynku towary, a przy cerkwiach po lwowskim jarmarku, rozłożyli kramnicy *juraszki* (1). Wszystkie gospody przepełnione były: nikt jak pamięcią zasięgnął, nie widział w Bolechowie tak świetnego jarmarku. Kobziarze, Lirnicy, napełniali śpiewem i gędzbą rynek i smętarze, a ślepcy, z sakwami na plecach, oprowadzani przez młodych synów, nucili pieśni nabożne.

W największéj gospodzie, co wśród miasta stała, najznamienitsi goście zasiedli. Dziedzice wsi, dzierżawcy i ci co przybyli ze stadami wołów, i końmi. Tu się

umowy zawiérały, sprzedawano, kupowano, a złoto i srebro brzękiem swoim górowało nad gwarnym hałasem, szczękiem szabel, co u boku każdego szlachcica wisiały, i brzękiem szklanek, butelek, które wypróżniano ochoczo. Dwa antały węgrzyna już wypróżniono, a beczka starego maliniaku była na schyłku. Żyd arendarz uwijał się żwawo, a ledwie mógł wystarczyć nalewać, podawać, i zgarniać pieniądze. Kręcąc się po izbie szerokiéj, dwa razy już Hucuła, co mu zawadzał, wypchnął za drzwi, a Góral wracał zawsze, jakby przeglądając w izbie gości i rachując piéniądze.

Właśnie *Abraham czarny* (*tak zwano arendarza*), przeliczał z garści złoto, gdy podniosłszy oczy, spotkał wzrok dziki Hucuła, co tkwił na *czerwońcach* (*). Żyd zadrżał, nie rachując daléj, wsypał w kieszeń, a przystąpiwszy do Górala, nalał mu szklankę wódki i rzekł.

(*) Na dukatach.

—No! pijcie kmotrze, a idźcie sobie, bo tu ciasno.

—Ne bude tak! odrzekł z uśmiechem, i wychyliwszy szklankę, wyszedł do sieni.

Na środku rynku, powstała kłótnia, ten sam góral pochwycił za worek żydowi, gdy ten zaczął wzywać pomocy, uderzył go silnie obuchem toporka, a żyd upadł krwią zlany. Szlachta przytomna, i towarzysze z chorągwi pancernéj, przysunęli się do górala, poczęli mu grozić, ale ten odwinął bundę, dobył z zapasu parę pistoletów, i wziął na cel najbliższych. Rozskoczył się tłum bojaźliwie, i ci nawet co dobyli szabel, a Hucuł zahuknął trzy razy. Nagle ze wszystkich stron zabrzmiały głosy: »*Dobosz! Dobosz!*« i stu mołodców ze strzelbami na ramieniu, a toporkami w ręku, otoczyli rynek cały. Ten głos, to groźne imię, rzuciło przestrach na całe miasto: Dobosz! Dobosz! wołano zewsząd, a kto dosiadł konia, telegi, albo kolasy, uciekał co żywo. Uderzono na gwałt w dzwony wszystkich cerkwi, a trwoźliwe

tłumy jeszcze strach większy przejął. Kilkadziesiąt szlachty i towarzyszów pancernych, wybiegło na najbliższy smętarz, zawarli wrota, a ukrywszy niewiasty w cerkwi, zagrozili dzielnym oporem.

Z wielkiéj gospody wszystko uciekało, ale nie wielu mogło wybiedz. Abraham czarny, stulony w kącie, przycisnął drżącemi rękami niepróżne kieszenie, nie zwracając nawet oczu na trzosy, i rozsypane na stołach złoto, które w powszechnéj trwodze zostawiono, ratując swój żywot.

Kilka strzałów rozpędziło tłum na rynku: nagle roztworzyły się drzwi gospody i Abraham czarny poznał pierwszego Hucuła, co wchodził na czele kilkunastu Opryszków. Był to on Góral, co oczyma rachował złoto, i któremu dał szklankę wódki.

Na dany przez niego rozkaz, dwóch Opryszków wyciągnęli Abrahama z kąta, a gdy ten upadł na kolana, przyciskając kieszenie tak silnie, jakby ulatującą duszę z ciała wstrzymywał, Dobosz oderwawszy ściśnięte ręce,

oberznął mu obiedwie kieszenie i puścił swobodnie.

Kiedy jedna część zbójców plądrowała swobodnie, gospody, miasto i kramy; druga znaczniéjsza otoczyła smętarz, kędy się zamknęła szlachta i pancerni. Oprzyszki schronieni za domami bezpiecznie brali na cel oblężonych: szlachta i pancerni chociaż lichą ochronę mieli w słabym parkanie, dotrzymywali dzielnie pola.

Już padło kilka trupów na smętarzu, już i trzech Opryszków wyzionęło ducha od sztuców pancernych, gdy pokazał się Dobosz na czele licznéj gromady. Wywijał nad głową toporem, i pokrzykiwał na swoich, a Opryszki biorąc jego imię za hasło, szli zapamiętale. Wiedział Dobosz, po jaką sięga zdobycz. Większa część złota niż ta, którą zdobył, spoczywała w trzosach oblężonéj szlachty.

Bierz go na cel, jeno dobrze, zawołał na swoich rotmistrz pancerny.

—*Peletego!* na mego patrona! krzyknął

wąsaty Janusz, szlachcic z *Zahajpola*, jeżeli ja go z mojéj *Jordanki* (m) nie ubiję, to mu i biés nie da rady.

I przez furtę wysunął długę lufę, zmierzył, zagrzmiał wystrzał, a Dobosz podskoczył, i przykląkł.

—Ognia! na tych pogan, Peletego! wołał Janusz, nabijając z pośpiechem swoję jordankę. Błysł ogień ze strzelb dwudziestu, ale Opryszki już nie bawili, porwali rannego Dobosza, i ukryli się prędko za najbliższym domem.

Wkrótce wybuchnął pożar w tém domostwie, daléj na rynku i z tyłu cerkwi, a gdy mieszczanie spieszyli ratować miasto w płomieniach, Opryszki unosząc na barkach swego wodza, znikli w górach obciążeni bogatą zdobyczą, pędząc przed sobą stado tłustych wołów, wiele mazi z towarami, i kolas szlachcie zabranych.

———

X.

Pod zielonym gajem, chodzi Dobosz młody, chodzi Dobosz po dolinie, po zielonéj morawinie, na sopiłce (n) wygrywa, a na nogę napada: toporcem się podpiéra, i na chłopców pokrzykuje.

—»Oj! wy chłopcy! wy mołodcy! zbiegajcie się *Sinogórce:* będziem mieli radę społem, kędy rabować pójdziemy, czy *Bolechów*, czy *Dolinę*. Gdyśmy Bolechów rozbijali, srebro złoto rozsiewali, srebro złoto rozsiewali, miód i wódkę rozlewali. Oj! wy chłopcy, wy mołodcy, wszyscy wraz pójdziem w godzinę, wstańcie raniutko, ubierzcie się ładnie: w skórzane postoły, w wołoki wstążkowe, bo pójdziemy do Stefana Dzwinki i do jego krasnéj żonki.

OPRYSZKI.

Oj Doboszu! ty panie nasz, tam nas spotka przygoda.

DOBOSZ.

Bez obawy na mnie uważajcie, po dwie kule nabijcie, stańcie chłopcy pod wrotami, a ja pójdę pod okno.

* * *

(*Dobosz bijąc w okiennice chaty Dzwinki*).

Dobry wieczór Stefanowa, a wieczerza czy gotowa, czy śpisz serce, i czy czujesz, czy Dobosza zanocujesz? czy śpisz serce, czy nie czujesz, oj! czy sama ty nocujesz?

STEFANOWA (*zewnątrz chaty*).

Oj! ja nie śpię, wszystko czuję, hajdamachy nie przenocuję! oj, ja nie śpię, wszystko czuję, bo wieczerzeńkę gotuję, a wieczerza niegotowa, bo Stefana nie ma doma: a ta wieczerza, będzie wszystkim ludziom dziwna.

DOBOSZ.

Czy wynijdziesz mi otworzyć, czy cię mam dobywać?

STEFANOWA.

Nie każę ja się dobywać, nie pójdę sama otwiérać, a trzebaby dużo siły zażyć, by drzwi te moje rozłupać.

DOBOSZ (*z gniéwem*).

Puszczaj mię suko do chaty, żeby drzwi nie rozwalać.

STEFANOWA.

U mnie drzwi cisowe, a zamki stalowe.

DOBOSZ.

Nie pomogą zamki twoje, jak podłożę plecy swoje.

* * *

I począł się Dobosz dobywać, a zamki odleciały: jedne drzwi już otworzył, drugie nieco odchylił, gdy Stefan Dzwinka, w serce go srebrną kulą ugodził.

Upadł Dobosz, ale zaraz powstał, wyszedł z chaty, lecz nie mógł i kroku postąpić.

»Potrzeba chłopcy uciekać! Oj wy chłopcy, wy mołodcy, weźcie mię na toporce,

przybliżcie się bliżéj k'mnie, o jakże mi ciężko... Nieście mię na *Czarną-górę*, i połóżcie na klodzie, będzie dąć wiater zimny, i ochłodzi. Na Czarną-górę zanieście, na drobny mak rozsieczcie: niech się Lachy nie zbytkują, mego ciała nie ćwiertują. Weźcie mię na Czarną-górę! tam złóżcie pod bukiem, tam się rozdzielim na zawsze... A wy chłopcy! wy mołodcy! nie zawierzajcie niewieście: bo u niéj tyle wiary, jako na téj wodzie piany: ona zabierze srebro i złoto, i zdrowie odbierze.

OPRYSZKI.

Oj Doboszu! czemuś jéj nie zabił?

DOBOSZ.

Jakżem ją miał zabić, kiedy kochałem.

OPRYSZKI.

Oj Doboszu! ty panie nasz, wielka to dla nas przygoda: gdzież my będziem zimować? gdzie latować? Poszlibyśmy do Węgier, w daleką Ukrainę, ale i tam sobiem przeszko-

dzili, bo chcieli kniazia zabić, a kniahynią porwać z sobą.

DOBOSZ (*konając*).

Będziecie zimować, i te lato latować w Stanisławowie (e) na ryneczku, w ciężkich dybach i żelazie, tam będziecie latować, tam będziecie zimować, a ptaki wasze ciała rozerwą.

* * *

Wpadli Lachy, wszystkich wzięli, ręce na krzyż powiązali, przy swych koniach popędzali.

PRZYPISY.

Niniéjsza powieść o Doboszu, jest wiernie osnowana na podaniach ludu, a którem sam zbierał, w miéjscach gdzie same wypadki zaszły.

(a) Objaśniam tę pieśń tłumaczeniem, które czytelnik znajdzie w obrazie: «Huculy.»

(b) «Franciszek Karpiński urodził się w Galicyi, w Kołomyjskim powiecie, we wsi dziedzicznéj Hołoskowem zwanéj r. 1741 dnia 4 Października. Rodziców miał Jędrzeja i Rozaliją Karpińskich, ludzi nie tak z majątku i dostojeństw, jak raczéj z cnoty okolicznie znanych. Dzień jego urodzenia pamiętnym się stał rodzicom, przez napadnięcie na ich dom, zawołanego pod ów czas w tamtych stronach rozbójnika Aleksego Doboszczuka. Ojciec ostrzeżony o rychłym nadejściu tego nieprzyjemnego gościa, odbiegł domu z obawy utraty życia, zostawiwszy atoli rozporządzenie, aby go jak najgrzeczniéj przyjęto. Jakoż ujęty dobrém przyjęciem rozbójnik, nie tylko że żadnéj szkody nie uczynił, ale nadto odchodząc, dał pia-

sturce trzy czerwone złote, upraszał oraz matki, aby dziecię nowo-narodzone, imieniem jego przezwała, co jednak nie nastąpiło.» (*O życiu Fr. Karpińskiego wiadomości zebrane przez Ks. A. Korniłowicza w Wilnie 1837*).

(c) Piosnka ta należy do pierwszych prób Karpińskiego, w on czas gdy się kochał.

(d) Szyk jazdy jeden za drugim, czy w linii prostéj, czy w półkolu, technicznie nazywał się u nas «*gęsiego*.»

(e) Bolechiw-Dołyna, dwa miasteczka w pobliżu siebie, w cyrkule Stryjskim.

(f) Objaśnić muszę ten wyraz *Pustak*, u nas nieznany w tém znaczeniu, a u Rusi rzadki. Wyraz ten pierwszy raz usłyszałem, od swego przewodnika Huculy, gdym odwiedzał Czarną górę. Opowiadając mi wiele szczegółów o Doboszu, jak z téj góry wysyłał rozkazy na doliny, ażeby mu wszystkiego dostawiono, grożąc napadem stu swoich molodców, dodał w końcu, że bandę Dobosza prędko rozpędzono «*Szob ne pustowali w lisi.*»

(g) Panowie w górach trzymają z Huculów młodych uzbrojonych Hajduków: ci często sami pomagali Opryszkom w napadach na dwory.

(h) Porównanie do herbu Rawicz, gdzie jest wyrażona panna na niedźwiedziu siedząca.

(i) Zorze w górach od strony Węgier «*Węgierki świtaniem*» zowią.

(k) Ruś, loicznie oddziela *drzymotę* od snu: słyszałem piosnkę jednę, co się zaczynała:

«*Chodyt* son
Koło wikon:
A Drymota,
Koło płota.» *etc.*

(l) *Juraszki.* We Lwowie na wyniosłém wzgórzu, stoi kościół Sgo Jura: tam w czasie odpustu, rozkładają kramnicy naczynia drewniane, gliniane, do użytku i zabawy, i stąd te nazywają «*Juraszki.*»

(m) Ruscy myśliwi, chcąc mieć dobrą strzelbę, zaraz po poświąceniu wody na Jordan, z nabitą strzelbą przychodzą w to miéjsce, zanurzają lufę do połowy przy odmawianiu tajemnych formuł, a potem wystrzeliwają nabój. Strzelbę takową zwą «*jordanką.*» W naszém Podlasiu, myśliwi Ruscy, pokazywali takowe strzelby.

(n) Gatunek fujarki używanéj na Rusi.

(o) Stanisławów, piękne miasto, stołeczne cyrkułu tejże nazwy, gdzie zwykle wieszają Opryszków.

Rożdział ostatni, jest wierném tłumaczeniem pieśni ludu o Doboszu. Czytelnik oryginał téj

pieśni znajdzie w obrazie «Huculy» gdzieśmy zamieścili i resztę do Dobosza objaśnień. Nie mogę się wszakże wstrzymać, abym dumki o «*Doboszu*» (*według układu i miary pieśni ludu*), Augustyna Bielowskiego, jednego z najznakomitszych poetów naszych, tu, nie zamieścił.

Po pod gaj zielony chodzi,
Hajdamackiéj wódzca młodzi:
Nogę wspiéra na toporzec,
Wzrok w daleki sięga dworzec,
Łoskot wstrząsa poloninę,
To grzmi Dobosz na drużynę.

«*Nuże! nuże! Czarnohorce*
Za wołaszki, za toporce,
Lekkie skórnie, pas szeroki,
I jedwabne przywdziać włoki,
I kindżały, i rusznice,
Wraz nam, wraz, na wieczornice.»

— *Oj! Doboszu! ty nasz panie,*
Zla to pora: jęczą kanie,
U stóp mroczy się dąbrowa,
Nad głowami dzięcioł kowa,
Dymią góry, szumią brody,
Na zasadzki, na przygody.

— W strzelby dwie kule, dwa noże
Za pas, resztę topor zmoże:
Czy się zdarzy, czy nie zdarzy
Tu wam widzieć, tu, w téj twarzy,
Kto ją zaćmi, temu wtulę
W pierś dwa noże, w łeb dwie kule.

O północy przez kosmacze,
Rozbudzona wrona kracze,
U Stefana Dźwinka żony
Miga w dworcu żar stłumiony.

— Zająć drogi, i rozdroża;
Tużeś, tużeś, moja hoża!
Ucisz, utul, serce młode,
Daj ochłodę, daj osłodę.
Spędź tęschnotę, zniszcz tę trwogę,
Czy śpisz?
— Nie śpię, spać nie mogę!
Jesteś sama?
— «Tak, przed chwilką...
Teraz sama, sama tylko.
W noc i tucze biegnę do cię.
Sąż rozkosze, sąż łakocie?

— I łakocie, i rozkosze,
Wnet zastawię, wnet zaproszę.

Uczczę hojno, przyjmę ładnie,
A do serca uczta wpadnie,
Bo rozkoszna, bo miłosna,
I w świat wszystek będzie głośna.

— *Odchyl, odchyl, drzwi zawisne,*
Niech obejmę, niech uścisnę.

— *Zaraz, zaraz, ach tą razą,*
Twarde dzieli nas żelazo!

— *Ale twardsza moja ręka,*
I stal przed nią, i mur pęka,
I pryskają wszczęt zamczyska.
Czy odmykasz, czy niech pryska?

— *O! dłoń moja, ni odmyka,*
Ni uściśnie rozbójnika.

Z bark rzęsiste zmiótł kędziory,
Trzeszczą odrzwia, i zapory,
I z za odrzwi celne strzały,
Wraz Dobosza pierś strzaskały.

— «*Nuże! nuże Czornohorce,*
Pochwyćcie mię na toporce,
Niech nie ginę śmiercią marną,
Zanieście mię w Górę-czarną,
Tam, na górze, tam, daleko,

Niech mię w drobny mak rozsieką:
Kiedy w naszéj Czarnéj-górze
Zadmą wichry, wstaną burze,
Niech z burzami przez doliny,
Grzmię i straszę wraże syny.»

— Oj Doboszu, ty nasz panie,
Cóż się teraz z nami stanie?
Gdzie noclegiem, gdzie gospodą,
Gdzie nam złożyć głowę młodą?

— Tam, od wschoda do zachoda,
Jak świat, wielka wam gospoda,
Jasna, piękna, i przejrzysta,
Niekielznany wiatr tam śwista,
Nieścigniony ptak tam hula:
Ni was szabla, ani kula,
Ani brudna mogił córa,
Nie tknie ziemia, ani chmura.
Tylko z lekka nocną ciszą,
Wiatry do snu zakołyszą,
Rankiem zlecą rody ptasze,
To w gościnę, to na paszę.

W przypisie do téj dumki, pisze Bielowski, że nie dalcko wsi *Barwinkowy w Kołomyjskiém*, jest kamicń zwany od ludu: «*Kamieniem Dobosza.*»

II.

Zalotnik Marcowy.

GAWĘDA Z XVII WIEKU.

Niech się w drobny mak rozsieka:
Kiedy w naszej Czarnej-górze
Zadmą wichry, wstaną burze,
Niech z huczami przez doliny,
Grzmię i straszę wraże syny.»

— Oj [illegible], ty nasz panie,
Cóż się teraz z nami stanie?
Gdzie noclegiem, gdzie gospodą,
Gdzie nam złożyć głowę młodą?

— Tam, [illegible]
Jak świat, wielka nam gospoda;
Niekiełznany wiatr tam śwista,
Niekręgniony [illegible] tam [illegible]:
Ni was szabla, ani kula,
Ani brudna [illegible] córa,
Nie [illegible], ani chmura.
Tylko ścieżka nowną ciszą,
[illegible]
Rankiem ciecą rosy [illegible],
To w gościnę, to na [illegible].

W przypisie do tej dumki, pisze [illegible], że nie daleko wsi [illegible] w [illegible], jest kamień zwany od ludu [illegible] Dobosza.

I.

Jako! Wasze panie Michale, w tym wieku chceta się żenić? nie pomnicie *«że kiedy stary z młodą się żeni, tedy jakoby w stary wóz szalone konie założył.» Trudna zgoda, z ogniem woda!* Młoda zawsze ma prawdę, w niczém dla ciebie reju nie będzie, boć *szafranu nie przetrzesz, a baby nie przeprzesz:* wtedy, *biada temu domowi, gdzie krowa dobodzie wołowi:* bo zawsze *tam wiercimak błądzi, gdzie donica rządzi.* Hem! Wasze panie Michale, patrzyta na mię złém okiem, by na tatara w jassyrze, wierzyta jedwabnym słówkom krasnéj dziéwki, alec to od dawna

nie napróżno powiedziano: «*Co ci powie białogłowa, pisz na bystréj wodzie słowa.*» Swiętéj pamięci rodzic mi jeszcze mawiał: «*Ani na wsi, ani w mieście, nie trzeba wierzyć niewieście.*

Na taką przecież *perorę* pana Malchera stryjecznego brata, pan Michał milczał uporczywie, pokręcając szpakowatego wąsa, co tém więcéj mówię, jątrzyło i zapalało.

— Ptu! na marę! zawołał pan Malcher, chodząc szerokim krokiem po komnacie, i podciągając w gniewie co raz pasa: milczysz jak zaklęty, boć poczuwasz się do złego. Tobie w tym wieku brać w dom dziéwkę, a przecież, choć *ma włosy długie, ale rozum krótki.* Kto chce się żenić, powinien mieć naturę twardą, a dobrze z początku żoneczkę karcić, aby znała co pan w chałupie. Dobre były czasy one, po których zostały przysłowia:

Orzech, stokwisz, niewiasta, jednym kształtem żyją,
Nic dobrego nie czynią, kiedy ich nie biją.

* * *

«*Kto pije, ten tyje. kto miłuje bywa zdrów, kto bije żonę, będzie zbawion.*» (*).

Pan Michał, jakoby nie słyszał mowy brata, powstał zwolna i przeszedł do jadalni, gdzie zwykle z przyjacielem domu, jako zwano *rezydentem* o tę porę, grywał w tryszaka. Malcher splunął, pogłaskał w górę czuprynę, schował obie ręce za pas, co zawsze było oznaką gniewu, i poszedł w milczeniu za nim, a zastawszy brata z panem Jaksem rezydentem zajętych tryszakiem, pomruknąwszy na wpół głośno:

Kto miłuje rzewnie,
To szaleje pewnie:
Kto się kocha powoli,
Tego głowa nie boli.

Usiadł w kącie jadalni, wysunął małą szachownicę, i przywołał starego rotmistrza z chorągwi Ussarskiéj, zawołanego gracza w szachy. Kiedy tak się grą zajęli, wpadł za-

(*) Przypowieść S. Rysińskiego 1619 r.

dyszany pachołek donosząc, że pani Cześnikowa z panną, i całą rodziną, już jest przy granicznym kopcu.

Pan Michał jak piorunem rażony na taką niespodziankę, co rychléj schował wielką papiérową tabakierę, kazał podać sobie żupan świéżéj mody: Jaksa pomagał mu w przebraniu. Pan Melchior, stanął w czerwieni jak kogut do boju, rozdrażniony przybyciem nagłém niewiast, a co więcéj go rozgniéwało, że od nieskończonéj partyi szachów uciekł i stary rotmistrz, dla poprawienia ubioru i poczernienia sumiastych wąsów.

Cała służba pana Michała wystrojona, oczekiwała przed gankiem na przybycie wielmożnych gości. Jaksa ich porządkował, i jako mówił: *ustawiał w ordynek.* Rotmistrz z uczernionym wąsem, i ogromnemi ostrogami stał na czele, aby podawać damom rękę: Pan Michał na progu sieni, wzruszony nie mało, oczekiwał swojéj przyszłéj, a Malcher? Ten nie wyszedł ani do sieni, ani na ganek, ale w złości poprawiał pasa, i przed zwier-

ciadłem, przy pomocy śliny, ustawiał na głowie *czub szwedzki.*

Na zegarze ściennym właśnie wykukała kukawka jedenastą godzinę w poraniu, gdy kareta wspaniała pani Cześnikowéj, stanęła przed gankiem. Jaksa z rotmistrzem wysadzili najprzód panią Cześnikową, potém pannę Ewelinę jéj córkę, a narzeczoną pana Michała, potém pannę Matyldę starą ciotkę, potém pannę Annę starą pokojówkę, potém dwie służące, potém dwa szpice, daléj jeszcze opasłego i sapiącego mopka murzyna, następnie ciotki papugę, w jednéj klatce, a parę kanarków w drugiéj: następnie pudła, pudełka, pudełeczka, szkatuły, puzderka, worki i woreczki, co blizko godziny zabrało całéj służbie dworskiéj, nim je poznosili. Pan Michał, ucałowawszy rękę Cześnikowéj i narzeczonéj, powiódł matkę na przód, a Malcher udobruchawszy się wiele, okazał się nagle w sieni i przeprowadził Ewelinę.

—Mój drogi Stolniku, rzekła Cześnikowa do pana Michała, chcieliśmy ci zrobić miłą

niespodziankę. Otóż jesteśmy. Wracając ze stolicy, zboczyli'm umyślnie, by razem zjeść gąskę na Śgo Marcina, bo to dziś tego patrona.

—Miła mi Asindzki Dobrodziéjki (*odrzekł pan Michał z ukłonem*), każda łaska, a z czémże radość porównać, gdy raczyłaś pamiętać, iż w dniu dzisiéjszym jestem pozbawiony gospodyni, która tak sławnie wróżyć umié, o ciekawéj dla każdego rolnika zimie.

II.

Godzina obiadowa nadeszła nie długo: na pierwszém miéjscu posadzono panią Cześnikową i Ewelinę, obok siedział pan Michał z jednéj, a panna Matylda z drugiéj strony, przy niéj Malcher już weselszy miodem i *akwawitą* śniadanną, daléj rotmistrz i Jaksa, zamykali poczet.

Po wielu potrawach, w których staroświecki kucharz nie żałował szafranu i bakalij,

ukazała się gęś potężna, już rozebrana na części, wyjąwszy nietkniętych piérsi: te położono na talérzu przed panią Cześnikową, która zręcznie mięso zjadłszy, zostawiła wprędce kość nagą. Wtedy za danym znakiem przez pana domu, podał Hajduk puhar kryształowy, kwartę obejmujący, który koleją piérwszą wychylili wszyscy, za zdrowie dam obecnych. Cześnikowa w delikatne palce pełne piérścieni, o które zbił sobie zęby rotmistrz, całując serdecznie, ujęła kość piérsiową, i zbliżyła się wolnym krokiem do okna ogrodowego, obejrzała ją troskliwie, a ukazując przytomnym, taką wydała wróżbę, blizkiéj zimy.

—Widzicie państwo, z początku te białe plamy, wśród więcéj ciemnych, to znaczy iż po troszku będzie śniégu, ale więcéj deszczu: taka niepewna zima, będzie do połowy, bo do połowy kości, wszędy są plamy czarne, ale za to druga połowa zimy, będzie mroźna i śnieżna, bo spojrzyjcie państwo, reszta piérsi bez plamki.

—Taką rzeczą mościwa pani, wielmożna Cześnikowa, zawołał podochocony Malcher z puharem w ręku, będziesz z nas miała częstych gości kuligiem po dobrym śniegu.

Owoż! rzekł pan Michał, piérwsza wróżba Asindzki uiszcza się teraz, śnieg pruszyć zaczyna.

—Aha! (wyrzekli razem Rotmistrz i Jaksa), święty Marcin jedzie do nas na białym koniu.

—»*Święty Marcin po lodzie, Boże-Narodzenie po wodzie*,« taka u nas dawna przypowieść, i nie wiem czy na gody, zadzwoním sankami u wielmożnéj Cześnikowéj. To mówiąc, skłonił się nizko pan Malcher.

—Choćby i na kołach bosych (odrzekła), miłe mi Waszmość panów odwiedziny zawsze, proszę nie zapomnieć o tém, bo pod sianem na wigiliją, możecie znaleźć wróżbę szczęśliwą dla siebie.

Kiedy mile czas uchodził, przy zmroku poczęła się do domu Cześnikowa wybiérać: przystojność bowiem sama, nie dozwalała w domu narzeczonego jéj córki zanocować.

Zaszła więc kareta, wsadzono najprzód, albo raczéj wniesiono Cześnikową do pojazdu, i jéj córkę, i starą pannę ciotkę, i starą pokojówkę, i dwie służące: doładowano reszty dwoma szpicami, murzynem, mopkiem, papugą i kanarkami. Rotmistrz aby ujął sobie pana Michała, wsiadłszy na dzielnego arabczyka, zobowiązał się przeprowadzić damy, a pan Jaksa więcéj uradował narzeczonego, bo dwóch pachołków wsadził na konie z zapalonemi pochodniami, i sam im przewodniczył. Psy siedzące w karecie, na blask jasny poczęły przeraźliwie szczekać, papuga kląskać i świstać, Cześnikowa w uniesieniu radości, chustką z bramy powiała, gdy Malcher z pełnym kielichem nucił pieśni pożegnania:

»*A kiedy odjeżdżasz, żal w sercu zostawiasz.*»

III.

Zbliżył się czas *gód*, czyli Bożego-Narodzenia: pan Michał i Melchior wystrojeni, wraz z rezydentami swemi, Rotmistrzem i Jaksą, wybiérali się na wigiliją do pani Cześnikowéj. Tą razą wróżba omyliła, i Święty Marcin był po lodzie, i Boże narodzenie po lodzie, i śniégu. Wyciągnięto przepyszne sanie, pudło wyobrażało okręt, z przodu łabędź misternéj roboty, roztaczał białe skrzydła, i wyciągał długą pozłacaną szyję, obok dwóch murzynów w czerwonych czapkach, ukazywało zęby białe. Zaprzężono cztery białe konie, maść ulubiona Rotmistrza, który zawsze mawiał: »*Kto nie siedział na białym, ten nie jeździł na dobrym koniu..*« Przystrojone były w krakowskie chomonta, pełne dzwonków. Zasiadł wąsaty woźnica, w sutéj wilczurze, dwóch pachołków stanęło za sankami, i tak ruszono żwawo. Już gwiazdka

piérwsza ukazała się na niebie, kiedy nasi zajechali goście: przyjął ich na ganku pan Chorąży brat Cześnikowéj, i wprowadził do komnaty. Znaleźli stół długi, zastawiony, sianem nakryty, w każdym kącie izby, stały snopy zboża, świécznik ogromny pełen świec jarzących, oświécał widno. Pani Cześnikowa uprzejmie przyjęła oczekiwanych gości, oświadczając że *wigilija* gotowa, bo gwiazdka już przyświéca. Pan Michał posadzony obok narzeczonéj, rozpływał się w radości. Malcher marszczył czoło, ale mars rozjaśnił się wkrótce, przy rzęsistych puharach: wznosił on zdrowia liczne, proszony o to od gospodyni domu, a gdy właśnie dwunaste wznosił z kolei «*kochajmy się*» zabrzmiała kapela, roztwarły się drzwi, i ukazało się grono licznych gości i niewiast strojnych. Wiedziała o tych odwiedzinach Cześnikowa, ale chciała ucieszyć niemi przyszłego zięcia.

—W to mi graj! zawołał wesoły Malcher: a teraz rznij od ucha kapelo, pijem zdrowie

szanownéj i mnie wielce miłościwéj pani Cześnikowéj na kolanach!

To wyrzekłszy, ukląkł, wszyscy męzczyzni poszli za jego przykładem, otoczyli wieńcem matronę, i chórem śpiewali dawną piosnkę:

«Nie ma to, nie ma, jako nasza gospodyni.»

Rozrzewniona tym afektem Cześnikowa, skinęła na Chorążego brata: roztwarły się drzwi nagle, i na małym wózku ciągnionym przez dwóch karłów, okazał się antał starego węgrzyna, pamiątka po nieboszczyku jéj mężu. Ujrzawszy to podpiły Malcher, wziął na stronę pana Michała; i szepnął mu do ucha.

—Panie bracie! już teraz nic nie rzeknę, żeń się waszeć, to święta białogłowa, a snadź i dom zamożny.

Nie tu koniec, moi mili panowie *samsiedzi*, *(rzekła pani Cześnikowa)*, każdy przy swym talérzu w sianie wróżbę znaleźć powinien, trzeba poszukać.

Posłuszni sięgnęli ręką: pan Michał zna-

lazł dziecię w powijaku, panna Ewelina czepiec, Malcher razem z Jaksą i rotmistrzem panny z cukru, a stara ciotka kołyskę z bliźniętami.

* * *

IV.

We dworze pana Michała, już przez całą zimę trwały przygotowania. Święty Jan był oznaczony na dzień ślubu: mało w domu zagrzali i rotmistrz i Jaksa, bo jeździli za sprawunkami. Malcher sam teraz doglądał gospodarki, gdy brat jego stracił głowę i zajmował się wyłącznie przygotowaniem do ślubu. Im więcéj przecież zbliżał się do celu życzeń swoich, więcéj rozmyślał: przypominał sobie że już w lata zaszedłszy do wielu się rzeczy nazwyczaił, od czego trudno mu odwyknąć, a panna Ewelina nie znosi. Na przykład: nie pozwalała mu, jak dwa razy, zażyć tabaki przez dobę. On nawykł jeździć brocką bryką bez resorów: panna mu przy-

pominała karetę, i pojazdy nowe. Zaczęła przebąkiwać, że rezydentów nie ścierpi: trzeba więc będzie pożegnać rotmistrza i Jaksę przyjaciół prawdziwych, z których każdy, życieby za niego oddał. Krzywiła się na Malchera i doradzała, aby mu gdzie uboczną wieś puścił. Pani zaś Cześnikowa, chce mieszkać przy córce razem z starą ciotką, z starą pokojówką, papugą, szpicami i mopkiem!

To wszystko nie pokoiło pana Michała: we śnie nie raz wspomnienia takie dreszczem go nabawiały: tak straszne widzenia uspakajał modlitwą, i usypiał spokojniéj, zdając się na opatrzność. Malcher milczał, pracował szczérze zastępując wszystkich, dostrzegł zmiany brata i rzekł raz pod wieczór gdy sami byli.

—Miły panie bracie! coć wam wadzi: osowiały, zasępiony co dzień więcéj, czyśta niezdrowi?

—Zdrowia nie braknie, miły Melchijorku, ale trosków więcéj przy starych latach.

—»*Kto się ożeni, to się odmieni:*« tak mó-

wią: ale Wasze jeszcze się nie ożenił, a już odmiénił.

—Nie wiem *ki to kat*, ale im więcéj bliżéj ółtarza, tém więcéj rośnie w sercu obawy. Wszystko odmienić się tu musi, a mnieć tak miło i dobrze, jako jest teraz.

—Miarkuję, co chceta Wasze wyrzec, musiémy się roździelić: prawda, że jak dla mnie to bardzo przykro, boleśnie, (mówił wzruszony Malcher), od czasu jako na drewniasnych hasali'm konikach, zawsze razem, wyjąwszy gdy raz trzeba było tym psom Tatarom ogonić się, i odpędzić od zagonów i koprców swoich: drugi raz, gdy Wasze niemocą złożony leżał w Wieliczce... A teraz! ba!...

Nie mógł skonczyć, i łzy spłynęły mu po licach.

Zapłakał rzewnie pan Michał, rzucił się w objęcia brata, i długo płaczu utulić nie mógł.

V.

Nadszedł dzień ślubu, z smutném obliczem zajechał Malcher przed dwór Cześnikowéj, oznajmiając prędkie przybycie pana Michała. Panna Ewelina zapytała dumnie, czy kareta będzie do ślubu? Malcher duże zrobił oczy, oświadczając, że pan brat o tém dotąd nie pomyślał.

—Jakto, krzyknęła z gniéwem pani Cześnikowa, a o ślubie pomyślał?

—Nic nie wiem, mościwa pani, ale owoż i sam przybył, najlepiéj to wyjaśnić potrafi.

Jakoż w brockiéj bryce, zajechał pan Michał, z równianką kwiatów przy boku: towarzyszył mu konno Rotmistrz na dzielnym turczynie. Ledwie próg przestąpił, miasto powitania, matka i córka jedno-zgodnie wykrzyknęły: »Cóż to, brocką bryką do ślubu?

Pan Michał dotąd potulny baranek, podniósł dumnie głowę, i rzekł poważnie.

—Widzę, iż nie moja osoba, ale dostatek ma tu znaczenie i powagę, a wziąwszy to smutne przekonanie, nie pozostaje mi więcéj, jak zostać powolnym sługą, i dobrym jeno samsiadem, mnie wielce miłościwym damom.

Osłupiał Malcher na te słowa brata, a tém więcéj zdziwiony, gdy ten z ukłonem wyszedł, zarzucił wyloty na ramiona, kazał przed ganek zajechać brockiéj bryce, wsiadł w nię i odjechał.

Rotmistrz nie zsiadając z turczyna, został na podwórzu.

Zbladła Cześnikowa, zaczerwieniała panna Ewelina, Malcher w milczeniu pokręcił wąsy. Zgromadzeni licznie goście, z podziwieniem oczekiwali końca. W tém wszedł pachołek pana Michała, i wręczył list Malcherowi. Przeczytał go, uśmiéchnął się radośnie, i wlepił oczy na podwórze.

Nie długo zagrzmiał dziedziniec, cztéry kasztanki przepysznie strojne z karetą, jakiéj w okolicy nie widziano, stanęło przed gankiem.

—Czyjeż to, czyjeż? zapytali wszyscy.

Malcher skłonił głową, i rzekł: »kareta i konie, przeznaczone do ślubu były, chciał tém swoję ucieszyć narzeczoną, aby od razu nie pokazać, i jam nie wiedział nic o karecie. Zawiozą ony raz piérwszy i ostatni jego brata, co go kocha sercem, chociaż zawsze w brockiéj bryce jeździ.

Wyszedł, wsiadł do karety, i zniknął.

Pan Michał z radością w miéjscu żony, uścisnął brata, Rotmistrza i Jaksę. Spóźnił się dnia tego obiad o parę godzin, ale jak zwykle, jedli go razem: poczém Malcher grał z Rotmistrzem partyją szachów, a brat z Jaksą w tryszaka.

—Patrzcie! mówił uweselony pan Michał, zostanie wszystko jak było, nic się nie odmieni, będziemy razem do grobowéj deski.

—Dzięki Bogu! odrzekł Malcher, aleć ja prawdę mówiłem, że *u białychgłów, długie włosy, ale rozum krótki.* Miłoć mi, że mój pan brat, w piérwszym zawodzie, nie

uległ niewieście, bo za prawdę, dobrze mawiano i dawniéj:

»Z koniem nie igraj, niewieście nie ulegaj, pieniądze sam schowaj, chceszli być bez szkody.«

A potém! czyż nam tak źle? Tyle lat przeżyli'm społy w zgodzie i jedności, niechby tu niewiasta zasiadła, nigdybyś jéj pan brat nie dogodził, jako w onéj staréj przypowieści:

Dwa razy żona męża biła, raz że ogórki łupił; drugi raz, że jabłek nie łupił (*).

(*) Przypowieści S. Rysińskiego 1619 r.

—Czyjeż to, czyjeż? zapytali wszyscy.

Malcher skłonił głową, a rzekł: szarża i konie, przeznaczone do służby były, chciał tém swoję uciészyć narzeczoną, aby od razu nie pokazać, i jam nie wiedział nic o [illegible] [illegible]. Zawiera ony raz piérwszy i ostatni [illegible] jego brata, [illegible] waże w brockiej bryce. Radził [illegible]

[illegible]

Pan Michał z radością w miejscu [illegible] [illegible] się du[illegible] [illegible] pocztem Malcher grał z [illegible] szachów, a brat z Jaksą w tryszaka.

—Patrzcie! mówił wesoły pan Michał, zostanie wszystko jak było, nic się nie odmieni, będziemy razem do grobowéj deski.

—Dzięki Bogu! odrzekł Malcher, alem ja prawdę mówiłem, że *u białychgłów, długie włosy, ale rozum krótki.* Miłoć mi, że mój pan brat, w piérwszym zawodzie, nie

III.

Stara Księga

I.

DAWNY MEDYK.

OBRAZ BIBLIJOGRAFICZNY.

Chcę powiedzieć o jednéj księdze staréj, i o jednym dawnym doktorze z czasów Zygmunta Augusta: tą księgą jest *Herbarz polski ziół z 1595 roku*, tym doktorem jest *Marcin z Urzędowa* (a). Księga ta, jak wszystkie z onych czasów, należy do osobliwych rzadkości, bo ileż ich płomień nie wyniszczył, ile niedbalstwo nasze nie zatraciło!

Nie wiele mogłem się dowiedzieć o szczegółach życia Marcina: nasi biblijografowie dotąd więcéj dbali o okładki książek, a niżeli o to, co w sobie mają. Powiem więc to tylko, co sam o sobie namienia w różnych miéjscach dzieła.

Był w Polsce w one czasy Włoch doktor, bo ich wtedy nie brakło, wedle staréj przypowieści: »*Co Włoch to doktor, co Niemiec to kupiec, co Polak to hetman*, « a zwał się *Tuszet:* przy nim się uczył nasz Marcin, i z nim do Włoch odbył podróż. Miał on swoje wioski we Włoszech, w nich bawił Marcin, i ćwiczył się w poznawaniu ziół natury (1). Był w Padwie i w Wenecyi (2). W Padwie narwawszy *oślich ogórków* (cucumis asininus), położył je na stole przy rozpalonym kagańcu, ale kaganiec gasł kilka razy, i uczyć się nie mógł. Dopiéro przypomniał sobie Plinijuszowe pismo, które opisując one ogórki, namienia, iż gaszą światło, i precz wyrzucił (3). Po powrocie z Włoch, widać, iż wiele we własnéj podróżował ziemi, bo na różnych miéjscach *Herbarza*, wspomina wiele zamków, ogrodów, i gór Karpackich: kędy były osobliwsze zioła, tak między innemi namienia, iż sam zamek Tę-

(1) Str. 98. (2, Str. 118. (3) Str. 110.

czyński, dziś w gruzach leżący, ma bluszcz prawdziwy w zimie i w lecie zielony (1). Jałowiec u pana Tęczyńskiego wojewody Sendomiérskiego w Kraśniku, tak rosły, że są drzewa piękne, trudne rozeznać od Cyprysu, chyba jagodami (2). (b). W Sendomiérzu były drzewa morwowe z czarnemi jagodami, tu mieszkał Marcin, i miał swoje ogródki, gdzie zioła sadził: na listkach celidonii znalazł jedwabniki, i mówi: że warto myśléć o nich, bo się u nas udadzą (3). Urodził się Marcin w mieście Urzędowie, i w okolicy poznał wszystkie zioła rosnące.

Był Medykiem nadwornym Jana z Tarnowa, Kasztelana Krakowskiego, i Hetmana Wielkiego Koronnego; a to wskazuje, jak wielce musiała być jego nauka ceniona, w jakim był szacunku, gdy mając tysiące Włoskich doktorów, pan tak możny, na zawoła-

---

(1) Str. 97. (2) Str. 349. (3) Str. 383. Jagody czarne z tych samych drzew były w roku 1809.

niu, *Marcina Urzędowa*, mianował lekarzem swoim. Na zielniku podpisany: »*Kanonik niekiedy Sendomiérski*, gdyż był kanonikiem w Sendomiérzu. Zapewnie po śmierci Jana Tarnowskiego osiadł stale w Sendomiérzu, gdzie ratował wiele w czasie morowego powietrza, jako sam wyraża: »Mogę rzec, że będąc w ciężkim *morze*, nie znalazłem rzeczy przespieczniéjszéj nad *rutę* (1).

Najszlachetniéjsze pobudki, ożywiały Marcina w napisaniu Herbarza. Przed nim, wystąpił był Stefan Falimierz (*Phalimierz*, *Phalimirus*), ale mało oznajomiony z rzeczą, wielkie błędy popełniał. Smiało mu to i z całą otwartością wyrzuca: »Takich błędów, pełno w herbarzu polskim, iż albo insze dzieła po polsku wykłada, niźli po łacinie znamionuje, albo lekarstwa przeciwne, niemocom naucza, jako to okażę. Co ja bacząc, że się ludzie barzo tych ksiąg chwycili, według ich, gdzie nie ma lekarza sprawują się; wię-

---

(1) Str. 271.

céj psując, niż sobie pomagając: bacząc téż, że żadny doktor tego nieszczęścia, lutować się nie raczył; wziąłem przed się tę pracę, abych ukazał niedostatek wielki, herbarza polskiego (Falimierza), i potém drugich tapolskich herbarzów niedostatecznych a omylkież herbarzów niedostatecznych a omylnych. Tudzież umyśliłem prawdziwe ziół wyłożenie na polszczyznę, i pomocy ich ku zdrowiu ludzkiemu wypisać.« (1).

O swych poprzednikach, jak o nauce tak mówi:

«U nas w Polsce ta nauka zakryta dotąd była: naszych czasów, udał się na to jeden, aby swą pracą, ludziom pożytek uczynił: wyłożył zioła na polszczyznę z łacińskiego języka z wielką w prawdzie pracą, jedno że też sam zioła nie dobrze znał, ani podobno się tego uczył, praca jego była niepożyteczna, a raczéj szkodliwa, ponieważ insze zioła na polszczyznę wykładał, niźli po łacinie znamionowały: lekarstwa i własności ziołów

(1) Str. 2.

przypisował te, których nie miały: drugi chciał go poprawić, ale i ten nie wiele wskórał, bo i sam nie wiele mędrszy nad piérwszego był.» (c).

Tak więc głównie Falimierza błędy, którego Stefankiem nazywa i zarzuca, że to tylko wie jako się od bab nauczył (1), wywołały dzieło Marcina. Ale nie tylko tę jedynie pobudkę miał przed oczyma, jak sam mówi w swojéj przemowie:

«Ja też widząc tak wiele napisanych po łacinie herbarzów (d), po polsku iż nic takiego nie było z czegoby ludzie pomoc brali, (zwłaszcza iż nie wszyscy po łacinie umieją, a też miéjsc więcéj w Polsce, kędy doktora żadnego, a podobno i apteki nie masz), napisałem tę księgę, abym wprzód ojczyznie méj, powinność przystojną oddał, to co mi Bóg dać raczył, tyle ile jest, na pożytek pospolity obrócił, ludziom narodu Polskiego się

(1) Str. 86.

przysłużył, a na podziękowanie i wdzięczność zarobił » *(przemowa)*.

Szukając prawdy i pożytku, nie unosił się złością na Falimierza, ale szkodą ludzi, tąż samą ręką pisząc o błędach jego i gromiąc, pisze pochwały *Miechowity* doktora, nazywając go: »on zacny starzec, a znamienitéj pamięci polski *Ipocrates.*»

Obiecywał Marcin napisać: «*o zachowaniu zdrowia*,« lecz widać, że śmierć mu przeszkodziła, bo i ten zielnik późniéj po jego zgonie Firlewicz wydał. (*Author bowiem dobrze przed wysciem tych ksiąg sczedł*).

Przeczuwał postęp nauki lekarskiéj wrychle: «Ja życzę tego, aby po mnie szczęśliwsze czasy były, aby kto był doskonalszy, i uczeńszy, (w chęci bowiem i życzliwości sztychować mię nie może), któryby dla poratowania zdrowia ludzkiego godniéj, niźli ja pracował (1).«

---

(1) Przemowa.

Jan Firlewicz wydał herbarz Marcina: nie czytałem równie pięknego z tamtych czasów, jak początek przemowy tego wydawcy, przypisującego dzieło Gabryjelowi Woynie.

«Nauki wyzwolone pomnażać y zdobić, by też żadnego pożytku nie było, rzecz iednak przez się iest zacna, poważna, chwały y czci wielkiéj godna. Abowiem będąc człowiek złożony z dusze y z ciała, iako wzgardzony iest, ieśli się ugania za doczesnemi y cielesnemi rzeczami: tak zaś ieśli do zacniéyszych y górniéyszych rzeczy, umysł swóy podnosi, powagę y godność z duszą, iako z przedniéyszą częścią od natury daną zatrzymawa. W naukach iście wyzwolonych, z których wszystko prawdziwe dobro płynie, łatwie to pokazać może, kto się do nich garnie, y w nich ćwiczy, co za animusz w nim, iako wysoki y wielki, y iako wiele ma nad takie, co przywiązawszy się do żądzy swych, umysł swóy, dla ozdoby od przyrodzenia nażyczony, albo próżnością namiętności pomazuią, albo fałszywym roskoszy smakiem wiklą, albo fra-

sunkiem rzeczy doczesnych poniżaią, y pogrążywaią. Wspaniała to bowiem rzecz iest, a prawie boska, nie bawić się rzeczami ziemskiemi: ale umysł swóy, choć tym cielesnym ciężarem ściśniony, do rzeczy zacnych dzwigać, aby mógł obaczyć czym iest, co za zacność iego, także aby rozumem y dowcipu przyrodzonego biegiem, pomniał na początek swóy skąd poszedł, y był uczestnikiem bóstwa. Tać iest doskonałość żywota ludzkiego, ten sposób nauczćiwszy do życia (1).«

O nauce Marcina i biegłości, cóż mam wyrzec? Na swój wiek, miał jéj bardzo wiele, ale dziś na nic się nie przyda, gdy sztuka lekarska jak i botanika, olbrzymie i nie do porównania zrobiła postępy: ale puścić w niepamięć nie mogę, ile ta księga do domowe-

(1) W ustępie tym, zachowałem zupełnie i pisownią: jakiż to język, a pisownia jako mała różna od dzisiéjszéj po 244 latach! Zwracam uwagę, iż wyrazy *wszytko*, *abo* w on czas pisane, są tu przez *wszystko* i *albo* oddane.

go życia przodków naszych, zawiéra szczegółów. Owóż, jaki obraz nam się zjawia z zebranych i rozrzuconych szczegółów, nic obcego nie dodając.

* * *

«Nauka lekarska, na bardzo niskim stopniu stała, baby w Krakowie na rynku przedawały zioła, a która nieświadoma, często i truła ludzi prostych (1). Lekarze nieumiejętni, ani znali skutków ziół, na ślepo zapisując do apteki: a było lekarzy i aptekarzy nie mało, co się jedynie na baby spuszczali, i od nich się uczyli. Lekarze ci najwięcéj polecali zagraniczne zioła, za które drogo trzeba opłacać, chociaż swojskie, które deptali, mogły tamte zastąpić (2). Gotowali złoto z kapłonami, a polewkę dawali pić tym, którzy mieli drżenie serca.

---

(1) Str. 86. (2) «Z nas każdy ziółka depce, które nam więcéj, niźli arabskie lub indyjskie pomogą.» (*przemowa*).

Barwierze (*cérulicy*) świ żo wymyślili pigułki z żywego srebra (*z trtęci*), na ciężkie choroby użyteczne, a ziela *Słowrzód* albo *Uspi-wrzód* (*Centum morbia,lunaria minor*), używali jako bardzo pomocnego na rozmaite bolączki, krosty plugawe (1).

W Polsce owoczesnéj, nie wszyscy po łacinie umieli, a w wielu miéjscach, nie tylko doktora, ale i aptek nie było.

Pijaków nie brakło, co pili wino jak piwo, a takiemu gdy po przepiciu wczorajszém krew' puszczono, ciekło wino miasto krwi (2). Panie nie pogardzały tym trunkiem, piły wino i małmazyją zaprawiwszy szafranem. Dla ozdoby malowały brwie sobie, używając z kwiatów róży polnéj, proszku: nosiły paciorki bursztynowe, i korale.

Do wszystkich pokarmów, czy ubogi czy bogaty, używali zarówno wiele pieprzu: bogatsi ziół i korzenia zamorskiego. Ruś, która nie bardzo się bawiąc pieprzem, imbiérem,

(1) Str. 81. (2) Str. 456.

i muszkatą; przyprawiali domowemi zioły pokarmy, jako gorczycą i chrzanem, długo czerstwie żyli, bo nie znali i cudzoziemskich napojów, przestając na miodzie *przyjacielu zdrowia ludzkiego* (1).

Jedli mannę za jagły, rzodkiew' po stole dla strawności: grzyby, któremi najczęściéj zdrowie truli: cieciórkę (gatunek słodkiego grochu), szczególniéj na Mazowszu (2).

Zagęściły się ogrody kwiatowe przy dworach szlachty i w samym Krakowie, a za czasów Marcina, poczęto siać i sadzić: *Gwoździki zimne albo Indyjskie*, *śliczny a piękny kwiat* (3), *myrt* (4), *groch włoski*, *rozmaryn* (5), *lawendową szpicę (Spica Romana)*.

Z drzew po lasach naszych były pospolite, a dziś rzadkie: *Cis*, *Jodła*, *Jawor*, *Jesion*. Liście jesionu wzmacniały siłę w człowieku, dając pić dziecięciu wedle lat dziecinnych po 5 lub 7 liści. Były modrzewio-

(1) Str. 317, 371, 261. (2) Str. 228. (3) Str. 32. (4) Str. 56. (5) Str. 269.

we lasy: w nich zakupywano modrzewiową gębkę *(Agaricus)* i wywożono do Wenecyi, gdzie tak drogo przedawano, jak u nas *Rumbarbarum*. Nie mało kasztanów włoskich było w Krakowie, w Warszawie wiele sadów kasztanowych.

Nie szczepiono wcale winnic, bo rzadko dla zimna kiedy doszły grona: w jednym Sendomiérzu była winnica, która się udawała wybornie (1). Snać, iż za żywota Marcina mało sadzono, bo późniéj wiele winnic istniało, jak tego historyczne pomniki nas uczą.

W Krakowie, mówiono, jak sam Marcin wyraża, *wypolerowanym językiem polskim* (2).

W wychowaniu dzieci już było złe zakorzenione: dzieciom dawano wino, cukry szkodliwe, korzenie cukrowane: «matki same zaś leda co jedzą, upijają się zwłaszcza winem, i mocném piciem, więc ono dzieciątko z niéj wyssie, potem rozniemoże się, umrze, a mat-

(1) Str. 456. (2) Str. 44.

ka, która je swym obżarstwem zabiła, nie pokutuje» (1).

Lud święcił Sobótkę, przy ogniach niewiasty opasywały się bylicą *(Artemisia)* i wieszały na sobie, ognia krzesali deskami trąc jedne o drugie, tańczyli i śpiewali pieśni. Jak uważano wtedy obrzędy staroświeckie ludu, dosyć przeczytać Marcina słowa (2).

«Tego obyczaju pogańskiego do tych czasów w Polsce nie chcą opuszczać niewiasty, bo takież to ofiarowanie tego ziela *(bylicy)* czynią, wieszając, opasując się niém. Swięta też téj djablicy *(Dyjanny)* święcą, czyniąc Sobótki, paląc ognie, krzesząc ogień deskami, aby była prawa świętość djabelska. Tamże śpiewają pieśni plugawe tańcując, a djabeł też skacze, raduje się, że mu Krzescijanie czynią modłę a chwałę, a o miłego Boga nie dbają, abowiem dzień świętego Jana, wieśniaków przy chwale miłego Boga żadnego nie będzie, a około sobótki, będą wszyscy czynić rozmaite złości.»

---

(1) Str. 103. (2) Str. 32.

Marcin daléj radzi zająć się chodowaniem jedwabników, zbiéraniem Czerwcu, bo w on czas w Wenecyi, farbowano polskim Czerwcem rzeczy kosztowne jedwabne (1): szczepieniem kasztanów włoskich użytecznych (2). Czerwiec zbiérano za jego czasów najwięcéj około Łowicza, Rawy i Warszawy «iż tam tego obyczaj, bo jednak wszędzie po Polszcze tego dosyć, ale o to nie dbają» (c).

Z rad lekarskich Marcina ważniéjsze są: wstrzemięźliwość używania wina, i zarzucenie korzeni: jaja na miękko, uważa za najzdrowszy pokarm: w końcu radzi oszczędne krwi puszczanie, jakie się w on czas zagęściło.

* * *

Małoż to szczegółów, do życia wewnętrznego podaje nam ta księga! Gdyby każda

---

(1) Str. 333. (2) Nie mogę zrozumiéć, czemuby też się nie jęli szczepić tego drzewa (*kasztanów włoskich*), gdy się rodzą.

była w nie tak obfita, jakżeby wprędce zebrać można obrazy dokładne żywota przodków naszych z XV i XVI wieku? Ale są folijały, nad któremi oczy wyślęczyć potrzeba, głowy udręczyć, za nim się jeden lub dwa szczegółki zdobędą, a często ani ziarnka dobrego. Taka to droga cierniowa, którą każdy badacz szukający prawdy historycznéj, przechodzić musi.

Teraz na ostatek, przychodzi mi samo dzieło opisać. Napis ma taki:

»*Herbarz Polski*, to jest: o przyrodzeniu ziół y drzew rozmaitych, y innych rzeczy do lekarstw należących, Księgi dwoje

Doktora Marcina Urzędowa

Kanonika niekiedy Sendomiérskiego y Jaśnie Oświeconego Hrabie Pana, Pana Jana z Tarnowa, Kasztellana Krakowskiego y Hetmana Wielkiego Koronnego etc. Medyka. *W Krakowie* w drukarni Łazarzowéj, roku Pańskiego MDVC in folio.«

Cały tytuł w ramkach ozdobnych: podkreślone wyrazy, czerwoną odbite barwą.

Przemów stronnic 3, samego dzieła signat: A-Tt 2. Kart na obie strony znaczonych 488 i jedna: i na téj zapewnienie własności wydawcy.

»Za przywilejem Króla JM: nikomu zgoła nie wolno herbarza tego Doktora *Marcina z Urzędowa* drukować: ani gdzie indziéj drukowanego w Państwach JKrólewskiéj M. do Korony należących przedawać, pod winą do Skarbu JKM. w przywileju mianowaną.« I znowu powtórzono miéjsce druku jak wyżéj.

Podzielił dzieło na dwie księgi:

Piérwsza zawiéra rozdziałów (capitulum) 172, o ziołach.

Druga: »O własnościach przyrodzonych drzew y niektórych ziół zamorskich.« Ma trzy części:

A) Rozdziałów 105 zawiéra.

B) Część wtóra o *kruszcach*, rozdziałów 37.

C) Część trzecia: »O rzeczach wodnych albo miękkich do lekarstw potrzebnych, któ-

rych używamy jedząc i pijąc. »Rozdziałów 35.

Całe dzieło ozdabiają drzeworyty roślin. O ich niedoskonałości, tak mówi po przemowie wydawca Firlewicz.

»Godziłoć się było wprawdzie, doskonalszemi figurami *Herbarz* ten ozdobić, i do każdego zioła, ich własne figury przydać. Ale iż ani rzemieślnika takiego, coby dobrze i pilno zrobić mógł, ani tego, coby wiernie w rzczaniu dojrzał; nie było. Autor bowiem dobrze przed wyjściem tych ksiąg zszedł: czytelnik łaskawy, na takich, na jakieśmy się zdobyć mogli, przestanie.« Bo (mówi dalej), jak kwitnie, jak dostawa się, trzeba było wyrazić, a koszt nieoszacowany i praca nieskończona.

Dzieło, które mamy przed oczyma, oprawne było zaraz po wyjściu z druku. Oprawa gruba, w deski powleczone skórą, na klamry mosiężne zamykana; wiérzchnia strona oprawy, ma wyciski ozdobne i tłoczony napis: »*Herbarz Urzędów.*« Spodnia strona,

w środku ma wyciski na skórze wyborne, popiersi świętych mężów: w około zaś popiersia dokładne, jak na monetach: Zygmunta 1go, Bony, Zygmunta Augusta i siostry jego Katarzyny, co później była królową szwedzką, a matki Zygmunta 3go.

Druk gocki, mięszany z łacińskim.

PRZYPISY.

(a) Nie wiem dla czego Marcina Urzędów, przezwano Marcinem z Urzędowa. Wydawca Jan Firlewicz który najlepiéj znał jego nazwę, pisze *Marcin Urzędów*. Tylko przywiléj królewski w końcu dzieła zamieszczony, nazywa go Marcinem z Urzędowa, co jest błędem, bo i sam się podpisał w przemowie «Doktor Marcin Urzędów.»

(b) Równie piękny w drzewach jałowiec, znajduje się we wsi *Góra* (dwie milki za Jabłonną), dziedzictwie Hr. Wacława Gutakowskiego.

(c) Gdy o dwóch tu mówi Marcin poprzednikach swoich, zapewnie miał na celu Stefana Falimierza, którego wyraźnie mianuje ze był Rusin, i tyle tylko umiał, co go baby nauczyły, a który w r. 1534 swój Zielnik wydał: i Hieronima Spiczyńskiego lekarza Zygmunta Augusta, a tego zielnika wydawcą w r. 1554 był Marcin Siennik, lubo go nasz Marcin wyraźnie nie wymienia. Piérwszego zwykle Stefankiem nazywa, a wyrzucając

mu szkodliwe błędy dla społeczności, zaczyna od tych słów prostych: «*O Jesu Kryste! jaki błąd.*»

(d) Z łacińskich herbarzy roślin, z czasów przed Marcinem, znam tylko jeden *Szymona z Łowicza*, zapewnie w rękopismach musiało być ich więcéj do użycia.

(e) «Czerwice, jest ci ziarnko, które w Polszcze zbiérają czasu majowego, pod korzonki z ziemie. Są ziarnka czerwone, niewielkie w ziemi pod korzonki u ziół, a zwłaszcza pod zielem zwane: «*Dzień i Noc*» albo *Niedośpiałek*, także pod żytem, i pod inszemi rozmaitemi ziółki. Te ziarnka kopają z ziemie pod temi korzonki. Maja kwitną, a gdy przyjdzie Czerwiec, tedy już się obrócą w robaczki, i wylecą: też robaczki świécą w nocy Czerwca, a zowią je też pospolicie *Czerwcami.*» (Str. 333).

Muszę tu przytoczyć wiadomość szczególną, którą poczciwy Marcin za prawdę podaje na str. 429. «Wiem za pewną rzecz wodę na Podgórzu za Sączem, między skałami, którą gdyby kto chciał wynieść z granicy onéj dziedziny, tedy czyni gromy, trzaskawice, dżdże, niepogody, a ludzie zaraża.»

IV.

MOROWA ZARAZA

w WARSZAWIE 1712 r.

OBRAZ Z PODAŃ MIÉJSCOWYCH.

Przy wzniosłém wzgórzu po nad Wisłą, na którém stanął zamek odwieczny, przylepiony by jaskółcze gniazdo, chwiał się domek drewniany, zamieszkany przez starego rybaka *Warsa*. Wielkiego on doznawał poszanowania między swojemi, którzy czołem bili przed tym, którego mieli za potomka założyciela Warszawy. Stary Wars żył skromnie, nigdy przecież nędza dotknąć go nie mogła: węda, więcierze, i sieci rozmaitego kształtu, co okrywały ściany jego domostwa, to był jego majątek! Schwytane ryby chléb mu dawały, ale nie samemu, bo sześciu wyrosłe-

mi synami chlubił się stary rybak, co mu pomagali w każdéj pracy. Krypa spora, i dwie łodzie, w których leżały mokre wiosła świadczyły, że nie dawno co z połowu wrócił; jakoż po wczesnéj wieczerzy otarłszy wąsy, rzekł do synów:

— No chłopcy! Jakubówki (b) jeno co nie widać, nim ona dorzuci nam wody z Wisły, aż do progu naszéj chałupy, trzeba zrobić zapas, jeżeli Bóg zdarzy.

I razem z ojcem ruszyli wszyscy synowie, stara ich matka przeżegnawszy, wyzierała z progu domostwa, jak dosiadali krypy i łodzi. Kiedy odbili daleko od brzegu, najstarszy Marek przy zmroku ukazując na Wiśle płomień zawołał:

—Panie Ojcze! dyć się nasza Wisła pali!

Stary Wars spojrzał w tę stronę:

—Nie woda-ć się pali, ale flisy chcą wiatr uprosić. Wy to frycę, owoż wam powiem co robią. Kiedy wychodzą z Gdańska, kupują piszczałki i skrzypice, a gdy ich długa cisza pod tę porę zachwyci i żaglem wiatru uła-

pić nie mogą, w on czas płachtę umaczaną w smole zapalają rzucając w wodę, i zaraz grają na fujarkach i skrzypicach, bo takim sposobem można jeno wiatr uprosić, by gwiznął w żagle! (c). Owoż słyszyta chłopcy rżnie ich kapela.

W istocie, odgłos fujarek i skrzypic rozległ się po rzece, i odbił o brzegi, gdy stary Wars, spojrzał raz na miasto, a potem w obłokach utkwił oczy pod brwią siwą. Wesołe krzyki flisów ochotnych, marszczyły mu więcéj czoło zorane. Powstał na krypie, dał znak, ucichły wiosła, a on wskazując znak na niebie czerwono-jaskrawy, z trwogą zawołał:

— Patrz-ta chłopięta! kara Boża nad nami. Taka sama ognista miotła, nad naszém stała miastem, gdy przed czterma laty morowa-zaraza wyniszczyła niemal wszystkich Warszawiaków, i lat dwa grassowała! W on czas, wyprowadziłem was z matką, w lasy Nieporętu. Miłyć Boże! panowie uciekli wcześnie, jak to w złem bywa u nas zawsze: 30,000

ludu i kapłanów bożych, niemało pochowano w ziemi!

Wiatr się zerwał, musiano pracować dobrze wiosłami, ale woda uniosła krypę z czołnami daleko, i zbliżała do statku flisów, gdzie przygrywano jeszcze.

— Źle się bawicie, moi braciszkowie! wyrzekł Wars stary, spojrzycie nad wieżę zamkową, widzita miotłę ognistą!

I wskazał palcem zdjąwszy czapkę.

Flisom wypadły fujarki i skrzypice z ręku, wszyscy padli na kolana.

* * *

Drogą od Krakowa w tę właśnie dobę, szedł młody czeladnik kuśnierski, rodzic z Miechowa, i jako dziecię miechowskie, zawsze wesołe i śpiewne, nucił piosneczki swéj ziemi. Podpierał jedną ręką, pałką krzemionkami nabitą, zmordowane kroki, w drugiéj trzymał spore zawinięcie, drogi skarb własny, bo w niém były cudnego włosa czarne baranki, które dobrze spieniężyć spodziewał się w Warszawie.

Gdy ujrzał wysokie wieże kościołów tego miasta, począł śpiéwać weseléj, kiedy nagle uciął, zobaczywszy na niebie jaskrawą miotłę, tę samę, którą Wars stary od dawna uważał. Trwoga go jakaś tajemna przejęła, przeczucie bojaźni, blizkiéj śmierci, w tętnach swoich uczuł, wypuścił zawinięcie, i nie dostrzegając tego, szedł daléj, gdy jakiś Niemiec w trójgraniastym kapeluszu podniosłszy zgubę, przybiegł do niego i oddając zawinięcie wyrzekł: «Nieście to, to skarb twój, i dla miasta » Czeladnik chciał mu podziękować, ale juz go więcéj nie zoczył, tylko śmiéch szyderski zabrzmiał mu w uszach. Pobożny młodzieniec dobył szkaplerza i zaczął odmawiać modlitwę z taką skruchą i serdecznością, jakoby stał nad grobem. Właśnie dzwony z kościołów miasta zabrzmiały tak żałośnie, by przed ciałem zmarłego: młodzieniec upadł na kolana, wzniósł oczy w niebo, miotła ognista nad *Starém-Miastem* zabłysła jeszcze jaśniéj. Porwał się więc strwożony, i przeszedłszy długie ulice, stanął na *Krakowskiém-*

Przedmieściu; skąd zwróciwszy na prawo, zeszedł przy *Bernardynkach*, wązką ulicą, do znajoméj gospody kuśnierskiéj.

* * *

Wars smutny, wracał z próżnemi rękoma z połowu. Kazał łodzie i krypę, do wyższego koła przywiązać, spodziéwając się większéj w nocy wody, i wszedł ponury do domu, gdzie jego żona przy rozpalonem łuczywie, sak na ryby naprawiała.

—Pan Bóg z tobą, niewiasto moja, (rzekł zdejmując czapkę, i maczając palce w wodzie święconéj, zawieszonéj w kropielnicy we drzwiach). Nic się nam nie wiodło, ręka Boża srogo nas dotknie!

—A to czemu tak prawiła? drżąc ze strachu, zapytała stara.

—Spojrzyj nad wieżę zegarową naszego zamczyska, a ujrzysz to, co było przed *morem*, kiedyśmy w lasach Nieporętskich.....

— Święta Rozalijo! krzyknęła z przerażeniem, czy dużo luda upadło?

—Może dotąd żaden, ale jedno z tego nas dotknie: mór, głód, ogień lub wojna!

I usiadł zamyślony na ławie. W téj chwili weszli synowie.

—Gdzie Marek? zapytał Wars surowo, już go nie ma!

—Poszedł na gospodę kuśnierską, na piwo, odrzekł najmłodszy Kryspin.

—Ta gospoda (*mruknął starzec*), zgubi go na ciele i duszy. Rozpalcie no ognia, wiatr zimny ziębił do kości ciało, jakże poświstuje, aż chata skrzypi, a ciemno choć oko wykol.

Zaledwie buchnął płomień na kominie, gdy starzec siedzący przy oknie, nagle stanął na nogi, i przychylił ucho do szyby: wszyscy na niego z trwogą spojrzeli.

—Jezus Marya! Słyszyta dzwony w mieście! gore miasto zapewnie!

I nie długo łuna mocna, przebiwszy ciemność nocy, zaświeciła w okno, i oblała jasnością całą twarz Warsa. Starzec, jakoby nią sparzony, odskoczył od okna, i wybiegł na małe podwórze.

Za klasztorem Bernardynek, wybuchnął pożar. Słup szeroki ognisty, oświécił całe miasto, a iskry i głownie, rzucał daleko.

— To gospoda kuśnierska gore! zawołał Kryspin: ratujmy ich, tam nasz Marek spłonąć może! I poskoczył w górę, a za nim bracia, jednego tylko Krzysztofa starzec zatrzymał przy sobie.

Chłopcze! nie leć za tamtémi, trzeba téż żeby choć jeden mi został w chałupie.

Bartosz, on czeladnik kuśnierski, odzyskał wrodzoną wesołość w progu gospody, słysząc gwar radosny i śpiéwki. Otwiéra drzwi i wchodzi śmiało do dużéj oświéconéj izby, ale zaledwie krok postąpił, i drzwi przymknął; wszystko ucichło, i milczenie grobowe osiadło. Biesiadnicy weseli, z trwogą przywitali nowego gościa, jakby posłańca śmierci, a pomięszany Bartosz, przy piecu zajął próżne miéjsce, gdzie złożył swoje zawiniątko, i usiadł przy niém. Właśnie w tę

dobę roztwarły się drzwi na ścięźaj, i z wesołym licem, ukazał się Marek Wars, w granatowéj kapocie, z wełnianym pąsowym pasem, i czapką z siwych baranków, z wielą wsiążkami.

—Héj gospodyni! miodu Litewskiego, a szczérego wiśniaku garniec mi stawiajcie! Jak się mała! i zaczął pozdrawiać znajomych sobie.

—Zdrowie Waszeci panie Marku, (zawołał pan Sobol kuśnierz z Dunaju), aby Wasze potomstwo, długo nas cieszyło, i przypominało tych, co założyli naszę Warsawę.

—Któż to taki? spytał nieśmiele Bartosz, siedzącego najbliżéj starca.

—Widać, żeście cudzy, to trzeba Waszeci wiedzieć, jest syn najstarszy rybaka Warsa, którego prapradziadek założył Warsawę, a ma się żenić, z córką owego kuśnierza. Opowiem to Waszeci.

Bartosz kazał podać miodu dwie czary, a stary wnet się rozgadał.

—«Kędy tu widzita całe nasze miasto,

była dawniéj wielka puszcza, pełna grubego zwiérza (d), a w niéj radzi polowali nasi królowie. Jeden z nich Kazimierz, pędząc za jeleniem dzień cały, zabłąkał się w końcu, a odbiwszy się od swego dworu, już trafić na drogę nie mógł: darł się więc przez gąszcza, zarośle, błota, w których i konia zostawić musiał. Tak gdy się zmęczony błąka, zaskoczyła go noc ciemna: na szczęście, ujrzał małe światełko; było to ognisko z lichéj lepianki, gdzie w tę właśnie godzinę, żona łowcy porodziła bliźnięta. Tu znalazł przytułek, i wczas miły. Owoż trzymał sam nowo narodzone do chrztu świętego: chłopca z nich nazwał *Wars*, a dziéwkę *Sawa*. Nie zapomniał i późniéj o téj rodzinie, pomógł łowcy, a on wystawił ten sam dworek, gdzie rybak z synami mieszka. Odtąd i inni poczęli puszczę wycinać, w około się osiedlać, a tak rok po roku, z tego powstała zwolna Warszawa, boć i Kraków nie za jeden rok zbudowano. Ten to młodzie-

niaszek, idzie w prostéj linii od tamtego Warsa, a ma pięciu braci (c).»

Bartosz ciekawsze oczy obrócił na Marka, co rześko wychylał czary miodu. Starzec co mu opowiadał początek miasta, widząc że ciągle rękę na zawiniątku trzyma, zapytał ciekawie, coby w niém zachował?

—«Cudnego włosa czarne baranki, które chciałbym komu sprzedać, odrzekł Bartosz.

—Pokaż no Waszeć, tu nie jeden kupiec w gospodzie kupić może.

Bortosz odwiązał płótno, i na stole począł dobywać, jednę skórkę po drugiéj, potrząsając niemi przed światłem. Marek co najbliżéj siedział, głaszcząc włos piękny, począł je wychwalać, ale wkrótce jakiś smutek padł mu na czoło, nie dopił czary miodu, ręka mu opadła.

Bartosz zbladł i osłabł, kuśnierz *Sobol*, co przy Marku siedział, pochylił zemdlony głowę, wszyscy umilkli strwożeni, gdy nagle odgłos z dworu poruszył wszystkich: «Gore! gore!» a jasna łuna uderzyła we

wszystkie okna gospody. Co żyło, wybiegło z izby; zostało w niéj trzech tylko, Marek, Bartosz i Sobol. Marek z Sobolem nie mogli powstać z ławy osłabieni, Bartosz upadł przy stole i skonał; piękne baranki stanowiące biédaka majątek, nieznajomi, co późniéj wpadli, rozerwali między siebie. Każdy z nich niósł radośnie nieszczęsną zdobycz, nie wiedząc, że kto jéj się dotknie, śmierć go niezawodnie spotka: futra te były zapowietrzone!

Dwanaście domostw zniszczył pożar, spłonęła gospoda kuśnierska, a w niéj Marek z przyjacielem i trup Bartosza: ale strraszniéjsza nad ogień ukazała się klęska, bo *morowe powietrze*. Ustanowiono zaraz BURMISTRZÓW POWIETRZNYCH, w *Starém* i *Nowém mieście*, którzy nieśli pomoc zarażonym. Gdy dzwony uderzyły, wszystkie roztwarto kościoły, wyniesiono obrazy świętéj Rozalii jako pa-

tronki od zarazy, zabrzmiała tysiącem ust pieśni na cześć świętéj.

Opustoszały domy, ulice, codzień strwożeni panowie i możniéjsza szlachta na odgłos klęski uciekali z miasta, pozostali mieszkańcy, patrzyli ze wzgardą na zbiegów i wołali: »Uciekajcie! uciekajcie! my tu gdzieśmy żyli, i ciała złożémy, gdy taka wola Boga!»

Burmistrze powietrzni, gdzie się zarażony ukazał, natychmiast domostwo ostawiali strażą, zabijano okna deskami, a żywność na długich podawano żerdziach. W pustém mieście, słychać tylko było płacz i jęki, a dzwony kościelne, głośniéjsze miały echa.

Wars stary w dniu owym, utracił dwóch synów: Marka, co nie wyszedł z gospody, i Kryspina, co nazajutrz z zachwyconéj zarazy umarł. Wkrótce utracił jeszcze trzech synów, co byli przy pożarze, został mu Krzysztof jeden i chora żona.

Przygnieciony wiekiem i cierpieniami, szedł rano z Krzysztofem do apteki na *Stare-Mia-*

sto, po lekarstwo dla żony, gdy ujrzeli dwa wory pieniędzy. Stary rybak pominął je, nie rzuciwszy okiem, ale Krzysztof potrąciwszy nogą, podniósł wory i ukrył je za pazuchę. Kiedy wrócili, wysypał z nich złoto i srebro, do niecki, pod łoże matki, a rzucając wory próżne w ogień, rzekł z cicha do ojca.

Panie Ojcze! pięciu już braci pomarło, nas spotkała nędza i głód nie raz, tam w niecce macie pieniądze: przemyłem każdy wodą i octem: możecie się dotykać, wory palę, a teraz bywajta mi zdrowi, Bóg mi pomoże, muszę uciekać, bo worki może zapowietrzone.

I wybiegł z domostwa. Starzec upadł na kolana, zalany rzewnemi łzami, uderzył czołem o ziemię, przed obrazem Matki Boskiéj i rzekł: «Stań się wola Twoja święta.»

Kiedy wyszedł Wars na miasto, po miesiącu zarazy, zieloną trawą pozarastały ulice, klasztory i kościoły, jak zamki i pałace panów obwarowały się, zaopatrzone w żywność i w wodę. Z murów niektórych, spuszczano

na sznurach chléb i wodę. Błąkał się długo rybak samotny, mając pieniądze, a nie mogąc kupić żywności. Jak żebrak, podstąpił pod mury pałacu Kazanowskich (*) i drżącym głosem, prosił chleba dla choréj żony. W wysokim oknie ukazał się dworzanin, i rzekł litosnym głosem.

—Do klasztora idź mój bracie! pana nié ma doma, a chleba, my sami nie wiele mamy.

Spojrzał Wars z pogardą i poszedł daléj, jakoż z murów OO. Kapucynów, podał mu czcigodny kapłan: chleba, kaszy i butelkę wina.

— Teraz idźcie doma *(rzekł do rybaka)*, a jak zapotrzebujesz przyjdź znowu, Bóg opatrzny czuwa nad wszystkiemi.

Poszedł starzec pustemi ulicami, i w zadumie, oblewając gorzkiemi łzami strawę podaną, postępował z wolna. Jakaż to cisza grobowa, zaległa gwarne niedawnemi czasy

---

(*) Dziś dom Dobroczynności, na Krakowskiém Przedmieściu.

miasto, nie usłyszał głosu człowieczego, jeno wycie drapieżnych zwierząt. Tak idąc, wyszedł za miasto pod *Wolą*, i stanął podziwem zdjęty. Resztka ludności uboższéj, co opuściła domy, tu gronem klęczała znędzniała i wybladła; każdy drżącym głosem jawnie się spowiadał, a pobożni kapłani, udzielali rozgrzeszenia. Nie jeden, nie domówił słów zaczętych, i padał, zamykając oczy na zawsze: drudzy wystraszeni uciekali w lasy, co w około otaczały Warszawę. Wars padł na kolana, a rzewne wzniósłszy modły Bogu, powstał, i z lżejszém sercem, wrócił do domu.

Nie tylko miasto, okropną przybrało postać, okolice na mil kilka, opustoszały nawet, a trupy liczne, zalegały drogi i pola. Stada wron, kawek i kruków, krążyły nad zwłokami, ale jakby czując zarazę, nie tknęły żadnego. Drogie sprzęty, srebrne naczynia, pieniądze w worach, leżały po drogach, i ulicach w mieście, ale nikt ich nie tykał, bo z nich mógł zachwycić za-

razę. Jaka licha wartość bogactw i pieniędzy, to wtedy ujrzałeś: trwoga, a myśl ochrony życia, w każdém sercu biła, milijony mogłeś sypać bez straży, jedno słowo »*zarażone*,« strzegłyby lepiéj, jak warowne zamki, i zbrojne szeregi.

Codziennie rybak stary, modlił się gorąco Bogu, aby ujrzał syna, ale napróżno. Żona wstała z łoża, które zaległ nie długo starzec. Skwarne lato przeminęło, zbliżyła się jesień, nieszczęśliwi mieszkańcy pozostali, pragnęli jak zbawienia mrozu i śniegu, w nadziei, że te przytłumią zarazę. Wiatr już chłodny, ze szronem nie raz powiał, zimno w domostwie poczęło dokuczać, staruszka obawiała się wziąść drzewa od sąsiada, bo tam cała rodzina wymarła.

— Weźcie (*rzekł starzec*) krypę, com ją dobył na ląd, i łodzie porąbajcie, już się ony na nic nie zdadzą, a choć raz przynajmniéj przed śmiercią, ogrzeją skośniałe ciało.

Gdy odeszła zrobić co kazał, rybak zasnął, a Warsowa wracając z kilką kawałka-

mi odrąbanemi od łodzi, ujrzała z podziwieniem ogień spory naniecony na kominie.

— Matko Boska! to cud jawny! (krzyknęła), a zbudzony rybak, zaczął pytać o powód jéj podziwienia.

A któż napalił ogień? patrzta, co tu suchego drzewa pod kominem leży.

(Spojrzała na stół).

— Miły Boże! patrzta mój człowieku, trzy bochny świeżego chleba, gąsior miodu i piwa, kaszy worek i kawał słoniny! Kto tu był?

Nikogom nie słyszał, chyba stróż anioł, lub litościwy człowiek, którego Bóg natchnął.

Zakosztował Wars miodu i grzanego piwa wraz z żoną, i piérwszy raz niegłodni, snem miłym usnęli: odtąd dzień po dniu, świéża żywność, i pełne dzbany, ręka niewidzialna stawiała.

Już zaraza ustawać zaczęła, śnieg zakrył trawę i chwasty po ulicach, a dobre przymrozki wróżyły, że klęska ustała. W przed-

dzień Śgo Marcina, przy dobrym ogniu, wygrzawszy ciało, stary Wars zaczął ze łzami przypominać, jako dawniéj w gronie synów, wedle zwyczaju dawnego, gęś razem pożywali. W dzień tego patrona ubogich, i zwiastuna zimy oczekiwanéj, gdy oboje wrócili z kościoła, ujrzeli drzwi otwarte, i gęś zasadzoną znaleźli na rożnie, a dzbany krakowskie, wypełnione piwem i miodem. Kiedy upiekła ptaka, i do należytego mieli siadać stołu, roztwiérają się drzwi nagle, i staje w nich Krzysztof w nowéj kapocie, i bogatym srebrzystym pasie.

Wars nie mógł słowa przemówić, oniemiała matka, a gdy syn upadł im do nóg, zapłakali starcy, przycisnęli do serca, jedyne dziécię, które z znalezionych piéniędzy zaopatrywało skrycie w żywność rodziców, i nieciło dobry ogień na kominie. Krzysztof już teraz bez bojaźni, że nie zarazi rodziców, śmiało ich kolana uścisnął.

* * *

Rodzina Warsa, znikła na tym Krzysztofie, który umarł bezpotomny, w lat kilka, po wstąpieniu na tron Augusta 3go.

PRZYPISY.

(a) Roku 1708 w *Nowém-Mieście* i na Krakowskiém przedmieściu, okazała się zaraza śmiertelna w Lipcu, przez chorągwie kwarciane z Krakowa przybyłe naniesiona: mieszkańcy znaczniéjsi powyjeżdżali, ta kara niebios trwała do Stycznia 1710 roku. Na murze blizko świętéj Trójcy, niegdyś kościoła Panien Brygidek przy ulicy Długiéj, znajduje się dotąd kamienna tablica pamięci «Doroty Kuklińskiéj» i «Maryanny Okuniównéj» zakonnic, w ten czas z powietrza zmarłych, poświęcona. Zmarło 30,000 ludzi, 10 Missyjonarzy usługujących, z bractwa S. Benona 49 padło ofiarą! (*Opis Warszawy Ł. Gołębiowskiego 1827 r.*) W roku 1712 wybuchła zaraza morowa tym sposobem, jakeśmy ją opisali z podania w mieście, które słyszałem w swojéj młodości. W kościele OO. Jezuitów obok Fary, ołtarz ś Franciszka Ksawerego, posiadał szczególniéj ten przywiléj, że co rok 3 Grudnia, święcono nadzwyczajnéj wielkości świécę woskową, na pamiątkę wybawie-

nia od powietrza w r. 1661. Dopełniano tego podczas mszy *Rorate*; żyje jeszcze wiele osób, które pamiętają ten obrzęd religijny.

(b) «Jakubówką» nazywa się wezbranie Wisły, które na święty Jakub, mniéj więcéj rok rocznie bywa.

(c) Rzeczywiście flisy takich obrzędów używają, do uproszenia wiatru. Sam to widziałem na Wiśle, pod Wyszogrodem.

(d) Jeszcze zaznałem starców, co pamiętali las wprost kościoła księży Pijarów na Długiéj ulicy (*gdzie dziś cerkiew*). Miéjsce to zachowało swoję nazwę: była tam kawiarnia zwana «*Suchy las*.»

(e) Takie podanie jest między ludem o założeniu Warszawy ustalone: lubo P. Ł. Gołębiowski (*w opisie Warszawy*) przytacza, że niewiasta stara, zwana Ewa, dała początek, na którą wołali z dala flisy głodni «Warz (*gotuj strawę*) Ewa, i ztąd Warszewa, a późniéj Warszawa.

V.

KLECHA.

OBRAZ HISTORYCZNY.

Minęły już one lata,
Gdy Klecha zażywał świata:
Gdy ludzie dobrzy bywali,
Co do szkoły jeść dawali.

Pieśń Klechy z 1633.
(Szkolna mizeryja w dyjalog zebrana).

(Z dwoma drzeworytami).

I.

Na początku XVI wieku, już widzę Klechę wspomnianego u nas, jako sługę kościelnego. Klecha w on czas, dzielił niemal władzę ze swoim plebanem: on chodził w każdy tydzień z kropidłem po wsi, święcąc kmieci i domostwa, pomagał mu w tém nie raz i Kantor, obydwa biorąc wynagrodzenia za to, jak mówią: »*Fraszki Sowirzała nowego*,« z czasów Zygmunta Augusta.

Kantor idzie z wodą, a Klecha z kropidłem,
Ten połowi barany, ów kokoszy sidłem.

Mógł jako Pleban, klątwę na nieposłusznych rzucić, i klątwa ta, miała równe znaczenie, jakby ustami wyrzeczona kapłana. Lecz kiedy jéj zaczęto nadużywać, lud się nasz oswoił do tego stopnia, w połowie XVI wieku, że i mało dbał na nię, i klącego Klechę jak złapał, wybił mu z nasypką klątwę na grzbiecie. Tak w jednym z najdawniéjszych drukowanych dyjalogów z roku 1553, skarży się sam Klecha, że kląć kmieci, co mu *myta* dłużni byli, gdy go złapali (1).

Byłoć tam chłopów na kopę,
A wszyscy mieli robotę:
Jedni rwali, drudzy lali,
A trzeci nade mną stali.
Mówiąc: »Nuż go bracia jeszcze,
Niechaj dobrych ludzi nie klnie.«.«

Wszystkie niemal obowiązki Klechy, w wspomnionym dyjalogu znajdujem.

(1) Rozmowy (*dyjalogi*) polskie, łacińskim językiem przeplatane rytmy, ośmio-rzecznemi złożone. w Krakowie 1553 in 12mo.

Urząd: kościół otwierać,
Zwonić, mszą w niedzielę śpiewać:
Tyś mistrzem, *i tyś* zwonarzem, (1)
Wszystko musisz czynić razem!
Nuż do posługi plebańskiéj,
To dopiero urząd ciężki:
Układaj snopy w stodole,
Idź i grab' siano na pole:
Urąb drew księdzu do pieca,
Chceszli nie utracić miesca.

Nadchodzi wielkanoc:

Musi zaraz piec opłatki,
Wycierać kościelne statki:
Ampułki, i też lichtarze,
Przybrać chędogo ołtarze.

Prócz tego Klecha zarządzał szkołą wiejską, gdzie uczył żaków czytać, pisać i śpié-

---

(1) *Zwon*, mówiło się w staropolskim języku co dziś *dzwon*, stąd *zwonić*, *zwonarz*, (dzwonarz).

wać (1). I miał z niéj swoję wygodę; dzieciaki znosiły mu, to gomółki, to masło i chléb na śniadanie, i obiady całe (2). Był i lekarzem, musiał znać zioła rozmaite, używane do leków: baby wiejskie albowiem co posiada-

---

(1) W szkolnéj mizeryi (*dyjalog r. 1633*) mówi Klecha:

Jam się w szkole nie uczył, jak nakładać gnoju,
Tylko bym dzieci czytać, mógł uczyć w pokoju.
Ut, re, mi, fa, so, lam, *ten dobrze solmizował.*

(2) *Masz dzieci coć przynoszą w każdy dzień śniadanie,*
«Czasem i obiady, jak jest twoje zdanie.»

* * *

«Dzieci zawsze kapusty z grochem przynosiły,
Nawet też i kantora przy sobie żywiły:
Pleban się nie turbował, tylko mu służyli
Klecha także z kantorem, którzykolwiek byli.»
(Szkolna mizeryja).

Na początku XVII wieku, już te dochody poczęły upadać klechom: nie długo też przez nieszczęścia, i szkółki wiejskie poniszczały.

ły mnóstwo tego rodzaju tajemnic, co w Krakowie na rynku zioła lekarskie przedawały, i uczyły o ich własnościach nieumiejętnych aptekarzy i lekarzy(1), łatwoby odkryły oszukaństwo, a Klecha na dobrém straciłby imieniu. Z tego powodu, mieli oni w saméj istocie wiele wiadomości, o użyciu ziół i maści gojących.

Oprócz dochodów ze szkółki, miał część wyznaczoną z dziesięcin, ale na *kolędy* najwięcéj zbiérał: prócz tego, dopóki znaczenie własne utrzymywali:

«To i chłop dał mu i korzec tatarki,
Młynarz także odpuszczać zwykł od mléwa miarki (2).

Sam Klecha starał się o względy wiejskich niewiast, gdy im wrzecionka malowane grynszpanem darowywał (3).

Że część z plebańskich dochodów pobie-

---

(1) Herbarz Marcina Urzędowa r. 1595.
(2) Szkolna mizeryja 1633.
(3) Rozmowy *(dyjalogi)* 1553 r.

rał Klecha, sąd przypowieść u S. Rysińskiego (z r. 1619).

Ksiądz do Klechy: «*A toż tak, mnie węgorz, a tobie piskorz.*»
A Klecha na to: «*a mnie przecie piskorz.*»

Nie wiem jak wierzyć, ale dawne przysłowie naucza, że z klechów na plebanów wychodzili, lubo nie wiele sobie z nich obiecywano:

«*Ciężki z kalcki pan, z Klechy pleban*»

które *Zabczyc* poeta bardzo wzięty za Zygmunta III. tak wysławia:

Z Klechy pleban,
Z chłopa pan,
Z niedołęgi żołnierz
radzi górę wybijają (1).

Mało ludzi miało tyle zatrudnienia, ile Klecha we wsi: była to ważna i znacząca oso-

(1) Politica dworskie Jana Zabczyca w Krakowie 1630 in 4to.

ba. Jeszcze w początkach XVII wieku, kiedy Kantor go spotyka, temi słowy wita:

Ciebie tu Dominusem często nazywają,
Żeś zjadł wszystkie nauki, tak ludzie mniemają.
Nawet jakom zrozumiał, leczysz i niewiasty,
Którym pod czas przygody, dajesz leda chwasty:
I rozumieją wszyscy, że nie ma doktora
Nad ciebie uczeńszego, jakom słyszał wczora (1).

Ale nietylko we wsi sława Klechów brzmiała, występowali w starych dyjalogach: wiele z tego rodzaju sztuk było wyłącznie poświęconych, dla tak ważnéj osoby, on bawił, rozśmieszał i uczył (2). Przy kościołach wprowadzeni śpiewacy, czyli jak zwano *Kantorowie*, najprzód osłabili wpływ Klechów, i wyżéj zasiedli wedle przysłowia:

»*Czcij Klecho Kantora.*« (3)

---

(1) Szkolna mizeryja w dyjalog zebrana 1633 r.

(2) Obszerniéj o tem mówię w obrazie: «Znakomitsze figury w starożytnym teatrze.»

(3) Przypowieść S. Rysińskiego 1619 r.

Późniéjsze organy, a przy nich i organiści, powoli zmniejszając, znieśli zupełnie dawny wpływ przeważny na wsiach i powagę Klechów. Upadek ich zachowało pamięci naszéj przysłowie, zapewne przez dumnych zwycięzców utworzone:

»*Zgasł, jak Klecha przed organistą.*« (1)

Tak to upadek Klechów, jak się często zdarza, spotkały pośmiech i urągowisko.

Cofniéjmy się myślą w wiek XVI, kiedy nauka pisania i czytania, nie były tak upowszechnione, a nie zadziwim się wcale, że Klechowie posiadający tę umiejętność, byli na dworach szlachty w poszanowaniu, a w siole u ludu dziwowiskiem. Dziedzice wsi, zwykle utrzymywali płatnych pisarzy do pisania listów, po wielu miéjscach, Klechę, jeszcze w końcu XVI wieku, jak zwano »*Mistrza ubogiego żaka*,« używała szlachta do téj posługi. (2)

---

(1) Adagia Grzegorza Knapskiego 1632.

(2) Rękopism 1576 folio.

Nie wszędzie Klechom wolno było mieć żony: w *Wielko-Polsce*, przy żadnym kościele nie przyjęto żonatego (1), to pokazuje, że musiano ich uważać na równi, lub mało co niżéj od plebanów. W innych okolicach, nie przestrzegano tego bynajmniéj, wszakże najczęściéj bezżenni byli, powód do tego tłumaczy »*w szkolnéj mizeryey.*« Kantor, wyrzucając Krakowskiemu Kleszc, że się ożenił.

Nie żenić się to było, co wam bardzo szkodzi,
Dla żony was, ksiądz pleban, teraz za nos wodzi:
Bo widząc, iżeście się żoną uwikłali,
Rozumié, że wędrować nie możecie daléj.
I tak wam już na głowie, może rąbać kole *(koły),*
Wyżenie was kiedy chce, do gnoju, na pole.
A gdybyście w młodzieństwie, dotąd jeszcze trwali,
Nigdybyście przykrości takich nie doznali.
Widzicie jak młodzieńcy, co trzymają szkoły,
Nie wiedzą jako żywo, co to jest gnać woły.
Jeżeli mu téż Pleban, przykre słowo rzecze,
Zarazem wziąwszy torbę, z szpargały uciecze.

---

(1) Rozmowy 1553 dyjalog.

Nie mówiąc Do gratias (1), *kiedy z szkoły idzie,*
A wszędy się ma dobrze, kędykolwiek przyjdzie.

Małżonka Klechy, nazywała się *Kleszyna*, i pomiędzy niewiastami dworskiemi, jako i w siole, w znacznéj zostawała powadze, a w ścisłéj zawsze przyjaźni, z kucharką czy gospodynią plebanii. Obiedwie w staryeh dyjalogach, występowały niekiedy, obok ulubionego Klechy.

Klecha w XVI i XVII wieku, odbiérał wielkie uszanowanie we wsi, mianowano go zarówno z plebanem: jak tego witano przez *Ksse (ksze) Plebanie*: tak Klechę «*Ksse-Klecko*» a nawet i *Księże-mistrzu* (2). Nie tylko kmiecie tak go mianowali, *panem* lub *pankiem*, wojtowie i sołtysi, i szlachta dziedzice nawet, dodając często przydomek znaczący szacunek «*Magistracie.*» Tak w komedyi *Sołtysa z Klechą*, za panowania Władysława IV. wydanéj, jak wita pan Klechę:

---

(1) Deo gratias.
(2) Rozmowy (*dyjalogi*) polskie 1553 r.

Zdarz tobie Bóg wszechmocny magistracie *miły*,
Bogdaj twe lata zrżałe? *przedłużone były* (1).

Odróżniali się też i ubiorem; lubo prawie zawsze kurta alboli kapota grzbiet okrywała, używali pończoch i trzewików ze wsiążkami. Ten strój dziwaczny, zachowywali do połowy XVII wieku.

Dopóki czas i okoliczności, nie spospoliciły tego urzędu, pleban nazywał go w potocznéj mowie *frater (bracie)*, razem z *Kantorami* i *Rybałtami*. Lecz w końcu XVII wieku, Klechów niemal i Kantorów, na parobków zamieniono. «*Szkolna mizeryja*» z czasów Władysława IV. opisuje poniżenie ówczasowe obudwu stanów:

. . . . . . *Taki rząd jest wszędzie*
Między Klechami na wsi, i między Kantormi,
Muszą nosić ze młyna Plebanowi z wormi

---

(1) «Komedya Szoltysa z Klechą, do którego jest przydane intermedium temuż podobne. W Krakowie w drukarni Waleryana Piątkowskiego R. P. 1646» in 4to.

Mąkę: także do młyna żyto zanieść trzeba:
A ledwie mu da za to, czasem, trochę chleba.
Jeśli nie chce, dębcem go Pleban dobrze wzbierze,
Grzbiet mu dobrze kosturem, i znaczno opierze.

Nie dosyć jeszcze tego; musieli gnój nakładać, i wywozić w pole, z lasu drzewo wozić, często nie jednę kopę wymłócić żyta, i za lichą zapłatę, śpiewać w kościele.

S. Klonowicz sławny poeta XVI wieku, musiał patrzeć na zdrożności tego rodzaju ludzi, gdy nazywając ich pieszczenie *Kleszkami*, mówi w «Worku Judaszowym.»

Chudzi Kleszkowie,
Opuszczają pod czas kościół swój stary,
Przenoszą się na odpust do lasa od fary.

Kantorowie, lubo dawny sposób z Klechami witania przez *frater* długo zachowywali, wywyższyli się nad nich, i uniknęli poniżenia jako śpiewacy, na chórach kościelnych. Klechów w ostatku obrócono przy kościołach do nadymania miechów w organach, i właściwych prac najemnemu parobkowi, a sama nazwa, poszła w pośmiewisko. Tak więc

w XVII wieku ów Klecha, co był główną *figurą* w polskich dyjalogach, co tyle cześci odbiérał, i tak wielką miał powagę, przy każdym wiejskim kościele, dziś wzgardą okryty, stęka z zapoconém czołem, gniotąc miech ogromny, jak służalec organisty.

Wacław Potocki *(Jovialitates)*, skromny ubogiemu Klesze napisał nagrobek.

Kilkadziesiąt ubogiéj lat był sługą fary,
Tu umarł, tu pogrzebion, leży Klecha stary.

II.

Kiedy w XVI wieku nakazano, aby duchowni i plebani *łanowego* z posiadanych gruntów, dostawili żołnierza, uzbrajali swoich Klechów, i wysyłali na wyprawę, czyli jak w one czasy mówiono: »*Na Podole.*«

Wtedy to wyszło, bardzo głośnéj sławy, dziełko wiérszem, a raczéj *dyjalog* pod napisem:

»Wyprawa Albertusa na wojnę, roku 1596.«

I drugie jako ciąg dalszy poprzedniego.

»Albertus z wojny.

Obydwa poemata miały liczne wydania, a co wskazuje, jak chciwie rozkupywane były.

W piérwszym do rozmowy wchodzą: *Pleban*, *Albertus*, *Klecha*, *Wendetarz* i *Roztrucharz*.

Pleban rozpoczyna, utyskując na nowe prawo, które na niego, taki ciężar kładzie.

Owo się nie wysiedział, i nasz stan spokojny,
Miasto ksiąg ile baczę, musim patrzéć wojny:
Już teraz wnoszą na nas, obyczaje nowe,
Chcą nas mieć do potrzeby żołnierskiéj, gotowe.
Co wiedzieć, jak w to trafić, jam się w tym nie schował,
A nim się żołnierzowi, jak żyw przypatrował.

W tém utrapieniu, rachuje, ile go może kosztować uzbrojenie jeźdzca, a rozmyślając nad wyborem człowieka, wpada mu na myśl *Albertus* jego Klecha.

Dobrze się tu przy szkole rządził czas niemały,
Zejdzie się na żołnierkę, bo na nędzę trwały.
W lichém chodzi odzieniu, jje proste potrawy,
Widzi mi się, żeby był z niego rycerz prawy.

Przywołuje więc Klechę, który znudzony wiejską szkołą żaków, z ochotą przystaje na pomysł Plebana. Wybiérają się więc do Krakowa, by na *Wendecie* skupić rynsztunek rycerski i konia. Pleban ściskając worek, co go musi nie długo wypróżnić, całą drogę utyskuje.

I tą wyprawą naszą, wątpię by wskórali,
Szkoda tym stéru zwierzać, którzy nie pływali:
Sam Bóg Gedeonowi, kazał z wojska swego,
Wyłączyć lud nikczemny, serca zajęczego.
Miły Boże! opak się dzisiaj wszystko dzieje,
Z świeckich ludzi stali się mowni kaznodzieje.
Plebanije posiedli, zawarli kościoły,
W dworach pozakładali, kaznodziejskie szkoły:
A nam, choć my jak żywo w tém się nie ćwiczyli,
Dobrze iże wżdy, wodzić rot nie porzucili:
Bardzo ja wiem, co tobie na wojnę potrzeba,
Rychléj bym ci powiedział, co około nieba.

Mimo to przecież, kupuje sam stare ostrogi bez bodźców: wyszarzane siodło, drewniane strzemiona, miecz stary, ciężki, wyszczerbiony, bo wedle słów Plebana:

Jabym radził postarać się o starym mieczu,
Coby go to mógł ująć, czyście w garści obie:
Świętaż to, gdy dwie ręce, pomagają sobie.

Zdziwiony Klecha taką prawdą, ogląda go z podziwem, i mówi przekonany.

Prawie iże nienowy, patrzcie jak zrdzewiały,
Snać że dobry, i w wielkich potrzebach bywały:
Szczerbin w nim co nie miara, tym ja mieczem samém,
Wsławię się być rycerzem, w wojsku zawołaném.

Ucieszony Pleban zapałem swego bohatéra, skupuje czém prędzéj drzewce, rusznicę, prochownicę i konia, którego Albertus musi ciągnąć, bo sam iść nie chce: chwaląc w powrocie do domu, szkapę starą i chudą, że nie bryka, i Klecha bezpieczniéj do obozu na takim zajedzie.

Lecz nie tu koniec troski Plebana, z płaczem dobywa ze spiżarni zapasy, by te ży-

wiły jego rycerza, i budziły w nim jednakowy zapał. Koń łeb zwiesiwszy, zaledwie stać może: mimo to, pakują na niego ćwierć grochu, pięć bochenków chleba, rzepy wędzonéj, zamiast fig pół ćwierci: ćwierć jagieł i krup tatarczanych, sérów kilka, w ostatku rozrzewniony Pleban, daje mu w garnek przegotowanéj kapusty, bo:

Możeć się garnek przydać, uwarzyć w nim kaszę,
Ba! i kiedy przy źródle, będzie stał za czaszę.

Do tego parę grzywien, a dla konia pół korca owsa z sieczką, i kilka wiązek siana: »To (mówi) pożywi rumaka, będzie ci lepiéj siedzieć, a nawet jest i zasłona od wiatru.«

Uzbrojony więc Klecha, z tak znamienitym przyborem, dosiada wierzchowca, poleca swoje księgi, kałamarz i liniją opiece Plebana, i robi ustny testament, wszakże z ostrzeżeniem zaraz, pewną mając, że nie zginie, otuchę, ażeby się nie śpieszył, w dopełnianiu jego ostatecznéj woli. Pleban już gotowemu do boju bohatérowi, daje napomnienia, któ-

re on pokornie i spokojnie razem ze swoim rumakiem przyjmują.

. . . . Zabaw się dotąd przy Hetmanie,
Póki jeno legumin, i pieniędzy stanie:
Jeśli-ć czem nie nagrodzi twego gardłowania,
Już będziesz miał przyczynę słuszną odjechania.
Lecz nim pojedziesz na tak niebezpieczną drogę,
Jak się tam masz sprawować, poradzę-ć co mogę.
Najprzód, od Boga poczniéj, każdą sprawę swoję!
Toć stanie za tarcz mocną, i najtęższą zbroję!
Nie czyń krzywdy nikomu, nie bierz nic swawolnie
Raczéj uproś, dać każdy rychléj dobrowolnie:
Kozerą *się nie paraj,* (*) *ani żadnym zbytkiem,*
Bo każdy łotr u Boga, i u ludzi brzydkiém.
Z żołnierzem nie towarzysz, a zwłaszcza z hejduki:
Zbyłby prędko legumin, przez ich chytre sztuki.
W bitwie jako najdaléj, w zad uchodź od czoła:
Na harc nie jedź, a złego razu strzeż się zgoła.
O nierówną się nie kuś: weź-m tę radę zdrową,
Pomniéj na to że muru, nie przebijesz głową.
Jednak, jeśli-że padnie co na skrzydło twoje,
Nie przepuszczaj, i pokaż innym męztwo swoje!

(*) Gry w karty.

Wszak wiesz czem się wprzód potkać: mnieby się tak zdało
Kulą porazić, ażby mu we łbie zagrzmiało.
W ten czas go możesz drzewcem z konia strącić snadnie,
Dopieroż głowę utniesz mieczem, kiedy spadnie.
Ażebym cię jak ma być ze wszystkiem wyprawił,
Abyś szczęśliwie jechał, będęć błogosławił.

Rozrzewniony Klecha, żegna go temi słowy:

Bogu was tu zostawiam prałacie łaskawy,
Miéjcie proszę w baczności do końca me sprawy.

A Pleban jeszcze raz żegna mężnego Albertusa.

Jedź w dobrą godzinę,
A przynieś pożądaną pokoju nowinę.

Klecha uderza silnie tępemi ostrogami szkapę, i żółwim krokiem śpieszy na wyprawę wojenną.

* * *

W drugiém dziełku «*Albertus z wojny*» Pleban długo nie widząc Klechy z powrotem, troszczy się o swego wojownika.

Wiesz to Bóg, co się teraz z Albertusem dzieje.
Radbym, by mi kto dodał, jeśli żyw nadzieje:
Dziwna rzecz, że nie słychać o nim, po wyprawie,
Lecz nie dziw, bo mu tuszę, nie schodzi na strawie.

W tém zdala spostrzega jeźdźca, a włożywszy okulary, poznaje kochanego Klechę, który go już po dworsku wita:

Ehej! ksze pralacie!
Waszmości moja służba, jakoż się tu macie.

Ucieszony Pleban, wita Albertusa, a ten mu swoje przygody wojenne opisuje. Jak najprzód rumakowi w *Przemyślu*, ogon urżnięto, a taki był żwawy:

Nie mogłem na nim dwu mil, za dwa dni ujechać,
Żem musiał tu i owdzie legumin poniechać.

Dla ulżenia ciężaru, zsiadł z konia i szedł obok, kopiją się wspiérając: lecz i to nie po mogło, bo jak się w błocie przewrócił, już więcéj na nogi nie powstał; Klecha zaś tak uzbrojeniem obciążony, że się nawet i przeżegnać nie mógł.

Prawą-m się (ręką) siodła trzymał, w téjże-m miał
i wodze;
Drzewo pod pachą: jakoż się tu żegnać w drodze.
Lewą-m zaś leguminy, i końskie obroczno
Musiał trzymać, bo były przypięte nie mocno.
Tom tak i utrzéć nosa nie mógł przez dzień cały:
Aż się więc i kobiéty ze mnie naśmiéwały.
Spadła-li mi też czapka, tom się więc naprosił,
Gdy się jeszcze kto trafił, by mi ją podnosił.

Zdziwiony Pleban zapytuje.

Wszak-em ci miasto czapki był przyłbicę kupił?

KLECHA.

Cóż! gdy mi się łeb od niéj dobrze nie obłupił,
Nie czułem już i szyję z ciężaru wielkiego.
Więc-em ją też uwiązał, u pyska końskiego:
Włożywszy trochę sieczki, aby nie ustawał,
Ale mu psi *pomogli, próżnom mu i dawał.*

Po stracie dziarskiego rumaka, furmanom sprzedaje rynsztunek koński, i własną zbroję.

Drzéwom (dzidę) *sobie wymówił, kijec, i rusznicę.*
I miecz: o zbroję-m nie dbał, ani o przyłbicę.
Bo suknia ubłocona, także czapka moja,
Kiedy uschły, tak twarde były, jako zbroja.

Konia-m tak już i z skórą psom i wilkom niechał,
Nie dbałem, gdym pod łubem, jak w karecie jechał.

Tu przerywając opowiadanie, kur kilkoro, które zdobył po żołniersku w poblizkiéj wiosce, ofiaruje Plebanowi, by i jego zdobyczy zakosztował: a wróciwszy do opisywania swojéj wyprawy, maluje rozpustę ówczesną żołnierzy, i utarczki z Turkami i Tatarami. Pleban zapytuje, czy sam walczył, kiedy tak dobrze opisuje, ale Klecha odpowiada:

Chcecie wiedzieć com czynił? póki leża trwała,
To się też i żołnierka póty mię dzierżała:
Ale gdy się kazano ruszyć ku potrzebie
Wszystkim rotom; jam one uważał u siebie
Słowa, które-m miał od was na samym żegnaniu,
Abym się nie przybliżał nigdy ku potkaniu,
I strzegł się złego razu: tom ja pilnie chował:
Bo gdy tamci się bili, tom ja też wędrował
Kędy na Kantoryją, i przez wasze słowa,
Uszła z każdéj potrzeby, cała moja głowa.
A kiedym zaś usłyszał, że na leżach roty;
To ja do nich, kościelne porzuciwszy nóty.
I tak żywiąc się przy nich, czasem się słyszało
To i owo: co się też zaraz powiedało.

A jako pani stara, panny ćwiczy w domu,
Którym czynić co kształtem, gdzie? jako? i komu?
Jak się nizko ukłonić, i gładko tańcować,
Jako krezy, i jako biéretek szychtować:
Saméj zaś to nie służy, i nie czyni tego;
Także ja też rozumiem, co jest żołnierskiego,
I umiem o tém mówić: jednak jako skoro,
Bić się z Tatary przyszło, było mi nie sporo.

Takim więc sposobem, zakosztowawszy nasz Klecha żołnierskiego chleba, uprzykrzył już sobie wioskę, i szkółkę żaków: przecie na wymowne przedstawienie Plebana, zostaje przy dawnych obowiązkach. Ten uradowany, że i wyprawę odbył i utrzymał Albertusa, żegna się z nim, jeszcze starym zwyczajem, nazywając Klechę *frater.*

Idź z Bogiem miły frater, *abychmy się wcale*
I we zdrowiu, da pan Bóg, jutro oglądali,
A teraz w łasce Bóżéj i spokojnie spali.

Te dwa dziełka, wielkiéj wziętości w swoich czasach, a dla nas nie małéj ceny, bo w nich wiele domowego życia obrazów znajdujem, nie tylko odżywiły pamięć Klechy, jakkol-

wiek szyderskim sposobem, ale stały się powodem do przysłów':

«*Bieży jak Albertus z wojny:*»

gdy kto z tchórzowatości przed nieprzyjacielem uciekał: a

«*Wyprawą plebańską*»

nazwano wszystkie liche wyprawy wojenne nasze, szczególniéj z pospolitém ruszeniem.

Używa obu tych przysłów' w kazaniach swoich, sławny kaznodzieja Fabijan Birkowski. Wspominając o pospolitém ruszeniu, jak cięży szlachcie i duchownym, mówi: «A cóż, kiedy o Tatarach posłyszy, czy to nie bieży, jako Albertus z wojny?»

I daléj:

«Cóż tedy, mili panowie, mówicie, że przez księżą służba rzeczypospolitéj ginie? Jaka służba? Jeżeli ta którą zowiecie «*Wyprawą plebańską*» to mała szkoda (1).» Za Zygmunta III. musieli opłacić pobór na wyprawę

---

(1) O Exorbitancyjach kazania dwoje 1632 r. in 4to.

Chocimską, Kantor i Klecha: stąd mówi Jan Dzwonowski (1).

Musieli iść chudacy do miasta z poborem,
Łzami się zalewając; Klecha i z Kantorem.

W on czas to, kiedy naciśnięto duchownych, że należą do wyprawy *łanowego* żołniérza, i liczne w téj myśli i na jéj poparcie, puszczano w obieg dzieła, znalazł się obrońca bezimienny, który chcąc poruszyć litością serca kamienne, wydał dziełko, dając mu żałobliwy napis:

«*Podpłomyk matki Fary, na poły z popiołem łzami jéj rozczyniony, podany dziatkom do skosztowania, jakim ją chlebem częstują.*» in 4to.

Tu rozwodząc się nad niesłusznością prawa, w te się odzywa słowa:

«Jeżeliś szlachcic, broń się sam, próżno się

(1) Niepospolite ruszenie, abo gęsia wojna Jana Dzwonowskiego, Jenerała Pilzińskiego w Krakowie 1621 r. in 4to.

obrony spodziewasz od Klechy księżego, i od snopków jego.»

Sama nazwa Albertusa, poszła w pośmiech i urągowisko, oznaczając drągala, niezgrabnego, tchórza czy bojaźliwego żołnierza (*).

(*) Słownik Lindego T. I.

VI.

DAWNE CZASY.

Gawęda z początku 17 wieku.

Z dawna to przy bankieciech, zwykli dysputować,
Nie wadzi w ten czas, co kto ma w głowie sprobować.

(Mięsopust, abo tragicomoedia na dni mięsopustne r. 1622).

(Wnętrze szlacheckiéj zagrody, wielka izba, na kominie spory ogień, pod oknem duża skrzynia na kółkach, po ścianach obrazy świętych, przy drzwiach w cynowéj ampułce święcona woda z kropidłem: łoże zasłane kilimkiem: nad niém stara kolczuga, i w wężowéj pochwie, zardzewiała karabela).

PAN MARCIN *(wchodząc).*

Pomaga Bóg miły kmotrze!

PAN BARTOSZ.

Bógdaj zdrów! samsiedzie: coż słychać na świecie?

PAN MARCIN.

Zwykle u mnie, jako w młynie, zawsze huczy moja baba.

PAN BARTOSZ.

Siadajże Wasze. Oj! tak, dym w izbie, dach dziurawy, i zła żona, co rychle wypędzą z doma. Trzeba Waszeci zawsze zmykać, jak on djabeł, a o nim powiem Waszeci. «Rozkochał się djabeł w gładkiéj dziéwce i ożenił, ale jak gładka była, tak i zła była: nie mogąc wytrzymać, uciekł od niéj. Dawniéj był zrobił umowę z jednym człowiekiem, co mu zaprzedał duszę swoję, pod tym warunkiem, iż będzie miał prawo, trzy razy wypędzić go z opętanych. Człowiek ten wypędziwszy djabła z opętanych, nie tylko zebrał wielkie mienie i dostatek, ale stał się głośnym między ludźmi. Zdarzyło się, że po raz czwarty wezwany został do wielkiego pana, aby córkę opętaną uzdrowił. Przybył, ale uparty djabeł stosownie do cyrografu, ustąpić nie chciał. Wtedy on człowiek, rozkazał kapeli nadwornéj przygrywać. Zdziwion tém djabeł, wychylił głowy z pięknéj panny, i pyta co to znaczy?

—Pan tego zamku, (rzekł ów człowiek), nadjeżdżającą twoję żonę wita, i przyjmuje.

Ledwie to djabeł usłyszał, zaraz uciekł, i opętaną uwolnił (a).»

PAN MARCIN.

Dobrze to djabłu, bo ma gdzie uciekać, aleć, ja gdzie się obrócę, wszędy mię mój Herod ułapi. Teraz chora a terkocze, jak umrze, boję się, aby mię jéj upiór nie straszył.

PAN BARTOSZ (*kiwając głową*).

Próżna obawa panie bracie, przecież cię nie zabije! Dziś ludzie już i w upiory i w czary nie wierzą, a takiego, żadne się widmo nie jęło.

Tu pan Bartosz, przysunąwszy się do siedzącego na ławie Marcina, zawołał: »Hanko! nastaw no miodu, i wsyp korzenia suto, napijem się nieco, z swoim miłym samsiadem i bratem.

PAN MARCIN (*ściskając go za rękę*)

Dziękuję Waszmości, za tę chętliwą pamięć

o swym słudze, tu téż oddycham swobodnie, gdy zapomnę w gawędzie o domu i żonie.

PAN BARTOSZ.

Nie frasujta tak sobie głowy zbytecznie, luboć to prawda, że te niewiasty, nie umieją daru bożego języka szanować, ony tak robią, jak niedorostek jednego wieśniaka.

«Siał gospodarz na roli, a wzdychał często, modląc się Bogu o plon obfity. Chodzi a rzuca ziarno, aż zmordowany usiadł na dużym kamieniu, co za kopiec graniczny służył. Kiedy pot ociera z uznojonego czoła, staje przed nim jakiś podróżny z krzywą gębą, w trójgraniastym kapeluszu, był to djabeł.

—Cóż to człowieku robita? zapytał.

—Ot! sieję mój panie, żeby było chleba kawałek.

—Ja wam dam lepsze ziarnka: (*tu dobył z borsuczéj torby woreczek*), patrzta, są to ziarnka wiatru, każde go z osobna poruszy, a za całą garścią, powstanie wielka burza.

To wyrzekłszy, rzucił ziarnko jedno, a

wiatr począł świstać, rzucił potém garść całą, a burza okropna strachem napełniła rolnika. Biły pioruny, błyskawice raziły oczy, lał deszcz obfity, którego daremnie pragnął nie raz. Przyjął więc worek z nasieniem, i przemokły powrócił do domu. Nazajutrz dla próby rzucił ziarnko, i w czas pogodny, zerwał się wicher: zawiązał więc dobrze worek czekając suszy, aby sobie pole deszczem odżywić. Miał w chacie syna wyrostka: był to wielki próżniak i gawron, mało robił, ale wszystkie w chałupie przewracał kąty. Znalazł nie długo worek, przez ojca zachowany: rozwiązał, a ujrzawszy ładne ziarnko, wziął jedno i rozgryzł. W téj chwili, jakaś go siła obaliła, wiatr wyrwał część dachu, powybijał okna, a jemu ciągle w gębie wiało z poświstem. Kiedy przyszedł do siebie, rozgniéwany, porywa worek cały, wybiega na podwórze, i za chatą wysypuje wszystkie ziarna. Cóż się stało? burza całą wieś zniszczyła (c).

Owoż, mój kmotrze, tak się dzieje, i z nie-

powściągliwym językiem. Bóg dał zęby, jak na te ziarnka worek, ażeby go trzymały na wędzidle: głupi, kto ten worek otwiéra często.»

PAN MARCIN.

Moja baba, nie zna co usta zamknąć!

PAN BARTOSZ.

I dla tego zawsze burza w chałupie, co niszczy spokój, i szczęście domowe.

(Marcin smutnie na piersi opuścił głowę, gdy Hanna miód zlecony, postawiła przed nim i Bartoszem w dwóch sporych garkach).

PAN BARTOSZ.

No, kmotrze! zapomnijcie biédy, rzućcie o ziemię troski, rozchmurzcie zasępiałe czoło.

I podniósł garnek, uderzył nim o garnek Marcina, a życząc sobie zdrowia, weselsi popijać zaczęli.

PAN MARCIN.

Jakiż to mój żywot nędzny! kończąc wiek młody, kiedym na wąsy chorował, stan należny sobiem obierał, idąc oślep za fortuną. A chcąc nie wiele pracować, i cudzą pracę

pożywać, ożeniłem się z babą, a wdową, *bo u wdowy chléb gotowy*, dla mnie nie był zdrowy. Dzień piérwszy, chwała Bogu, nie tak już dzień drugi, na trzecim żałował gorżko. Wnet kucharkę odprawiła, i sama strawę warzyła, a kompanom, przyjaciołom, drzwi przed nosem zatrzasnęła; szaty do skrzyni pochowała: gorzałkę z beczką zamknęła, którą jéj dworzanie i chłopięta słomką powypijali. Za nos wodzony, przeżyłem lata. Baba razu nie *chorzała*, jak krzemyk zdrowa, nie zdarta, czart jéj się nie dołowi, nie dopyta. Zawiozłem do zapowietrzonego miasta, insi pomarli, baba zdrowa: najechali Szwedy, baba uciekła zdrowo do Częstochowy. Pójdź gdzie szynkarka nieprzykra, a ona się dowie, woła: «Zdrajca, nie pamiętasz żeś mi przysiągł, wysypałeś mi wszystko z *wacka* (*), a teraz hulasz, paniczkujesz sobie.» Ja się ubieram, ona pyta: «Komuż to g'woli wąsik ostrzysz, piórka zbiérasz, szaty miotełką

(*) Wacek worek do piéniędzy.

ściérasz, nic mnie g'woli, pewnie, mój drogi karafijalc.» Radaby, żeby wszystkie młode pomarły. Żali się «niechaj mi będą poduszki świadkami, ile ja łez wyleję.» Ja jednego djabła wspomnę, ona stu, lub tysiąc, ona wszystkich rogatych z piekła, ćmę tysięcy i więcéj. W nocy śpisz, baba kaszle, stęka, wrzeszczy. Ty nie chcesz spać, a ona spać co rychléj : a tak, cały mój żywot, gdy ja *strzyżono* ona *golono*, gdy ja *golono* ona *strzyżono* (d).

PAN BARTOSZ.

Już przyznać Waszeci muszę, żeś za błąd młodości, srodze ukaran, a jeszcze będąc potulny, i bojąc się baby. Trzeba było z początku boki dąbkiem wysmarować, a grzbiet wygarbować surowcem, zaraz byłaby skromniejsza. Ja tak się wziąłem zrazu do rzeczy, a po płaczu, był pokój domowy. Kochałem swoję niewiastę, i nie biłem jéj więcéj, jak dwa lub trzy razy do roku, zwykle na gody, i na wielkanoc, gdy ciasto piekła.

PAN MARCIN.

Bo wtedy musiała być najgorsza, a nie pamiętałeś Wasze na dawną przypowieść: «Na konia u stada, na pana gdy się gniéwa, na niewiastę gdy chléb sadza; nie nacieraj.»

PAN BARTOSZ.

Prawdać, że człek i mało doma zagrzewał, bom sługiwał dworsko zawsze, zaledwie człek się na święta jakie do chałupy dochrapał. Oj! żywot dworski za moich czasów, nie był tak łatwy, jako się wydawać może: dworzanin w on czas musiał nie raz za swego pana, i własnym łbem nadstawiać, ba! żywot nawet na harc stawić. Pomnę jakoś w młodych swych leciech, pan mój u któregom sługiwał, wybiérał się cichą nocą na *zajazd* blizkiego sąsiada. Wieczerza była hojna, nie żałowano miodu i wina. Przy zagrzanych głowach, pan dopiéro wyraził swoje prawa do wsi pana Strzembosza, i wezwał wszystkich, i każdego z osobna, co czuje krew' szlachecką w sobie, aby poparł sprawiedli-

wą jego stronę. Wnet dosiadło nas trzydziestu, napadlim Strzembosza w nocy, rozbili jego służbę, ale było dosyć roboty, do dnia białego. Strzembosz schował się do ogrodu, zabiwszy kilku szlachty, gdzie ranny omglał. Wtedy gdy go znaleziono, mój pan rzecze do mnie.

—Panie Bartoszu! przynieś Wasze misy! Skoczyłem żywie, przyniosłem z kredensu rozbitego misę srebrną: mój pan nabrawszy wody z blizkiéj sadzawki, przyszedł do Strzembosza, i kazał mu się umyć przy świadkach. Nie chciał w żaden sposób, aż mu pan zagroził, że go powiesić każe. Ulegając przemocy, począł obmywać twarz, ale pan pilnował, by i ręce umył. Wtedy rzekł do nas:

—No! panowie bracia! Strzembosz *umył się* od swego dziedzictwa nieprawnie posiadanego, teraz należy do mnie (e).

PAN MARCIN.

To zapewno zostało po tem przysłowie: «*Nie umyłeś się do tego.*» Moja baba, często mi to powiada, gdy jéj proszę o co.

PAN BARTOSZ (*kiwając głową*).

Tak! tak! Ale powiem Waszeci, że na sucho memu panu nie uszło tak daléj. Na drugiego samsiada, zebrał dużo szlachty i piechoty nie mało zbrojnéj, a samsiad przygotował się dobrze i zagrał mu sarabandę. Tańcował on całą noc, jak go wzięto w obroty. Samsiad dowiedziawszy się od przychylnych sobie o napadzie, ukrył się w chróstach ze swemi, po nad drogą. Wśród cienia nocy, przeszlim cicho, patrzem we dworze ciemno, muszą spać wszyscy, jakoś i konie nasze poczęły parskać dając dobrą nadzieję, a więc śmiało na przód. Aż tu nagle z tyłu i z przodu, i z obu stron drogi, jak sypną by grochem na ścianę, spadło dużo szlachty, zajęczało i hajduków pieszych nie mało. Nie dosyć, zaraz potem zbrojni na koniach rozbili hajduków naszych, i wycięli wiele: pana rannego wzięto do lochu. Ja, dzięki Bogu, wymknąłem się gracko, dostawszy dwie kresy przez czoło, końcem ussarskiego koncerza, i lekko draśnięty kulą włytkę. Zmykałem

jakby mię śmierć goniła, jużem na takie wyprawy nie poszedł więcéj (f).

PAN MARCIN (*popijając miodu*).

Ja w on czas więcéj za piecem legał, aleź potem krzyżową sztuką, machałem nie raz szabliną. Zawsze to jednak głupia sprawa, bo trzeba coś dostać w przydatku, i owo noszę *signa*: pół ucha uciętego, palec ucięty, i na brodzie szrama.

PAN BARTOSZ
(*wstaje z uszanowaniem, kłania się, i ściska mu rękę*).

Te *signa*, powiększają mój szacunek dla Waszeci, myślałem żeś za spódnicą całe życie siedział. Daj, niechaj te szramy ucałuję. Hanno! staw tu zapleśniały gąsior wiśniaku.

PAN MARCIN (*rozczulony*).

Mości panie Bartoszu, mnie wielce miłościwy panie bracie, wierzcie mi, iż czuję głęboko, tę waszę ku méj osobie estymę, i dziękuję poniżenie, że mię tak raczycie gościnnie.
(*wąchając gąsior przyniesiony*).

To rzecz rzadka *by raróg*, człek dawno

tego nie widział na oczy, bo moja baba wszystkiego chroni; raz piłem podobny, na wyprawie z panem hetmanem przeciw Tatarom....

PAN BARTOSZ (*robiąc duże oczy, z podziwieniem*).

Jako! wasze panie bracie zaglądałeś w oczy tym psom poganom.

PAN MARCIN (*podnosząc głowy dumnie*).

Tak, zajrzałem im w oczy, i mogę rzec, że z tej ręki trzech czarnych djabłów oddałem na tamten świat ich bratu, tak mi panie Boże dopomóż.

PAN BARTOSZ (*ściskając go serdecznie z rozczuleniem*).

Panie Marcinie! gdzie Waści posadzę godnie! pijcie zdrowi! Hanno! dereniaku! maliniaku z przedpotopu! Ale opowiedz mi Waszę, jak to było, tylko popijajcie nieco.

PAN MARCIN.

Jakoś we dwa lata po ożenieniu, wieść rozbiegła, że się o mil kilka od naszego miasteczka, liczne kosze pokazały tatarów. Pan Hetman zwoływał wszystkich ku obronie, bo

już dużo luda pobrali w jassyr i kilka zameczków zdobyli. Nic nie rzekłszy swojéj żenie, stawiłem się pod chorągwią, a dostawszy rynsztunek i konia od swego brata, daléj z kopyta.

(z zapałem).

O! panie bracie! w on czas krew' żywiéj biła w tętna, a śmiałość junacza jęczała w sercu, chcąc się na jawie ukazać. Pięćset towarzyszów zebranych, ruszyło cwałem.

PAN BARTOSZ *(stojąc przed Marcinem z uszanowaniem i dolewając coraz próżną szklenicę).*

Pijże panie bracie.

PAN MARCIN.

Tak, godzin dwie mało spoczywając, goniliśmy: aż tu pod lasem, dojrzeliśmy ćmę psubratów: i choć konie zgrzane, z kopyta na nich. Hałła! hałła! zawrzeszczeli z dala, i tak wiele strzał puścili, aż słonko zasłoniły. Nie widziałem nic w on czas panie bracie, jak tylko tych pogan z małemi oczkami, śniademi pyskami, i ich kożuchy. Zajrzeliśmy sobie w oczy, i przyszło na rękę: do razu

ich szyk w pół miesiąca złamaliśmy. Kopiją przybiłem jednego do ziemi, wił się jak wąż, gryzł zębami drzewce. Kiedyśmy rozbili część hordy, dopiéro w pojedynkę gonię, niebezpieczna to sprawa, bo Tatar sroższy gdy ucieka, nim kiedy czołem nadstawia. Napadłem na ich starszego co go *Murzą* zowią, musiał mieć jaką szablę polską, bo mi obciął drzewce: rzuciłem je więc, i na gołe szablice *hajda w taniec.*

PAN BARTOSZ.

Odpocznijcie nieco kmotrze, popijcie nieco... więc z Murzą na rękę.

PAN MARCIN (*pijąc*).

Tak, panie bracie, za drugim składem, ręka z szablą na ziemi, i Murza na ziemi zabełkotał jeno, pod kopytem mego konia.

PAN BARTOSZ.

To już dwóch.

PAN MARCIN.

Rozbici Tatarzy, grzbietami pokryli całą drogę, ci co uciekali, w przestrachu rzucali

swoje kożuchy, co im zawadzały, trupy ich leżały w okół, jak mogiły na stepie, ale wielu broniło się zażarcie, choć który i konia stracił. Jeden przy samym lesie, ciągnął na smyczy rzemiennéj naszego brańca, poskoczyłem, smycz przeciąłem, a samegom Tatara pochwycił, ale nie długo pożył, bo od rany w głowie zadanéj moją demeszką, w kilka godzin skończył (g).

PAN BARTOSZ (*całując go w uniesieniu*).

Miły bracie, za zdrowie Wasze piję.

PAN MARCIN (*już podchmielony dobrze pijąc*).

Dziękuję!... dziękuję!... Jakiż to wtedy ujrzeliśmy widok! Poważne niewiasty, szlacheckie córy, zacni mężowie, dopiéro z łyk uwolnieni, na kolanach nam dziękowali za oswobodzenie. Ileż tam dzieci po polach leżało, których matki wyszukać nie mogły! W on czas rycerstwo z koni padło na kolana, i zaśpiewaliśmy razem *Te deum laudamus.*

Tu pan Marcin jak wyrzekł, tak uczynił:

upadł na kolana, padł w uniesieniu i pan Bartosz, ale Marcin pijąc za wiele niezazwyczajony, już się podnieść nie mógł, upadł i zsunął w objęcia gospodarza, który go zaniósł na swoje łoże. Sam rzucił na ławę kilimek, za nim się położył na takiém posłaniu, zaświecił łuczywem rozpaloném nad łożem Marcina, i wskazując go córce swojéj, wyrzekł:

—Patrz, śpi nasz samsiad! niech mu nic nie przeszkadza do wywczasu, on był na wyprawie przeciw Tatarów, i bronił naszych kopców.

PRZYPISY.

(a) Powieść ludu.

(b) Patrzéć dzieło «*Bohomolca, djabeł w swojéj postaci*» gdzie są opisane zdarzenia, w których ci, co ucinali mniemanym upiorom głowy, posokę z trupów zmięszawszy z trunkiem, wypijali u nas. Miało to być skuteczném w tym sposobie: iż tego, który to wypił, upiór już nigdy nie tknął.

(c) Powieść ludu Mazowieckiego.

(d) Z Broszury XVII wieku, gockim drukiem in 4to: «*Baba, albo stary inwentarz*» Matłaszewskiego z Babożenic.

(e) Z opowiadania pana Adama Czyżewskiego.

(f) Z opowiadania tegoż.

(g) Cały opis bitwy z Tatarami, jest skréślony wiernie podług owoczesnych poematów naszych.

VII.

OLEJKARZ.

«Węgrzyn kusy z olejkami,
Do szopy przybywa »

Kantyczki.

OBRAZ HISTORYCZNY.

PRZYPISY.

(a) Powieść ludu.

(b) Patrzéć dzieło «*Bohomolca, djabeł w swojéj postaci*» gdzie są opisane zdarzenia, w których ci, co u[illegible] kę z tr[illegible] u nas. Miało to być skuteczném w tym sposobie: iż tego, który to [illegible] już nigdy nie [illegible]

(c) Powieść ludu Mazowieckiego.

(d) Z Broszury XVII wieku, gockim drukiem in 4to: «*Baba*, [illegible] Matiaszewskiego z Babożenic.

(e) Z opowiadania pana Adama Czyżewskiego.

(f) Z opowiadania tegoż.

(g) Cały opis bitwy z Tatarami, jest skréślony wiernie podług owoczesnych poematów naszych.

Węgrzyni, tak blizko nam sąsiedni, nie wielki przecież wpływ na nas wywierali: były różne języki u nas w modzie, jak czeski, łaciński, hiszpański, francuzki, włoski; nigdy przecież węgierski, wyjąwszy używania ich sławnych przeklęstw, i kilku wyrazów (a). Przypominali się często tylko ubiorem i czapkami, gdy bywały w modzie; a rok rocznie, zalewali swojem winem, dawną Polskę.

W przysłowiach, znajduję kilkokrotne wspomnienie Węgrów.

Stara przypowieść XVI wieku mówi:

»Djabeł Ewę po włosku zwodził, Ewa Adama po czesku, Bóg ich po niemiecku gromił, Anioł zaś po węgiersku, z raju wygnał.« (b)

Tu mamy skreślone i zdradę z chytrością włoską, i pochlebstwo czeskie i długie niemieckie wykrzykiwania, a w końcu, po węgiersku ujęcie szabli, i węzłowate zabranie się do grzbietu.

Do najlepszych rzeczy, policzano u nas w XVI wieku, te cztéry rzeczy:

Koń turek, chłop mazurek: szabla węgierka, czapka magierka. (c)

Jak węgierską szablę, wychwala książe Jabłonowski (d), »szabla takowa płytka, twarda, sieczysta, jest wyborna;« tak gani czapkę magierkę.

—»Była ona w ten czas w Polsce modna za królów polskich, co i węgierskiemi byli, ale cale nie ma żadnego, ni do ozdoby, ni do w czasu przymiotu.« Pamiątkę niekiedy magierek już niewidzianych, w Krakowiakach zasłyszemy:

Pojadę ja przez wieś, zdejmnę magiereczkę,
Pokłonię się matce, dostanę córeczkę.

Oprócz czapek, był i strój węgierski, używany za ostatnich Jagiellonów, ale z tylą nie raz dodatkami obcych ubiorów, że przysłowiem owoczesnych wyśmiewano modnisiów, iż się przybierali: »*z kiepska po węgiersku* «

W broszurze z czasów Zygmunta Augusta: »*Fraszki Sowirzała nowego*, znajduję w opisaniu *różności nacyj*« ostrą na Węgrów przyganę, że się chwytali luterskiéj wiary. »Węgier (mówi) gospodarny:

Ma dobre towary,
Jedno nie strzyma wiary:
Jeśli z Bogiem skłamali,
Któż im wierzyć ma daléj?
Nowa wiara, chłop stary,
Djabłu wdzięczne ofiary.

Sąsiedztwo Węgier, mówi T. Czacki (e), dało nam w przykładzie jeden zwyczaj te-

raz zapomniany: że kiedy hultaj jaki bezżenny, był skazany na śmierć, a dziéwka mu zarzuciła chustkę, i jeżeli takowy chciał się z nią ożenić, uwalniano go od kary śmierci. Lecz zwyczaj ten, był tylko czasem od Magistratów miejskich tolerowany«.

W starodawnéj ziemi naszéj, wina węgierskie, największy odbyt miały, takowe zaś w nich Polacy upodobanie mieli, że przysłowie:

»*Non est vinum, nisi hungaricum*;«

pokazuje widomie, że wino jedynie węgierskie winem nazywali, lubo niewiasty wolały wina włoskie. Wino to powszechnie znane *madzar* (f), miało w sobie *colorem*, *saporem*, *et odorem*, barwę, smak i wonność wdzięczną, wedle starych znawców. Prócz wina, wprowadzali do Polski wielką ilość swoich sławnych śliwek i szub, albo raczéj kożuchów baranich, z kolorowemi ze skóry wierzchami.

Jak dziwne o węgierskiéj ziemi lud miał

wyobrażenia, niech posłużą za dowód dwie pieśni: *Litewska* i *Ruska*.

Litwa, Węgry wystawia za raj sobie, a Ruś bliższa nawet, prawie za koniec świata uważa, utrzymując, że tam ani koguty nie pieją, ani zorzy i deszczu nie ma, trawa nie rośnie, i koń pastwiska nie ma.

1.

Dziś litewski miód pijemy,
Jutro na wojnę pójdziemy:
W Węgierskie kraje!
Tam wina, jak u nas wody,
Złote jabłka i jagody,
Sady jak gaje.

* *

No! i cóż tam zrobiémy,
W téj Węgierskiéj ziemi?
Jak na skałach zrodzi zboże,
Jak na śniégu zejdą róże,
Jak wyschnie morze (g).

* *

2.

Poichaw Starosta w uherskuju zemlu
Uhrynoczku w lubyty:
Uhrynoczku sy w lubyw,
Hospod mu ne prysudyw,
Bo w uherskij zemli.
Kuronki ne pijut,
I swit nie switaje,
I sonenko ne schodyt,
I trawońka ne rosle,
I konyk sia ne pase (h).

Mimo to, bliżsi mieszkańcy gór, co rozgraniczają dawną Polskę od Węgier, w pieśniach swoich obrzędowych, wysyłają *swatów* i *dworskich*, po wino i wódkę do węgierskiej ziemi, a świt jaśniejący nad Karpatami, oznaczają wyrażeniem że to

»*Węgierka świta.*«

Olejkarze, zwykle *Sławaki*, których w pospolitym języku, *Węgrami* nazywano, od bardzo dawnych czasów, wędrowali w Pol-

sce, wyłudzając grosze. Ślad tego, mam w starych kantyczkach, na urodzenie Chrystusa, gdzie gdy wszystkie narody, śpieszą do dzieciny, leżącéj w żłobie na sianku:

Węgrzyn kusy z olejkami,
Z krepulcami,
Do szopy przybywa,
W toż głosu dobywa:
Legem, legem, malatana,
Sem prynosim tu dla Pana,
Strafe olejki (i).

W XIII wieku, w Czechach na teatrze, w wystawionym dyjalogu, już występował przebiegły olejkarz na jarmarku, i jego *pajaco.* Obadwaj kuglarstwem i figlami zwabiają gmin do siebie, który kupując od nich różne leki i maści, stosowne od obydwóch odbiéra przestrogi i nauki w satyrycznéj mowie, i na takowe odpowiadając wzajemnie, odcina się satyrą. Jest w téj sztuce, mówi W. A. Maciejowski (k) pełno grubego i tłustego

żartu, lecz rzecz zgrabnie zastósowana do miéjsca i ówczesnych zwyczajów.

Olejkarze ci, były to wędrowne apteki, wędrowni doktowie razem: baby lekarki kupowały od nich maście sławne, jak rycerstwo nasze i szlachta maść zwaną *lardum*, która rany goiła, i rzemienie odmiękczała (1); *dryjakiew'*, pomocną na choroby skórne i ukąszenie węża: olejki pachnące; do czernienia włosów i t. p. Sami ci oszuści ogłaszali, że mają lekarstwa do zapłodzenia niewiast, utycia podług woli i miary, a nawet prędkiego pójścia za mąż lub ożenienia się.

Poczciwych kmieci naszych oszukiwali najwięcéj. Spotkał chorego, po przywitaniu, nie pytał o rodzaj choroby, ale zapowiadał z góry, że on zna, co mu brakuje.

— Oni sem su slabi, nemocni?

Wieśnianin kiwa głową, że prawda.

— Nu! ja znam co im brakuje: ket' oni sem pod horu idu, to im ciażko, i dyhat' ne mohu: a jako z hory, to sem im lekko: a co prawda?

Wieśnianin zadziwiony, uważa go za szczególnego lekarza, i przyjmuje każdy proszek, każdy olejek co mu podawał, płacił z ochotą, w nadziei uzdrowienia prędkiego.

Olejkarze ci, tak potrafili zjednać sobie zaufanie i wiarę ludu, że w każdéj wsi znaleźli łatwowiernych kupców, na swoje przechwalone towary. Czegoś jeno zażądał, mieli na wszystko, potrzebne w apteczce plecowej maście, olejki i proszki. Na dowód oszustwa, przytoczę jedno zdarzenie, podaniem do nas doszłe.

W pewnym dworze, pani domu zażądała od olejkarza przechodzącego, na pchły i pluskwy jakowéj trucizny, albo *olejku*. Ten jak zawsze, na każdy rozkaz gotowy i posłuszny, dobywa proszku, bierze dobrą zapłatę, i wychodzi daléj. Ale pani zapomniała się wypytać, jakim go sposobem używać: każe więc zawrócić Węgra. Przychodzi, a zapytany, daje śmiało poradę, że pchłę albo pluskwę potrzeba złapać, i posypać proszkiem, a niezawodnie zdechnie.

Lubo zniknęli już nam z oczu olejkarze, pamięć ich dochowują dotąd tak zwane *Szopki*, z któremi chłopcy od Bożego-Narodzenia przez zapusty, chodzą od domu do domu śpiewając pieśni, i ukazując rozmaite *figurki*. Pomiędzy temi, jak zawsze, musi być Heród i djabeł co go porywa, tak i olejkarz z mastyksami swoimi, dzwigając wielkie pudło leków na plecach, albo przed sobą, i zachwalają «*strafe olejki*.»

W dawnych naszych dyjalogach, wprowadzono ich także, i wybornie zastępowali miéjsce owych szarlatanów włoskich, co objeżdżali miasta i wsie z lekarstwami cudownemi.

Węgrami, nazywają także kramarzy Sławaków, co dotąd jeszcze po Galicyi z towarami chodzą: są to po większéj części mieszkańcy z *Turczańskiéj* stolicy (*obwodu*). Z pudłem na plecach i czekanem w ręku, po kilka miesięcy są w ustawnéj wędrówce. Byli oni dawniéj więcéj użyteczni, ułatwiając kupno towarów, gdy obchodzili dwory szlachty, teraz przy łatwości handlu,

nie za długo utracą zupełnie swój sposób zarobkowania.

Olejkarzy u nas, nazywano często *Dryjacznikami*, że przedawali *dryjakiew'*, sok wielce pokupny u ludu naszego. Sok ten otrzymywano w części ze żmii, służył przeciw jej ukąszeniu i przeciw truciznom: stąd przysłowie:

«*Wyciągać dryjakiew' ze żmii*»

to jest: złe, na dobre obrócić.

PRZYPISY.

(a) Zdaje mi się, że wyraz *kord*, a po węgiersku *kard*, od Węgrów wzięliśmy. Kord nasz od szabli musiał się wielce różnić, gdy przysłowie dawne stanowi między niemi rożnicę: «*kord do boju, szabla do stroju.*

(b) S. Rysiński przypowieści r. 1619.

(c) Tenże.

(d) W rękopiśmie pisanym w fortecy Königstein r. 1715.

(e) O Litewskich i Polskich prawach T. I.

(f) Węgra nazywano w XVI wieku u nas «*Magier.*»

(g) Przekład A. E. Odyńca.

(h) Pieśni Ludu w Galicyi Wacława z Oleśka.

(i) Kantyczki nabożne z XVI wieku.

(k) Magazyn Powszechny Nro 28 z r. 1837.

(l) Wyprawa plebańska Albertusa na wojnę w Krakowie 1596 in 4to.

VIII.

DZIADEK.

GAWĘDA z KOŃCA XVIII WIEKU.

Z RODZINNEGO PODANIA.

PRZYPISY.

(a) Zdaje mi się, że wyraz *kord*, z po węgiersku *kard*, od Węgrów wzięliśmy. Kord nasz od szabli musiał się wielce różnić, gdy przysłowie dawne stanowi między niemi różnicę: «*kord do boju*, *szabla do stroju*.»

(b) S. Rysiński przypowieści r. 1619.

(c) Tamże.

(d) W rękopiśmie pisanym w fortecy Königstein r. 1715.

(e) O Litewskich i Polskich prawach T. I.

(f) Węgra nazywano w XVI wieku u nas «*Magier*.»

(g) Przekład A. E. Odyńca.

(h) Pieśni Ludu w Galicyi Wacława z Oleska.

(i) Kantyczki nabożne z XVI wieku.

(k) Magazyn Powszechny Nro 28 z r. 1837.

(l) Wyprawa plebańska Aflteriusa na wojnę w Krakowie 1596 in 4to.

I.

Dziewięćdziesiąty rok dobiegał, jak Stolnik piérwsze światło ujrzał, jak go matka do serca przytuliła, ojciec następcę swego radośnie powitał, i w kołysce uśpił. Przebywszy tyle burz w życiu, pochylony wiekiem zgrzybiałym, umysłem i stéraną siłą, wracał do dziecinnego wieku, i jak dawniéj wypoczywał w kołysce, tak teraz zasypiał w dużém krześle. Hanna, młoda wnuczka, była ostatnim kwiatem, co mu umilał żywot długi, ostatnią zarazem gałązką, z bujnego szczepu Stolnika domu, bo synowie i córki,

razem z jego ukochaną małżonką, spoczywali już snem wiecznym, na smętarzu przy parafijalnym kościele we wsi. Ona jedna tylko została, co starca rozweselić umiała, i pielęgnować to dziécię, siwe, pragnące ciągłego spoczynku, i wygody.

Kiedy wieczór Hanna przy kądzieli siedząc obok dziadka, śpiéwała piosnki; starzec słuchał, czasem zanucił z cicha, i usypiał snem miłym.

I teraz w pobliżu komina, siedział starzec, popijając winną polewkę. Wiatr zimny poświstywał na podwórzu, Hanna z zasępionem obliczem, to przyrzucała drewek dębowych w ognisko, to przędła na kołowrótku, rzucając często oczyma w okno, skąd widok na sad owocowy, a w jéj oczach, malowało się oczekiwanie z bojaźnią.

—Dziécię moje, czemu nie śpiéwasz, rzekł starzec: śpiéwaj, to weseli dom opustoszały.

Hanna zwiesiła głowę, i zanuciła znaną piosnkę ludu.

Przyleciał sokoł, przed tutejszy dom,
I padł w ogródeczku,
Przy wonném ziółeczku,
Roztoczył ogon.

* *

—»*Kasieczku miła, Jasio cię woła,*
Byś do niego wyszła,
Sama jedna przyszła,
Sama jedna, zgoła.«

* *

Kasia nie chciała,
Lecz posła wysłała:
Poseł nic nie sprawił,
I długo się bawił,
Potém sama poszła.

* *

—»*Terazże teraz, wóz mi zataczajcie,*
Pojedziemy w nasze strony,
Kędy dom mój ubielony,
Konie zaprzęgajcie.

* *

Jak ci wyjechali daleko na pole,
Kasia zapłakała,
Ręce załamała,
Na swoję dolę.

* *

—„*Obejrzéj się Kasieńko, obejrzéj kochanie,*
Czyliś czego zabuczyła,
Czyliś mną już pogardziła,
Na co płakanie?

* *

—*Miły Jasiu, zabaczyłam dla ciebie cnoty,*
O! daj mi się do dom wrócić,
Serce ojca nie zasmucić,
Jasiu mój złoty!...

I nie skończyła ostatniéj zwrotki téj pieśni, łkając rzewliwie. Ta pieśń, dobyła z jéj serca boleść tajoną, a łzami nie rozpłynęła się wcale. Starzec już usnął, gdy lekkie stuknienie w oknie, dało się słyszéć.

—Bożeż mój! czy to już?

—Tak, moja Hanno, czekam od dawna, już wszystko gotowe.

Drżało biédne dziécię, wahając się na przemian. Spojrzała na dziadka.

—O! Najświętsza Panno! ja go mam opuścić, a któż go pielęgnować, kto o nim staranie miéć będzie.

I uklękła przy nim, całując go w opuszczoną z poręczy rękę.

—Hanno! moja Hanno! mamże więc odejść, i nie widziéć cię nigdy! *(zabrzmiał mocniéjszy głos w oknie)*. Dobrze! odejdę, ale więcéj na téj ziemi, już się nie ujrzémy.

—Dziadku mój drogi! *(wyjękło dziéwczę ściskając śpiącemu kolana)*, czy ty mi przebaczysz? Daruj mi! przebacz! bo ciebie nie opuszczę na zawsze, i wkrótce znów będę przy tobie.

—Boże błogosław! *(wyrzekł starzec snem zmorzony)*, a Hanna jednym skokiem stanęła przy oknie. Czekał na nię dorodny Janko; przebiegli chyżo sad długi: na gościńcu czekała bryczka, i cztery dzielne bieguny,

za chwilę już przejechali granicę dóbr Stolnika, i zniknęli w bukowym lesie.

Kiedy zegar uderzył dziewiątą wieczorną, weszła stara Brygida klucznica, i gospodyni domowa, aby pana zaprowadzić do łoża: pomagała jéj w tém i Hanna.

Patrzy, okno roztwarte: nie mając podejrzenia, z podziwieniem zamyka: czeka na pannę daremnie. Niespokojna dopytuje, nikt nie wié gdzie znikła: biédna niewiasta, poczęła głośno szlochać.

—Co się stało? Zapytał zbudzony starzec, czego płaczeta? czy gęsi lis porwał, czy zginęły kurczęta?

Panie! odrzekła klucznica: wielkie nieszczęście! pannę nam porwano!

—Moję Hannę? Hanno! Hanno! odezwiéj się przecie! I stanął krzepko na nogach, z podziwieniem domowników, bo już lat trzy jak podupadł, nie stąpił i kroku. Pawle! *(zawołał silnym głosem)*, niech dworscy zbrojnie dosiędą koni, rozpalić pochodnie. A teraz podajcie mi kołczugę, moję

szablę z nad łoża, i czapkę z czepcem żelaznym.

Paweł zbladł, osłupiał: myślał że ostatnia godzina starcowi wybiła, patrzał rychłoli z wysilenia skona: lecz Stolnik stał krzepko, z wyniesioną prawą ręką w górę, jakby się gotował do cięcia szablą nieprzyjaciela.

Brygida upadła na kolana, zaklinając go, aby usiadł, lecz starzec grzmiącym głosem wołał szabli i zbroi. Gdy Paweł w przestrachu nie wiedział co czynić, Stolnik pewnym krokiem zbliżył się do łoża, i zdjął szablę: pachołek podał mu drucianą koszulę, i czapkę z żelaznym czepcem.

—A teraz, dziatwo moja! zawołał Stolnik, trzeba ciało wzmocnić, podajcie puhar herbowny.

Drżąca Brygida, patrząc jak na cudo, nalała puhar żądany, który do dna starzec spełnił, i wyszedł na ganek prowadzony od Pawła, chcąc dosiąść rumaka.

Rozjaśniło sześć pochodni pomrokę nocy grubéj jesieni: na pięciu koniach siedzieli dworscy uzbrojeni.

— Roździelcie się Wasze na dwie części, jedna ze mną, druga w przeciwną stronę z kopyta! Nie ma przebaczenia! tnièj! rąb! uwodziciela! Zabiję, zapłacę! (wołał coraz z większém uniesieniem), ale odbiję moję Hannę!

A po tych słowach, wspomnieniem utraconéj wnuczki dotkniony, osłabiał, zachwiał się i upadł. Dworscy otoczyli wieńcem biednego starca, a sześć pochodni ukazało widnie blade, śmiertelne oblicze Stolnika i twarze smętne, zapłakane, domowników przywiązanych.

II.

Dwa lata dobiegało właśnie od chwili zniknienia Hanny: Stolnik i teraz jak w owéj dobie siedział przed kominem, a miéjsce Hanny zajmowała stara i zgarbiona pod brzemieniem wieku Brygida, nucąc drżącym głosem dawne pobożne pieśni.

Starzec nie liczył godzin, ni czasu minionego, bo sen częściéj niż kiedy mrużył mu oczy: snami żył błogo, widział w nich nie raz to zmarłą córkę, to Hannę swoję, ów skarb drogi, który tak nagle utracił. Brygida słyszała we śnie Stolnika, bolesne westchnienia, a nie raz imię Hanny powtórzone: a przecież na jawie, zdawało się że o niéj zapomniał, że nic nie brakuje w tych samotnych komnatach, które śpiéwem i wesołością napełniało niegdyś radosne dziéwczątko. Ale starzec zamknął w sercu boleść głęboką, milczał myśląc o Hannie, a sny stawiały mu wierne obrazy ukochanéj wnuczki. Nie raz w złudzie marzył, że widzi ją przy sobie, że ją słyszy: głos dopiéro drżący i chrapliwy staréj Brygidy, wywodził go z obłąkania, rozdziérał mu serce bolesném przypomnieniem; gdy Brygida swoim zwyczajem, co wieczór przyśpiéwywała, w mniemaniu, że uprzyjemnia chwile Stolnikowi.

Jesienna była doba, a u nas jesień ma dni wiosny, lata i zimy: przed wschodem słonka,

przymrozek bieli murawy i pola, późniéj się zmiénia w rosę kroplistą, w południe cały urok lata rozwija się jeszcze. Tylko liść zżółkły na drzewie, liść opadły na ziemię, zwiastuje, że pora mroźna za pasem, że czas rolnikowi, aby zbiérał co rychléj plon, jaki mu Bóg urodził, co go ochroni od głodu i niedostatku.

Paweł, stary sługa Stolnika, jego powiernik poufały, zarządzał gospodarstwem: on co wieczór stawał przed panem, i zdawał liczbę z robót całodziennych, i właśnie w téj chwili, gdy drzwi do komnaty starca otwiérał, usłyszał turkot kolasy przed gankiem dworu, zatrzymał się i spojrzał.

Cztery siwki w krakowskich chomątach ze dzwonkami, ciągnęły rzeźwo kolasę, jak w on czas ozdobną i wspaniałą. Głębokie pudło w kształcie łabędzia wisiało, na czterech łańcuchowych resorach, świéciło wyzłoceniem i wymalowaniem: było bez nakrycia: za to w każdym rogu ozdobione figurą z drzewa pomalowaną. W jednym murzyn z odkrytą

głową, pokazywał białe zęby, w drugim spasły Turek bielił ogromnym turbanem: w trzecim Niemiec palił fajkę, a w czwartym dziewica trzymała parę gołąbków. W środku siedziała wyróżowana i wybielona panna Katarzyna, z dwudziestą cztérą muszkami na licach, czole i nosie, przy swéj matce poważnéj matronie, a siostrze ciotecznie nierodzonéj pana Stolnika.

Stolnik drzymał swoim zwyczajem, gdy weszła pani Skarbnikowa i z prawdziwym *afektem* rodzinnym, uściskała swego brata. Rozweseliła czoło starca, który ją po Hannie najwięcéj lubił.

—Jakże się masz panie bracie, dawnośmy się nie widzieli, i mnie gniecie ciężar wieku, już to na siódmy krzyżyk człek zarywa.

—Co wam wadzi pani siostro, jać dziewiąty pominąłem, to wy młodzik przy mnie: i gdyby nie troski, nie *turbacyja* o moje Hannę!....

Tu uciął: łzy zatamowały mu język, w głos się rozpłakał. Skarbnikowa kazała odejść

córce, a gdy sami zostali, tuląc starca rzekła.

—Panie bracie! Bóg trapi i pociesza, niech się święta Jego wola stanie! Hanna żyje zdrowa, chce upaść do kolan Waszych razem z małżonkiem swoim, i Waszym prawnukiem.

—Gdzie jest Hanna! *(wykrzyknął w uniesieniu, i stanął rzeźwie na nogach, aż osłupiała Skarbnikowa)*, ale niech mi jéj podły uwodziciel na oczy nie staje. Zwodziciel dzieciątka mego, nie splugawi progu mego. Pawle! *(wołał w gniéwie)*, kord mój w wężowéj skórze, jeżeli tu zjawić się poważy, łeb rozpłatam, jak to niegdyś Murzy tatarskiemu pod *Podchajcami*.

I wyniósł rękę w górę, potrząsając nią groźnie.

W téj chwili roztwarły się podwoje, i Hanna świeża jak dawniéj, z małą dzieciną na ręku, upadły przy nogach starca, a za nią padł Janko na kolana.

Stolnik zadrżał, w gniewie nie dojrzał Hanny, ale zobaczył Janka, któremu dawniej odmówił wnuczki, z którego ojcem żył w nieнawiści, ten Janko uwodziciel Hanny, klęczał przed nim. W zapamiętaniu spuścił wyniesioną ręką, i silny wyciął policzek. Janko porwał się na nogi, krew mu uderzyła do głowy, jeden tylko wyraz zabełkotał «*hańba*!» i wyciągał ręce żylaste, aby się pomścic zniewagi: ale spojrzawszy na starca, jak z zamkniętymi oczyma, padał na krzesło osłabiony wysileniem, porwał Hannę spłakaną, i odciągnąwszy od kolan dziadka: «Za mną» rzekł ponuro i wybiegł. Hanna ucałowawszy ręce Stolnika, wyszła za małżonkiem.

Skarbnikowa poczęła omglałego trzeźwić: wkrótce odetchnął i otworzył oczy.

—Czy-m we śnie widział swoję Hannę? zapytał osłabionym głosem.

—Byłać tu na jawie, ale poszła za swym małżonkiem, któregoś pan brat znieważył.

—Jako! *(krzyknął w gniewie)*, on tu był, wyszedł cało, i ja'm go nie rozsiekał?

—Więcej mu krzywdy Waszeć pan brat zrobił.

—Jakiej krzywdy?

—Czy nie pomnisz że uderzeniem w policzek!...

—Dzięki niebu! choć słabą zemstę odniosłem. Z jego rodzicem krzyżowali-m swoje kordy nie raz, i poniósł do grobu znaki, któremi-m go naznaczył, syn był nie wart żelaza, napiętnowałem go lepiej.

Skarbnikowa napróżno łagodziła uniesienie starca, nie mogąc przełamać upornego gniewu, nad wieczorem odjechała ze strojną córą.

---

je płacząc, z radości przygotowali wszystko na przyjęcie dziadka.

Zaledwie wprowadzony przez czeladź, usiadł: padł przed nim Janko z synem na kolana, i Hanna. Starzec we łzach cały, ucałował najprzód Hannę, potém Janka i dziecinę, a wzniósłszy ręce przemówił:

—Boże błogosław dzieci moje! i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy. Poczém wziął prawnuka na kolana, a całując ładne chłopię, żegnał krzyżem świętym.

Hanna podając opłatek, rzekła:

—Wczora przy *Wigilii*, sami łamaliśmy opłatek, płacząc że nas dziadek opuścił, dziś z uśmiéchem i radością, bo nam łaskawie przebaczywszy, szczerze będziem sobie wzajem życzyć *Dosiego-roku.*

W tém czeladź i domownicy uradowani, na ganku chórem zaśpiéwali pieśń o *Narodzeniu Pańskiém.*

Dzieciątko się urodziło,
Wszystek świat uweseliło:

Wzięło na się człowieczeństwo,
Co znaczyło jego bóstwo.
Poznał ci to, wół i osieł,
Iż to był niebieski poseł:
Trzéj królowie przyjachali,
Dary mu ofiarowali,
Wchodząc do szopy klękali,
Bogu cześć, chwałę dawali.
Przynieśli mu dary za to,
Mirrę, kadzidło i złoto:
Na to Boże Narodzenie,
Wesel się wszystko stworzenie. (*)

Stolnik prosił Janka, aby w jego imieniu udarował śpiewaków i wyrzekł:

— Od dwóch lat cierpiałem, nie znając radości, dziś Bóg mię oświeciwszy usty świętego kapłana, dozwolił uciechy prawdziwie, i jako się świat weseli, z urodzenia Chrystusa Pana, tak i ja z wami się weselę. Już ja nie rychło od was się wyniosę, a jeśli zaj-

(*) Kantyczki.

rzę do swego domostwa, to z wami zawsze dzieci moje!

W otwartych drzwiach, ukazał się sędziwy Pleban, a widząc wróconą zgodę w rodzinie, wyjął z zanadrza krzyż mały, z cząstką *drzewa świętego*, a gdy je wszyscy ucałowali, krótką modlitwę skończył, jak zaczął swoje skuteczne kazanie:

»*I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy*. Amen.«

IX.

Śpiewacy

W POLSCE I NA RUSI.

OBRAZ HISTORYCZNY.

«Nie ma już Polskich bardów i guślarzy,
Co z Druidami sąsiadów spór wiedli:
Kto lepiéj swoich do boju zachęci,
Kto lepiéj swoich przy uczcie zabawi;
Ich pieśni znikły, we wnuków pamięci,
Ich arfę niemą, zapomnienie rdzawi.»

Ale: Chodźko.

I.

Zagasła piérwsza Guślarzów nazwa, wraz z ich pamięcią u ludu, a starożytne śpiéwy, ony pomniki dziejów dawnych, głuchły coraz: w ustach jedynie wieśniaczych, zostawiwszy słabe echo, nie już wspomnień historycznych, ale właściwie sławiańskiego ducha, barwy i myśli.

Dziś kobzę rzadko zobaczyć, rzadko napotkać wędrownego z rzemiosła dudarza, a przecież, taka ich mnogość była za Stefana Batorego, że na sejmie r. 1578 ustanowiono, iż każdy dudarz rocznie podatku dać winien 24 groszy ówczesnych. Duda i Lira, brzmia-

ły gędźbą po zamkach panów i modrzewiowych dworach szlachty, a rycérz w okurzonéj zbroi, wróciwszy z wyprawy, zadąć kobzy się nie wstydził, lub przygrać na lirze, alboli bandurze.

On zawołany bohatér Samuel książę Korecki, którego S. z Skrzypny Twardowski (a) słusznie »*piorunem tureckim*« nazywa, gdy szedł w jassyr turecki, po nieszczęsnéj bitwie, przygrywając na kobzie, smutnych pocieszał towarzyszów swoich (b).

Kobza, inaczéj Koza, Duda zwana, najpowszechniéjsza była w krajach Nadwiślańskich, jak lira i bandura u Rusinów (c). Jeżeli dudarzy pełno było, nie tylko w miastach i po wsiach osiadłych; niemniéj i wędrujących, co przebiegali z kobzą w ręku, a pieśnią w ustach, sioła i dwory i zamki.

U Rusi wszakże, dostrzegam oddzielną niejaką kastę śpiéwaków. Są to ślepcy, niewidomi, którym natura nie odjęła wzroku, ale albo sami się ślepili, lub od własnych rodziców zostali oślepieni. Znałem na Pokuciu

(nad Prutem) dziada, który dwóch synów oślepił. Dziad taki niewidomy, gra lub sam na lirze, lub go prowadzi syn młody, co przygrywając na niéj, przyśpiéwuje pieśnią.

Rzewnie patrzéć na starca, co pozbawiony wzroku, z sakwami na plecach, trzymając za ramię młodego syna, obchodzi dziś jeszcze sioła i dwory na Rusi. Usiędzie starzec, miasto oczu, drgają mu tylko białka, a syn obok niego pokręca korbą, uderza zręcznie w klawisze liry, i wydobywa z niéj tony, do pieśni świętéj, i smutnéj dumy.

Ale nie zacznie ni dumy starodawnéj, ni wesołéj kołomyjki, póki nie odśpiéwa pieśni o świętym Mikołaju.

—»Bo nie masz na ziemi *(tak śpiéwa lirnik)*, większego patrona, nad świętego Mikołaja: w nim jest pomoc cała, on rozum jest. On ratuje więźnia, sierotę i wdowę. Jeżeli błądząc pomodlisz się jemu, on cię naprowadzi na drogę, nie wpadniesz między lutych wilków, a biésowski rozpędzi obłąd.«

«Opiekun sierot, karmiciel biednych, o co go błagać, w tém poratuje: a gdy przyjdzie dzień strasznego sądu, w nim pomoc, i obrona grzesznika.» (d)

A gdy zakończy pieśń pobożną, starzec przypomina mu dumę jaką; Lirnik młody gra i śpiéwa, już wtedy światowe pieśni, zwykle wesołą kołomyjką zakończając.

I tak chodzą odc wsi do wsi, od dworu do dworu; ślepiec napełnia sakwy żywnością, i grosza uzbiéra, wraca do swojéj chaty gdzie wygodnie żyje. Zwykle abowiem ten *Panionko*, jak go Ruś sama zowie, do najbogatszych należy: nie ma we wsi nad jego zamożniéjszéj chaty: żadna dziéwka tak się nie wystroi, jak córka Panionki, a pomiędzi swémi, jest w powadze i znaczeniu. Dla czego, używając dobrego bytu, ojciec ślepi synów własnych, by w jego krwi i pokoleniu, utrzymał się zaszczyt rodu Dida *(dziada)*, bo to już niemała chluba, gdy Panionko może powiedzieć o sobie: że did z dida, dziad z ojca i pradziada (e).

I sami Panionkowie grywają na lirze. W górach w pobliżu sławnego wodospadu Prutu, spotkałem (w r. 1832) młodego ślepca. Nadszedł w to miéjsce widomy lirnik, i począł przygrywać. Na piérwszy odgłos, zadrżał ślepy, błagał aby mu użyczył liry: drgały mu palce, z chciwością wyciagnął ręce jakoby po skarbiec jaki: ale nieużyty grajek, nie chciał mu dać liry, i zaledwie datkiem znaglony do spełnienia gorących życzeń ślepego. W on czas ślepiec schwyciwszy lirę, odetchnął wolniéj, pochylił głowy przysuwając bliżéj ucho, zakręcił korbą, i puścił palce uczone po klawiszach. Na bladéj twarzy, wnet wybił rumieniec, w całym było widać głębokie uczucie, mogę powiedzieć, że nigdy lira lepszego nie miała mistrza: a gdy skończył, z wysilenia opuścił bezwładne ręce, oparł głowę o skałę, pod którą siedział, a pot kroplisty oblał twarz całą, rozpaloną gorączką.

Lirnicy, odwiedzali często, i nadwiślańską ziemię, a Mazury równie lubili tych graj-

ków, i śpiéwaków razem, jak swoje sławne mazowieckie dudy (f). Jeszcze pamiętam starca lirnika, co obchodził po Warszawie. Wysoki, nachylony nieco laty, siwy jak gołąb', poważnego i czerstwego oblicza, okryty zawsze jasno niebieskim szerokim płaszczem, z krótkim kołniérzem, pod którym nosił lirę. Chodził od gospody do gospody, grając na lirze, przyśpiéwując drżącym głosem, dawne dumy i pieśni. Często i na publicznych przechadzkach usiadłszy, obudzał smętne tony. Pamiętam go dobrze! Ta twarz sędziwa, zmarszczkami okryta ale szlachetna, z któréj rozpusta nie spędziła młodzieńczéj róży, ten włos siwy, w długich splotach, co wiatr rozwiéwał, płaszcz długi, ubiór niezwykły, przy wykwintnym stroju cudzoziemskim mieszkańców Warszawy, używających przechadzki, cała postać wspaniała, ten głos drżący, co się tak dobrze godził z drżącą struną liry; silne na młodzieńczym umyśle musiał czynić wrażenie. Był to ostatni lirnik śpiéwak, co wśród zfrancuziałego, i przeniemczałego mia-

sta, dobywał grobowego głosu, do wyśpiewania starodawnéj pieśni, któréj słabe echo, nie odbiło nawet. Któż wtedy zwrócił na niego oko? Pamiętam jego słowa, gdy raz wychodził z gospody, nie mogąc nic zarobić, zagłuszony wrzaskliwą katarynką: »Źle że starego nie chcecie słuchać, a stary dawne rzeczy pamięta.« We dwa lata jakem go poznał *(było to między 1816 a 1818 rokiem)*, w zimie umarł. Na próżno-m go czekał, tam gdzie zawsze zwykł przychodzić, gdzie słuchałem jego liry i pieśni, nie ujrzałem już więcéj *niebieskiego płaszcza*, jak go nazywano: pogrzebiono go w tym płaszczu, a lira, na któréj nikt grać nie umiał, rzucona na komin, posłużyła do rozniecenia ogniska ubogiéj rodzinie, przy któréj zamieszkiwał starzec.

II.

Wiele przyczyn wiązało się na zgubę tych śpiewaków i muzyki, która w gęśli, dudzie, lirze, i bandurze żyła. Główne powody: zamiłowanie cudzoziemczyzny, rozkrzewienie muzyki włoskiéj, i ćma muzykantów z tamtéj krainy, upowszechnienie instrumentów obcych, zgubny wpływ wywarło. Czuł dobrze tę szkodę własną Jan Gawiński, kiedy napisał (r. 1668) kobzie nagrobek, bo już o niéj między szlachtą zapominano.

Ja, ona sławna kobza, z derenîu zrobîona,
Z cnoty, nad cytry swemu Panu ulubiona:
Dla lutni w kąt rzucona! dziś brzęczę z świérczamî,
Ach! cudze w cenie, swemi gardzimy cnotami (g).

A przecież, za świadectwem M. Reja, ta kobza była ulubioną gędźbą szlachty w XV i XVI wieku. Gdy gospodarz na pijatykę spraszał do siebie, dopóki goście nie przybyli, skracał sobie czas długi oczekiwania, leżąc za pie-

cem, a wzniosłszy na ścianę nogi, przygrywał sobie na kobzie (h).

W *Figlikach* swoich, Rej, doskonały obraz stawia szlachcica, co nazwyczajony do swojskiéj dudy, po innych grajkach nawet i skakać nie umiał:

«Ziemianin się ożenił, nasz prostak u dwora,
Nie umiał tańcować bez dudy potwora:
Pannę mu wywiedziono, pięć piszczków zagrało,
Chłopisko jako wryte, pośród izby stało.
— «By mi jechać do doma, ja nie pojdę tego,
«A co ja wiem, jako z nich, mam słuchać którego.»
Aż mu potem gdzieś chłopa z dudami nabyli
Ledwo pana naszego w tanek wyprawili.»

Szlachta w on czas lubiąca swéj ziemi, nie obcą muzykę; i sami grać na kobzie umieli, i trzymali nadwornych dudarzy, lub bandurzystów. Kiedy szli na zabawę, postępował grajek należący do wystawy dworskiéj, poprzedzając swego pana, i wygrywał na kobzie: późniéj zastąpili ich trębacze, często mięszani razem z dudarzami, dla większéj okazałości (i). Na Rusi po dworach, do naszych niemal czasów, utrzymali się bandurzyści.

Duda, pod nazwą Kozy, kobzy, używana jest w Krakowskiém, u Górali; w Wielkopolsce, nie ma do dzisiaj muzyki u pospólstwa, gdzie dudy nie ma. Wysmukli Górale nasi, na brzmienie kozy, w chyżych skokach okazują radość, jak Górale Sławacy, wśród śnieżnych Tatrów, kiedy swoje *Gajdy* usłyszą. Ruś dotąd, używa jeszcze Kozy (k).

Duda wielkopolska tém się głównie różni od kobzy krakowskiéj, góralskiéj, i ruskiéj, że grajek sam usty nie dmie, ale za pomocą mieszka, umocowanego na prawém biodrze nadyma, a przez to swobodniéjsze zostawia usta do śpiéwu.

Tym to dudarzom, kobeźnikom, bandurzystom i lirnikom, kiedy zagasła pamięć sławiańskich Guślarzy, winniśmy dochowanie najdawniéjszych i najpiękniéjszych poezyj. Byli to prawdziwi apostołowie, co przychodzili ode wsi do wsi, od dworu do miasta, nauczając pieśni i nuty: o każdym z nich można powiedziéć, co o starym Widorcie pieśń mało-ruska wyraża:

«Stari zamky jeho znajut,
Win dił dawnych uczył was:
W jeho pisniach odżywajut,
Zmerłyj lita, zmerłyj czas.»

Gdy się pokazał lirnik, dudarz, zbiegali się do niego, otaczali w około, a ten zwykle do słuchaczów obracał piérwsze słowo.

«Czy czuły wy dobre lude, taku nowynoczku:»
albo: *«O takiéj nowyni.»* (1).

A dudarz, kobeźnik zaczynał, gdy miał śpiéwać dumę historyczną, lub zdarzenie z rodzinnego pożycia:

Stała się nam nowina (1).

Gdy stanął w zamku pana, lub we dworze szlachcica, zwykle jakoby prosił o posłuchanie:

Posłuchajcie panny, i wy zacne panie.

I kończył nie raz, gdy śpiéwał o zwiedzioném dziewczęciu, moralną naukę:

Posłuchajcie panny, i wy zacne panie,
Jakie z hultajami dobre wędrowanie.

albo

Posłuchajcie panienki, i wy też mężatki,
Jakto źle wędrować, od ojca i matki (m).

Jak zaczyna dziś lirnik, kobziarz czy dudarz, mając śpiewać starą dumę, tak zaczynali i przed kilką wiekami wielcy śpiewacy, których zabytki do nas doszły. Mamy tego dowody w rękopiśmie »*Krolodworskim*,« że jak dudarz zaczyna: *Posłuchajcie panny, i wy zacne panie*, tak tam przed opisem świetnych turniejów (siedàni), u kniazia Załabskiego:

Znamenaite stari mladi,
O półkach, i o siedáni.

Tak przed zaczęciem powieści o Jarosławiu.

Zviestuiu vam poviest veleslawnu,
O velikych półkach, lutych boiech:
Nastojte i ves svoi um zbieraite,
Nastoite, i nadiwno vám sluchu (n).

Widziémy to i z wyprawy Igora, owego pomnika poezyi sławiańskiéj, z ostatnich lat XII wieku, którą tak zaczyna śpiéwak stary.

«Nie pięknież byłoby bracia począć staremi słowy, trudne powieści o pułku Igorowym, Igora Swiatosławicza! Poczynaj-że się pieśni! wedle wydarzeń tego wieku, nie wedle Bojańskiego zamyślenia» (o).

Przebiegali Nadwiśle prócz naszych dudarzy, śpiewacy Serbscy, na skrzypicach i na kobzie grając staroświeckie dumy, opiéwając w nich jak Turków przed laty bili nasi, i mężne Horwaty. Taki mamy obraz z XVI wieku, który wspomniawszy o Serbskich śpiéwakach, wystawia naszych dudarzy (p).

«Żołnierze co strawili na wojnie lata, syci już trąb i bębnów, kobzy radzi słuchają. Kozakom przerazliwi Surmacze grają psalmy wojenne, a oni słuchają dopóki zmorzeni trunkiem nie zasną.»

III.

Do tych, co przechowywali w ustach nie już historyczne dumy i światowe, ale po-

bożne pieśni, należą żebracy *Dziady i Żaki*. W inném miéjscu obszerniéj o żakach, teraz o piérwszych powiem.

Na mnogość tych żebraków, już narzekał w 1625 Szymon Starowolski, nazywając ich dobrze *biegunami* (r). Nie odbył się żaden odpust, uroczystość kościelna, pogrzeb, a nawet wesele, bez licznéj dziadów czeredy. Sprawiedliwe o nich urosło przysłowie:

Na każdém weselu swat, na każdéj stypie dziad.

Sadowili się tłumnie przed kościołem długim szeregiem, gdzie o dogodniéjsze miéjsce wszczynali bójki, używając kuli i laski za oręż. Prócz prawdziwych kaléków i żebraków, starców niezdatnych do pracy, była osobna klassa, rozradzająca się w mnogie pokolenia, a dzieci zdrowe nie miały innego powołania jak dziadostwo. Żebrak z ojca i dziada, miał swój obwód, który co rok po kilka razy obchodząc, mógł być pewny swego utrzymania. Pobożność ludu, upatrując w każdym ubogim *Łazarza*, ułatwiała ten

sposób życia. W brudném odzieniu, czapce lub kapeluszu, z torbami i sakwami, w ręku miseczka, lub żółwia skorupa, w drugim paciorki, kosztur z jeżem i bicz niekiedy dla odegnania psów napastniczych, co ich w ogóle nie cierpiały, (skąd przysłowie: »*lubią go jak psy dziada*«), kule i szczudła do udania kaléctwa, rożek tabaki, broda długa, głos żebrżący, pokorna postać cała, dziad taki obchodził domostwa wiejskie i miasta.

Żebrak jak obudzał litość nędzną odzieżą, tak z drugiéj strony musiał mieć dobrą pamięć, mnóstwo pacierzy i biegłość w śpiéwaniu pobożnych pieśni, przytém dowcip, przytomność i znajomość stosunków całéj okolicy. Albowiem po zmówieniu pacierzy, po odśpiewaniu nabożnych pieśni, których wieśniacy z nabożeństwem słuchali, kiedy mu pozwolono spocząć i rozgościć się, dopiéro zaczynało się jego właściwe powołanie, a na pytanie: »Skąd idziecie staruszku? Cóż tam słychać? wszczynała się długa gawęda, kronika całéj okolicy. Cóż dopiéro gdy się zeszli żebracy

w swojéj gospodzie, gdzie się nie wystrzegali nikogo, tam przy kieliszku, odkrywali całą swą przewrotność, a częstokroć najsprośniéjsze obyczaje. Tam przechwałki, jako musiał wrzeszczéć, żeby dostać jałmużnę, jak dobrze udawali kaléków, dla wzbudzenia litości. Tam za grosz zbiérany, oddawali się pijatyce i hulance. Błagał dziad głosem płaczliwym o jałmużnę, a gdy nie dostał, przeklinał w cichości (s).

W czasie odpustu, przybrawszy korną postawę, nucą pieśni pobożne, jak równie pod wrotami chat sielskich, i na progach dworów szlachty, nie łączą do tego prócz głosu żadnéj muzyki, gdy u Rusi często lira towarzyszy śpiewom.

Z ich pieśni, pomnę mały urywek o Sądzie ostatecznym i Antychryście, która trwogą wieśniaków słuchających napełniała.

Piruny (pioruny) *będą litali,*
Bydło, ludzie, będą zabijali:
Ach! gdzie my się podzieć mamy,
Jak tych lat się doczekamy!

Ancychrysta jeździć będzie,
Piec żelazny wozić będzie.:
A kto nie chce weń uwierzyć,
Tego w ten piec każe włożyć.

Zwykłą zaś pieśnią, była śpiéw o Łazarzu, co pobudzała do litości słuchaczów.

Co się stało przed laty?
Człowiek jeden bogaty,
Z złota srebra miał szaty.
Jadł, pił, tylko tańcował,
Dzień i noc bankietował,
Pychę w sercu swém chował.

A chociaż sam zbytkował, Łazarz z głodu na śmieciach umierał. Widział go bogacz, i twarz odwrócił, a gdy Łazarz wzywał jego pomocy, jako swego brata, wedle zasady chrześcijańskiéj, złajał go pan za to, i plunął na niego z pogardą. Umarł w nędzy Łazarz, a bogacza nadeszła kara. Wpadają czarci do jego pałacu:

W tém śmierć go dusić skoczy,
Na wiérzch wylazły oczy,
Aż z gardła pianę toczy.

A w tém okrutni czarci,
Jako na zwiérza charci,
Srogim jadem zażarci,

Porwali go czém prędzéj,
Od skarbów, od pieniędzy,
Do piekła, wiecznéj nędzy.

Tam gore, od dnia, do dnia,
Ten nieszczęśliwy zbrodnia,
Język jako pochodnia.

W tych to dziadach, zostały ślady starodawnych pątników, czyli pielgrzymów naszych, którzy roznosili między ludem, prócz pieśni nabożnych, bajki wschodu, powieści włoskie, co dotąd krążą po sielskich osadach.

IV.

Ale wróćmy do naszych śpiewaków. Sławna była kobza ukraińska (1), jak znowu ruskie ganiono dudy.

Przyjdzie obiad, coż masz jeść ty pacholku chudy?
Musisz ryczéć od głodu, jako ruskie dudy.
(r. 1635. Genealogija Nicydesa z Gratysem w Krak.)

Chwalono w XVI wieku mazowieckie dudy (u), z niemi chodzili pątnicy *(pielgrzymi)* zwani *Cursory* w on czas (w), a przygrywając, śpiéwali pieśni nabożne, i cuda świętéj Jerozolimy.

Pomiędzy Dudarzami, bywali sławni grajkowie. Zimorowicz wychwala Daniela Kobeźnika.

Jak lubiono za Zygmunta III dudy, dowód podaje Kasper Miaskowski z r. 1622.

Ale nie masz nad nasze z krzywym rogiem dudy,
Bo te może mieć zawzdy, i pacholek chudy.

Na maszkarach z serbskiemi skrzypkami składały muzykę:

Serbskie skrzypki, i dudy ostatek zagłuszą
Gdy z maskami ode drzwi do podsienia kłuszą.
(K. Miaskowski.)

Dudarze nie cierpieli innych muzyków, i może słusznie szli za przeczuciem, że cudzo-

ziemskie zwyczaje, wypędzą ich z własnéj ziemicy.

Już w XVI wieku, powstawano na dudy. Salomon Rysiński, przytacza o nich przysłowic szydzące:

Kogo kobza uweseli, wielki fortunat.

I drugie, okazujące wyższość lutni cudzoziemskiéj:

Lutnista nie zacznie, póki gajda (duda) *nie umilknie.*

«Bo *(jak mówi Ł. Górnicki Rozmowa)*, młodź słano do Włoch dla lutni, a utratnego gdy pytano, co będzie czynił, wszystko utraciwszy? powiedział: będę grał na lutni, i tém się pożywię.»

Kiedy dawniéj nasza ziemia pełna była zamków panów i zameczków szlachty, dudarz wędrowny łatwiéj się pożywił, jak to dobrze wyraził bezimienny poeta w dyjalogu. *(Szkolna mizeryja w dyjalog zebrana)* r. 1633.

— «*Na jakim takowym zameczku,*
Zwlaszcza kędy przy dworze, muzykę chowają.
Jeść i pić przy bankietach dostatek dawają.»

Dudarze to narzędzie gędziebne, którém słynęli, zawieszali w świątyni pańskiej przed obrazem świętym, jak mówi Kasper Miaskowski (r. 1622) do swego szwagra.

Toż i ty z twemi uczyń szwagrze dudy,
Przybiwszy je gdzie u świętéj Giertrudy:
A z niemi wespół, i skrzypki i tańce,
I twe ustronne do białéj płci szańce.

Już w XVII wieku, zaczynała wziętość kobzy upadać. Skrzypki serbskie i cymbały, poczęły stanowić muzykę.

Para Serbów, a cymbał, idysz w taniec kołem:
A coraz do swéj pani, bij niziuchno czołem.
(Zwrócenie Matyjasza z Podola 1684 r.)

Bandurzystów utrzymywali zarówno panowie Polscy i Ruscy. Kiedy Jan Kazimierz królewiczem będąc, uwięziony został we Francyi dla błahych pozorów, bandurzysta smętnego rozweselał. (*Carcer Gallicus Wassenberg*).

Zborowski Krzysztof, Wojtaszka swego bandurzystę, używał do ważnych poleceń:

on to wydaniem listów, znoszenia się swego pana z nieprzyjaciołmi kraju, wyjawił.

Znana jest pospolita przez nich używana piosnka, o wesołéj bandurce.

Moja bandurka z samoko złota,
Kto na nij zahraje bere ochota.

Bandurzyści, przetrwali długo polskich dudarzy i kobezników, kiedy ci już nie zajrzeli do żadnego dworu, przygrywając jeno po gospodach i na weselach wiejskich, bandurzyści do ostatnich lat panowania Stanisława Augusta, znaleźli miejsce po dworach. Widziałem rysunek, sławnego naszego malarza Orłowskiego, przedstawiający powrót z uczty dwóch panów polskich. Idą podpili, z rozpalonem obliczem, krzesząc szablami o bruki Warszawy, za niemi postępuje opiła służba, poprzedza ten orszak wesoły bandurzysta, skacząc, śpiewa i przygrywa na bandurze.

PRZYPISY.

(a) Władysław IV. król Polski i Szwedzki w Lesznie 1649 fol.

(b) Obraz wieku Zygmunta III Franciszka Siarczyńskiego T. I.

(c) Na Pokuciu między Dniestrem a Prutem, był sławny kmieć ruski we wsi *Czortowiec*, doskonale grający na dudzie, który przytem tańcem i śpiéwkami, wesoło zabawiał szlachtę po dworach. Dotąd jeszcze pamięć jego żyje w tamtéj okolicy.

(d) Przytoczę tu parę strof téj pieśni we właściwém narzeczu, które spamiętać mogłem.

Ratuje wiaźnia iż temnycy,
Dast sposub syrot'i, wdowycy:
Tylko jeho potreba błahaty,
Na pomoszcz sebi pryzywaty
Prybud'et!

* * *

Dosyť jest tak ne mało ludu,
Doznały preswiatoho czudu.
Kto tylko jemu sia pomołyt,
Najmenszy człunok ne zabołyt.

(e) We wsi Matyjowce nad samym Prutem, w pobliżu miasta Kołomyi (*w Galicyi Austryjackiéj*), znalazłem odwieczne gniazdo tych panionków. Mam pewną wiadomość, że i u nas w Hrubieszowskiém, byli przed kilkunastą laty w osadach ruskich podobni ślepcy, zapewnie znajdzie ich i teraz.

Że podobny rodzaj ślepych dziadów, i u nas był przed laty, napomyka dowód, stary dyjalog z 1553 roku drukowany (*Rozmowy in 8vo minori u Floryjanowéj wdowy w Krakowie*), w którym czarownica przyznając się do swoich występków, między innemi mówi:

A drugą-m rzecz uczyniła,
Strychowi *oczy skaziła:*
Ale mu to nic nie wadzi,
Rychło mu da pieniądz każdy:
Widząc tę jego lichotę,
Którą cierpi przez ślepotę.

(f, *Inventores rerum* albo opisanie co kto wynalazł i do używania ludziom podał: Jana Proto-

sowicza w Wilnie 1608 in 4to. Mazowieckie dudy sławnemi nazywa.

(g) Sielanki 1668 r.

(h) Żywot poczciwego człowieka Reja.

(i) Sebastyjan Klonowicz, Worek Judaszów: «On idzie za trębaczem, on idzie za dudą.»

(k) Dudarze, szczególniéj są przywiązani do swoich instrumentów. W roku 1837, od Rusina z Wołynia nabyłem dudę. Długo się wzbraniał ją sprzedać, ale namówiony od swego towarzysza, gdy odstąpił, całował ją serdecznie, ze łzami: powracał kilka razy i wygrywał na niéj na pożegnanie.

(l) Wacław z Oleska (*Zaleski*). «Pieśni polskie i ruskie ludu Galicyjskiego.» Rzadko kiedy śpiewak o sobie wspomina: jest jedna pieśń tylko w tym zbiorze która się tak kończy:

To tu tobi spiwanoczku sestryczka składała,
Szoby brata Stefanoczka ta ne zabuwała.

(ł) Pieśni ludu Białochrobatów, Mazurów i Rusi z nad Bugu. K. Wł. Wojcickiego T. I. II.

(m) Pieśni ludu Polskiego w Galicyi Z. Pauli 1838. Znajduję pieśń która się poczyna:

A był ci to taki
Co po świecie chodził,

Od ojca, od matki,
Dziewczęta uwodził.

Kończy:

Patrzajcie wy panny,
I wy też mężatki:
Jak się to uwodzi,
Od ojca i matki.

Koniec ten, bywa w innych stronach tak odmienny:

Przypatrzcie się panny, i wy też mężatki,
Jak to źle wędrować od ojca, i matki:
Przypatrzcie się panny, i kawalerowie,
Jak to źle wędrować zwłaszcza białogłowie.

(n) Kraladworsky Rukopis nalezen, a wydan od Wacława Hanky w Praze 1829. W zbiorze pieśni Sławaków J. Kollara, znajduję pieśń jednę, która się zaczyna podobnie jak nasze:

Nesem wam nowinu smutnau,
Zawistiwym pannam wzácnau.

(Narodnie Zpiewanki T. II. w Budyne 1835).

(o) Wyprawa Igora na Połowców, poemat sławiański, wydany przez Augustyna Bielowskiego Lwów 1833 r.

(p) Światowa rozkosz 1630 in 4to w XVI wieku: już poczęto powstawać na swojskie dudy. M.

Rej ich nie lubił, i często z nich szydzi, i w tém poemacie znajduję:

Kobzy, téj w tym miesiącu wszyscy mi się jęli,
Ten troski nie znał, kogo ona uweseli.

Podrwiwa z kobzy i S. Rysiński w przypowieściach swoich.

(r) Votum o naprawie R. P. 1625.

. . . . Ci to biegunowie,
Co to ich widujecie zawsze w Częstochowie
I na Kalwaryi i przy każdym kościele.

(s) P. L. w Lesznie in 4to.

(t) Oeconomia Jeżowskiego 1648.

(u) Inventores rerum J. Protosowicza w Wilnie 1608.

(w) Mięsopust dyjalog 1611.

Od ojca, od matki?
Dziewczęta uwadził.
Koniczy [illegible]
Patrzajcie wy panny,
[illegible] *też mężatki:*
Jak się to uwodzi,
Od ojca i matki.

Koniec też, bywa w innych stronach tak od- [illegible]

Przypatrzcie się panny, i wy też mężatki,
Jak to się wydarowuje od ojca, i matki!
Przypatrzcie się panny, i [illegible]
Jak to się [illegible]

(n) Kralo[illegible] [illegible] wydan od Wacława Hanky w Praze 1829. W zbiorze pieśni Sławaków J. Kollara, znajduję pieśń jedną, która się zaczyna podobnie jak nasze:

Nesem wam nowinu [illegible]
Zawisłowym pannam wzácnau.
(Narodnie Zpiewanki T. II. w Budyne 1835).

(o) Wyprawa Igora na Połowców, poemat sławiański, wydany przez Augustyna Bielowskiego Lwów 1833 r.

(p) Świątowa rozkosz 1638 in 4to w XVI wieku już poczęto powstawać na swojskie dudy. M.

X.

GAWĘDA

przy Sosze.

Pan Starosta Kaniowski z dobraną drużyną,
Wychyla gąsiorami po pradziadach wino,
Świece gasi kulami, łby butelkom zrywa,
Hajdukom między palce, strzela króle, asy,
Wybija tańcującym dziewczętom obcasy.
Lecz kiedy coraz hojniéj gąsiora nadlewa,
Rani ręce hajdukom, a dziewczętom nogi,
Broczą się krwią kobierce, broczą się podłogi!
Pan się śmieje, przepija za zdrowie kompanów
A na wiwat grzmi dziesięć, i trąb i turbanów.

Aleksander Groza (Poezyje 1836).

Byś! byś! wołał pan Marcin z *Sokołowa* na swoje woły, i unosząc sochę na miedzę, gdzie dzika grusza cień dawała, wypuścił zmęczone z jarzma, sam zatkniętą w miedzy szablę, schowawszy do pochwy wiszącéj u boku, odpasał rzemyk, i nieodstępną towarzyszkę swoję, położył na jarzmie z wilgoconém, potem pracowitych wołków. Zdjął czapkę rogatą z siwym baranem, otarł znój z czoła, i gniéwnie spoglądał, na oddalony dworek, wybielony między lipami, czy nie ujrzy kogo, coby mu niósł na południe obiad.

Właśnie pan Grzegorz z *Sokołowa*, już garnek jeden wypróżniał na poblizkiéj miedzy, a pan Tadeusz także z *Sokołowa*, na szerokim zagonie pod jabłonką, dobywał łyżki cynowéj z za cholewy, i w dzbanek krakowski zaglądał, gdzie na barszcz zabielany ze skwarkami, wcześnie połykał śliny.

To gniewało Marcina, gniótł w ręku czapkę, spluwając: wkrótce się przecie uspokoił, bo wybiegła z dworku mała dziewczyna, niosąc w dwojakach obiad, a w fartuszku spore glony chleba razowego, i trochę w niedużéj flaszce wódki. Z radością pokręcił wąsa, usiadł na sosze, odwinął poły kapoty, zdjął czapkę, a rozgarnąwszy włosy, oczekiwał wygłodniały uczty swójéj. Zajrzawszy we flaszę i dwojaki, rozchmurzył czoło, a nasycony dobrze, wesoło spojrzał po sąsiadach swoich, którzy się z soch podniosłszy, zbliżali się do niego.

—Pomaga Bóg!

—Bóg daj zdrów!

I zasiedli pod cieniem gruszy, gdy dziew-

czyna zabrawszy sprzęt swój, wróciła do dworku.

MARCIN (*do Tadeusza*).

Jako-że miły samsiedzie, nie skończylista swego zagonu?

TADEUSZ.

Wielka posucha, zaledwie doorzę przed zachodem słonka, woły się pomęczyły.

GRZEGORZ.

Coby na to chłopy z sąsiedniéj wioski powiedziały, co szydzą z nas szlachty, i zagonów naszych, gadają: *że pies jak usiędzie na dziedzictwie szlachcica, to ogon za granicą trzyma.*

MARCIN (*z dumą*).

Choć nie długo, nie szeroko, ale *głęboko i wysoko!* (*)

TADEUSZ.

Już-ci co prawda, to nie grzéch, że z je-

(*) Przypowieści szlacheckie.

dnego zagonu, trudno wyżywić we dworku, i siebie, i drobiazg z niewiastą. W dawniéjszych czasach, łatwiéj było o wszystko; człek nie frasował wiele ma wyrostków, aby im grzbiet lada jako okrył, pojechał z niemi do pana, to w służbie dworskiéj, nie długo wychodzili na ludzi. Mój rodzic, służył u pana Stolnika, najprzód za pacholę, późniéj wyszedł na dworzanina. Miły Boże! jako mu w one czasy było dobrze! Zawsze co Nowy-Rok, dostawał nowy kontusz, żupan, pas, czapkę i buty: prawdać że przyszwy często musiał zaraz nowe dawać, bo były naszarzane, ale za to cholewy w barwie śliczněj.

MARCIN.

Toć z tego panie bracie gadano przysłowiem: »*poznać pana po cholewach*,« bo niemal wszyscy dworzanie, nosili pańskie cholewy, choć przyszwy czarne, alboć tam inne bywały.

TADEUSZ.

Oprócz tego, przy jakiéj *fecie*, pan gdy

sobie podochocił, rozdawał, lubo nie każdy był tak hojny, jak on sławny *Panie Kochanku*, książę Radziwiłł, co na sejmiku w Nowogródku, zdjął wszystko z siebie, aż do koszuli a hajdawerów, a rozdał braciom szlachcie (*). Miły Boże! to go też kochali, a za kolana ściskali, aże nogi miał sine.

* * *

Kiedy to mówił, z blizkiego gaju wyszedł z krupką słomianą na plecach, pełną rydzów i bedłek, stary *Kordus* jak go zwano, szlachcic już po ósmym krzyżyku, wyniosłego wzrostu, i tuszy sporéj w sobie. Szlachta *Sochowa*, ujrzawszy starca, powstała z uszanowaniem, zdjęła czapki, a Kordus rzekł:

—Pomaga Bóg bracia! cóż to, południujecie? idzta zdrowi: owo i stary nie próżnuje: ale spiekota, przyszedłem do was w cieniu spocząć!

To mówiąc, zdjął czapkę, i krupkę z sie-

(*) R. 1781.

bie, a rozgarniając gęste sploty siwych włosów, co mu na ramiona spadały:

—O czem żeśta, panowie bracia, gawędzili?

—O dawnych wielkich panach: odrzekł Tadeusz.

KORDUS.

Pąmiętam z nich wielu, służyłem nie u jednego, nie za jednego szablicą po łbie dostałem. Mój Boże! wszystko wymarło, skarbce, bogate mienie, zmarniało, a ja żyję, dzięki Bogu, zdrowo, patrzę na czwarte po sobie pokolenie. Bo téż jako się żyło, i przez jakowe *casus* człek nie przechodził! Opowiem to wam młokosom, miejcie jeno co w dzbanie, aby odwilżyć gardło!

* * *

Tadeusz dobył z za gruszy dzban malowany zielony, pełen jeszcze smacznego podpiwku, a Kordus łyknąwszy sporo, otarł wąsy i zaczął.

»W młodych leciech, odumarł mój rodzic, matka nie długo poszli za nim, nie wiele

chudoby zostawiwszy po sobie. Jakoś, był odpust w poblizkim kościele, poszedłem dać na mszą za ich duszę, i czołem uderzyć naszemu Bogu. Po nabożeństwie, że był skwar duży, podpiwszy nieco w gospodzie, położyłem się na brzuchu, w cieniu gaju, nie daleko drogi i zasnąłem. Chłopi wracający do dom, zobaczyli mię, i jeden zuchwalszy, jakem się później dowiedział, uderzył mię nogą, mówiąc swoim: »*Patrzta, jak szlachcic barany pasie*,« i począł namawiać swoich, żeby mi zdjąć kontusz i żupan. Trafiło to im do smaku: wtedym poczuł, że coś mię gniecie: obudzam się, i widzę chłopstwo w około, w ręku jednego mój pas, u drugiego czapka z żupanem, u tamtego kontusz. Otrzeźwiony, wstałem na nogi, żądając swoich rzeczy, ale miasto tego, poczęli się śmiać. »Co, *wy chamy!*« (krzyknąłem w gniewie, aż gorąco w czuprynie poczuwszy), chceta dworować ze mnie! Jak skoczę, jak utnę pięścią tego, i tamtego i owego, aż z dwunastu chłopów, sześciu padło, drudzy uciekli, rzuciwszy

moje szaty: nie wielu z tych poszło do dom co upadli, bo zabiłem cztérech, i w on czas, odkryłem wielką siłę, jaką mię Bóg obdarzyć raczył. Ubrawszy się więc, poszedłem do domu, ale nie było co długo popasać, bo za zabitych chłopów, kazano mi płacić, i w wieży siedziéć: a więc wziąwszy szablę i konia, oddawszy bratunkowi gniazdo swoje, ruszyłem w świat, a bywszy po wielu dworach, najdłużéj byłem u Księcia pana *Panie Kochanku*, i pana Starosty Kaniowskiego. Było to dwóch magnatów najsławniejszych w one czasy; jeden z bogactw i hojności, a dobroci: drugi, Panie odpuść! djabeł zły, i postrach żydów, ba, i szlachty.

Opowiem Waszeciom, co pomnę o panu Kaniowskim.

Nie był ci tak zły jak mówiono, ale wart djabła, bo nie jednego żywota pozbawił, fundował klasztory, i wydał jakieś tam pisma, alem nie miał czasu ich czytać. Ludzie po jego śmierci gadali, że w zamku swoim miał loch głęboki, z takim mostkiem, co gdy kto

stanął na nim, zapadł się na wieki. Tak już strącił 98 ludzi: kiedy swego wiernka tam zrzucił, on go przeklął, i krzyknął lecąc, że sam starosta będzie setny: jakoż, gdy chciał pan Kaniowski zajrzeć do tego lochu, wpadł sam na wieki.

Ale to nie prawda, ja Waszeciom powiem co pewniejsza. Jak umarł, leży pochowan w Poczajowie, a ciało jego z osobliwą do tych czas *attencyją*, pokazują miejscowi księża Bazylijanie: gdyż pan Starosta Kaniowski, pyszny ten klasztor wydzwignął i nadał. Był on *banitem*, wywołanym z kraju, ale później pokutował szczerze: prawdać, miał za co, nie mało nastrzelał bab, co im na drzewie kukać kazał. Wspiérał on konfederacyją Barską, a był tam pan Twarowski rotmistrz, co gdy mu coś przykrego powiedział, strzelił doń, gdy siedział w karecie. Starosta odtąd był z wielką dlań *estymą*, jak dla onego towarzysza, o którym zaraz.

Codziennie odzian łachmanami, z przewieszoną torbą na plecach i kosturem w ręku

jako dziad ubogi, wychodził ze swego zamku, do odległéj przy gościńcu kapliczki, gdzie godzin parę, na modlitwach strawił. Wiedziano o téj pielgrzymce Starosty, ale drżano przed tym dziadem w łachmanach.

Zdarzyło się raz, że Starosta w drodze jadąc z Warszawy ze swoim dworem, spotkał towarzysza od jazdy narodowéj, co za urlopem jechał do domu: młody i doredny, zwrócił jego baczność. Po zaczętéj rozmowie, gdy się już zabierał do odjazdu towarzysz, Starosta zapytuje, czy téż się zaopatrzył we wszystko, co żołnierzowi w drodze potrzeba.

A masz téż Waści szydełko i dratwę? by jak się bucik zdziurawi, było czém naprawić. A masz Waści igiełkę i nici? by mundur rozpruty, lub rozdarty zeszyć.

Pomięszany towarzysz, napróżno tłumaczył się, że już domu blizki, nie potrzebował tych ostrożności, nieubłagany Starosta, kazał jako szlachcicowi posłać dywan, i sto przypiekanych odliczono. «To masz Waści panie bracie, *pro memoria*, *admonicyją* cielesną,

a nauka w las nie idzie. Waści drugi raz zasobniéjszy pojedziesz w drogę.» Towarzysz, gryząc język z bólu, skłonił się jeszcze swemu nauczycielowi, dziękował za rodzicielskie rady, w duszy jednakże pomstę zaprzysiągł. Dowiedziawszy się, jak przebrany Starosta chodził na modlitwę do kapliczki; o zachodzie słońca, z silnym pachołkiem, oczekiwał go pilnie. Jakoż, nie zawiódł się w oczekiwaniu: dziad ubogi, w obdartych łachmanach, z czerstwemi policzkami, chociaż siwizną okryty, z poważną brodą, ukazał się na drodze. Towarzysz, zatrzymuje go, daje jałmużnę, i zaczyna rozmowę.

—A gdzie to was pan Bóg prowadzi, mój dziadku?

—Ot! idę wielmożny panie, do téj kapliczki, modlić się za grzechy.

—Zapewnie nie z téj wsi jesteście rodem?

—O! z daleka, panie towarzyszu!

—Cóż to mata w téj torbie?

—Nic dotychczas, czasem bywają okruchy chleba z jałmużny.

—Kiedy tak wędrujecie, mój dziadku, a czy macie też szydełko i dratwę, by jak się bucik zdziurawi, było czém go naprawić? A masz dziadku igiełkę i nici, by suknią rozprutą lub rozdartą zeszyć?

Dziad zdziwiony, spojrzał na towarzysza, i z największą *rewerencyją* tłumaczyć się usiłował, ale nieubłagany moralista, za danym znakiem, gdy i pachołek dopomógł, sto przypiekanych *boćkowskich* bizunów odliczył. To masz, mój kochany dziadku odemnie *pro memoria*, a drugi raz lepiéj już o swoich potrzebach będziecie pamiętać.»

To wyrzekłszy, wsiadł na konia, i odjechał wswoję stronę. Starosta ledwie się dowlókł do zamku, nic nie mówiąc o przypadku, leżał dni kilka, pod pozorem słabości. Rzecz dziwna! nie pomyślał Starosta o zemście na towarzyszu, owszem, wywiedział się o jego nazwisku i przez wpływy swoje, wyrobił mu stopień Porucznika, w téjże saméj chorągwi!

Pan Starosta, lubił prosięcinę pieczoną, czę-

sto bywała więc na stole: właśnie na takie pieczyste, trafił kwestarz. Pan Kaniowski już podchmielony, zaklął się na swoje wąsy, rozkazując kwestarzowi zacząć prosiaka, że skąd on zacznie, toż samo spotka kwestarza. Mnich wiedział, że z tym panem, żartów nie ma, tym bardziej, że trzech stanęło za nim kozaków; czekając skinienia jeno pana. Spotniał biédaszek, i myśli: «zacząc od głowy, czy uszu, źle: od skórki, jeszcze gorzéj.» A pan Kaniowski wyłupił nań oczy zabielone, popłukując usta winem, ciekawy *konceptu* kwestarza. Ten też poszedł po rozum do głowy; zaczął śmiało prosię, palcami dobywając nadzienia z pod ogona. Parsknął głośnym śmiéchem Starosta, i hojnie obdarzył dowcipnego kwestarza.

Z prosiaka lubił najwięcéj mózg, i skórkę przypiekaną: popamiętał tego przysmaku jeden szewczyk, o którym zaraz Waszeciom powiem, jeno gardło odwilżę.

Nie daleko ogrodu swego, ujrzał Starosta dwóch wędrowników, z których jeden był

kucharzem, a szewczykiem drugi. Woła ich i zapytuje najprzód kucharza, co u prosięcia najsmaczniéjszego? z tém zagrożeniem, że jeżeli zgadnie, dostanie sto złotych, w przeciwnym razie, sto bizunów. Kucharz po krótkim namyśle, odrzekł:

—Skórka, Jasny panie!

—Dobrze! zawołał Starosta, i kazał mu sto złotych wypłacić.

Następnie przywołuje szewczyka, i znów pyta: »A u wołu, co najsmaczniéjszego?« Szewczyk, co z professyi trudnił się jeno skórami, a jeszcze widząc, jak kucharz za skórę nagrodzony został, odrzekł prędko.

—Skóra, Jasny panie!

—Dajcie mu sto przypiekanych! krzyknął Starosta, i wnet dopełniono rozkazu, wśród płaczu, i przekleństw szewczyka.

Jak lubił prosięta, tak nie cierpiał żydów. Brat pana Kaniowskiego, miał u siebie żyda, którego więcéj jak przyjaciela uważał, a nawet sadzał z sobą razem do stołu; gdyż

wielką mu był pomocą w rozlicznych interesach. Przyjechał pan Kaniowski do brata, a oburzony, że razem przy stole i żyd ów siedział, wydaje skrycie rozkazy kozakom, by na skinienie jego uważali. Po obiedzie, wychodzi z żydem do ogrodu, z początku grzeczny, ośmiela go do poufałości: nagle w największym gniéwie zawołał: A znasz ty, psie niewierny, z kim rozmawiasz?... Żyd wystraszony, zdjął nie tylko czapkę, ale i krymkę nawet. Starosta skinął na swych kozaków, i w oka mgnieniu, powiesili go na drzewie; sam z najspokojniéjszém obliczem powraca, żegna brata i odjeżdża. Wkrótce odkryto powieszonego żyda: rozżalony śmiercią prawéj swojéj ręki, pisze brat do Starosty list ostry: ale ten chcąc nagrodzić stratę, rozkazał ze wsi i miasteczek na 12 bryk połapać, i napełnić każdą żydami, i transport cały z listem bratu odesłać. Zajeżdżają w oznaczone miéjsce ładowne bryki, wywracają każdą na środku dziedzińca przed gankiem pałacu, a gdy z każdéj wysypują mnóstwo

żydów, te wyrazy w liście przysłanym brat Starosty czyta:

»*Kochany bracie! żałowałeś jednego żyda, com go kazał powiesić: posyłam ci za jednego, 12 bryk żydów, w nadziei, że się potrafisz pocieszyć niemi, po stracie tamtego.*«

Nie mało zydów wyprawił do *Abrahama na kwaśne piwo:* często bez strzału czy szabli, innym sposobem żywota pozbawiał. Jednego żyda za nieostrożne, a ubliżające sobie słowa, miechem kowalskim wydął na śmierć: drugiemu, co się w *Kaniowie* przechwalał, że on to samo znaczy, co pan Starosta, inny zgon wymyślił. Kazał mu być na obiedzie u siebie, przy stole same trefne potrawy, półmisek po półmisku zjadać. Próżno płakał i prosił, ale darmo; Pan rozkazuje, sługa musi. Kiedy biédne żydzisko jeść już więcéj nie mogło, rzekł pan *Kaniowski:* »Widzisz, że co *Kaniowski*, to nie żyd, a co żyd to nie *Kaniowski.*« Dla lepszéj pamięci, kazał 200 wyliczyć. Odwieziono go do Kaniowa, nie długo żydzisko zamarło.

Czasem i za żydem się ujął, gdy miał wesołą *fantazyją:* jako raz, gdy spotkał żyda smolarza ze swego miasteczka, co nad beczką rozbitéj smoły siedział i płakał. »A czegóż ty płaczesz? zapytuje go Starosta. Żyd opowiada, że tylko co z góry zjechał, gdy jakiś szlachcic, rozpędziwszy konie, dyszlem uderzył w dno beczki i wybił, a smoła prawie się wszystka rozlała. Starosta daje znak kozakom, ci lecą, dopędzają szlachcica, i nie długo stawiają przed nim.

—To Wać wybiłeś dno beczki smoły?

—Tak, Jasny panie, ale to niechcący.

—No, to Wać wybij i drugie dno, co pozostało!

Szlachcic z pokorą dopełnił rozkazu, bo wiedział, że to nie przelewki.

—Teraz Wać przejdź przez beczkę.

Szlachcic i teraz był posłuszny, a gdy umazany smołą, stał się pośmiewiskiem kozaków nadwornych, i samego żyda; Starosta za beczkę smoły, kazał mu zapłacić. Szlachcic dobył kalety, dziękując Bogu, że tak gracko

bez niewielkiéj szkody, wykręcił się sianem.

Tak się wykręcił i kahał żydowski z Kaniowa: bo Starosta potrzebując pieniędzy, zgromadził cały, zadawszy pytanie do rozwiązania: »Który Bóg lepszy? czy żydowski, czy katolicki?« Żydzi prosili o godzinę namysłu, wtedy po naradzeniu się z sobą, że w każdym przypadku źle będzie, czy powiedzą że katolicki, czy żydowski: wchodzącego po odpowiedź Starostę uprosili, że dał słowo, iż najpierwéj odpowie na ich zapytanie.

—Jasny pan Starosta ma muzykę? wyrzekł z ukłonem żyd najstarszy.

—A mam!

—Tam są skrzypki, basy i cymbały.

—Naturalnie, jak przy każdéj kapeli.

—Otóż Jasny panie, jak muzyka jest jedna, tak i Pan Bóg jeden. Ale to nie wiadomo; czy ja cymbał, a Jasny Starosta skrzypce, czy ja basy, a Jasny pan cymbały.

Podobała się odpowiedź Kaniowskiemu, i cały kahał wolno wypuścił.

TADEUSZ.

Z przeproszeniem Waszmości, śpiewają o nim piosnkę, jeno go nazywają *Starostą Mikołajem*.

KORDUS.

A tak, bo to był pan Mikołaj Potocki, Starosta Kaniowski i Bohusławski.

MARCIN.

Pamiętam pieśń tę całą, nauczyła mię moja matka.

KORDUS.

No! zaspiéwajże nam chłopcze.

MARCIN (*śpiéwa*).

U młynarza Marcina,
Jest tam gładka dziewczyna:
A pan o niéj nie wiedział,
Służeńka mu powiedział.
Posłał ci pan ułana,
»Pódź młynarzu do pana.«

Idzie młynarz i duma:

»Co ten pan do mnie ma?

Młynarz do pana wstępuje,
Pan go winem częstuje.
»Pij młynarzu to wino,
Nie piłeś go, jak żywo.
Pij młynarzu, maszli pić,
Kasia musi moją być.«

»Weź mi panie co ja mam,
Ja swéj Kasi dać nie dam:
Weź mi panie i woły,
Wszystkie snopy z stodoły:
Weź mi panie i szyję,
Ja wprzód Kasię przebiję.«

* *

Nie mógł pan z nim poradzić,
Kazał siebie w wór wsadzić:
»Zawieście mnie do młyna,
Gdzie Kasieńka jedyna;
Nie kładźcie mnie na spodzie,
Bo mnie zmielą przy słodzie:

Połóżcie mnię w komorze,
Gdzie jest Kasine łoże.«

* *

Już o saméj północy,
Wór się do Kasi toczy:
A Jezus-ci Maryja!
Gdzie ten wór nogi ma:
Co u kata za zboże,
Co się toczy na łoże.
Cicho Kasiu! nie wołaj!
Ja Starosta Mikołaj! (*)

KORDUS.

Tak, prawda! pomnę że się rozmiłował w żonie młynarza swego, ale daremnie smalił koperczaki, aż ją porwać kazał, nie wiem jak wskórał, i co się z biednym młynarzem stało.

TADEUSZ.

Jakem bywał na Rusi po nad Dnie-

(*) Pieśń ludu.

strem, słyszałem ruską pieśń o panu Kaniowskim.

KORDUS.

Znam ją, była to córka bednarza, którą zabił wystrzałem z rusznicy, niech mu tam Bóg na sądzie ostatecznym przebaczy, a dobre czyny nakarbuje za złe, co w ciągu żywota swego ludziom narobił (2). Nie taki był *Panie-Kochanku*, Karol książe Radziwiłł, luboć jak nalał w pałkę, strzelał do ludzi, i psoty niewiastom wyrządzał. Pomnę, jak go Pisarz Litewski *Pac*, wyzwał w czasie pijatyki na pojedynek. Radziwiłł go nawzajem dla postrachu w śmiertelnéj koszuli, między księdzem i katem na plac wyprowadzić kazał, potem go poił na zgodę, i Pac trzeciego dnia umarł (3). Nie dla tego zrobił, żeby się bał szabli, bo z panem Tryzną bił się, i uciął mu demeszkę. Lubił wielce zbytek i wystawę. Pomnę, kiedy go *Serenissimus Stanislaus Augustus* raczył odwiedzić, z jaką go pompą przyjmował! Najprzód od pierwsze-

go swego kopca granicznego dóbr, ustawił chłopów blizko jeden drugiego tak, aby jak piérwszy zawołał, drugi dosłyszał. Kiedy piérwszy dojrzał dostojnego gościa, i krzyknął: «*Król jedzie*» rozgłos ten przez mil siedem w ćwierć godziny doszedł do uszu księcia Pana w Nieświeżu. Słyszałem, że tam gdzieś na Niemcach, wymyślono do prędkich wiadomości jakieś wieże ze znakami (*). *Panie-Kochanku* i bez tego lepiéj sobie poradził. Było to anno 1782: pragnął książe wszystkie bogactwa i starożytność domu swego na oczy wysadzić, dla tego kazał otworzyć skarbce swoje. Kredensa szczerozłote, stoły, zasłony do kominków, krzesła, ze szczerego srebra lane, obicia by malowane wizerunki, a tego pełno było w pokojach dla króla Jegomości przeznaczonych. Osobliwości skarbcu, były ułożone w sześciu ogromnych izbach: leżały stosami konwie złociste, miednice, i kredens; książęce mitry zawieszono na chorą-

(*) Telegrafy.

gwiach zdobytych. Okazano w drogich oprawach relikwije świętych, stały szafy pełne pereł, dyjamentów i drogich kamieni: osobno arsenał starożytnéj broni i zbroi; osobno zamorskie cuda, suche ciała z za morza (*) i śliczne lalki z kredensem malowanym (**). Sam książe pan wyjechał na arbskim rumaku, w złotém wędzidle, w rzędzie klejnotami wysadzanym: podkowy ze szczerego złota. Miał na sobie mundur wileński: mundur nie lada, bo za guzy brylantowe przy żupanie, szpinkę, karabelę sadzoną, szlifę co trzymała wstęgę od orderu, i pióro na kołpaku, można było dwa miasta ze wsiami zakupić (***). Cała szlachta z wileńskiego i dalszych stron przybyła, najgromadniéj powiat Oszmiański i Nowogrodzki wystąpił. Stanęło nadwornéj piechoty księcia 6000, w nowych mundurach a barwie. Oprócz jazdy,

(*) Mumije.

(**) Chińska porcelana.

(***) Ubiór ten wartał 1,600,000 złp.

brzmiały kapele włoskie, dobrze i więcéj niż zwykle obsadzone. Miasto nie objęło wszystkich, stali więc w polach pod namiotami, a gdyś spojrzał na tę mnogość, myślałbyś, że to jakowa *elekcyja*. Uderzono we dzwony za zbliżeniem się gościa, a armata z murów i wałów, ciągłe salwy dawała: chorągiew z herbem Radziwiłłów powiewała na zamku. Zatrzymał się król Jegomość przed farą i przyjąwszy święconą wodę z rąk proboszcza księdza *Katembryka* ex-jezuity, stąpił w progi kościoła: prowadzon przez księcia, usiadł na przyrządzonym majestacie. Tron, otaczało sześciu rycerzy olbrzymiego wzrostu, od głowy do stopy, w stalowe zbroje przybranych. Po krótkiéj modlitwie króla, ksiądz Katembryk przemówił doń dziwnie pięknie okrągłemi słowy, z których to pomnę.

(Tu Kordus chrząknął, splunął, a powstawszy na nogi zaczął).

«Nie zadziwia to książęcego domu, miłościwy Panie, że Królowie polscy bywają w Nieświeżu. Był tu Zygmunt August, ostatni krwi

Jagiellońskiéj potomek, bo się starał o Barbarę Radziwiłłównę. Był tu Michał Korybut Wiszniowiecki, bo blizką krwią łączył się z Radziwiłłami. Był tu pogromca wschodu Jan Sobieski, bo się z Radziwiłłównéj urodził. Ale że Wasza Królewska Mość, ze szczególnéj dobroci i względów pańskich, raczyłeś przybyć do téj starożytnéj książąt Ichmościów stolicy, to Radziwiłłowie za zaszczyt sobie przyznają, i życzliwość sobie pańską wysoko cenić umieją» (4).

Gdy w pokojach ukazywano gościowi bogactwa liczne, cebry i wanny srebrne, książe pokazał Apostołów z szczerego złota ulanych: było ich dwunastu, oprócz Chrystusa. Ale *Serenissimus*, naliczył ich dziesięciu, bo książe dla *facecyi*, dwóch kazał schować. Król wiedząc że dużo stracił, zapytał z uśmiéchem, gdzie reszta Apostołów?

«Mości Królu, wysłałem ich w świat, ażeby chwałę panowania W. K. Mci, światu opowiadali.»

Gość skłonił głową, dworzanie unosili się

nad tą pochwałą, ale drudzy uważali to za dobrą przymówkę.

W parę dni w zwierzéńcu *Alby*, wyprawił książe łowy: dawniéj były w nim jeno daniele, ale teraz kazał nagnać grubego zwierza. Aż z za *Słucka*, w pobrzeżnych *Polesia* puszczach, zapędzały je obławy, w przygotowane zasieki, od tych rozciągały się przez mil kilkanaście aż do zwierzéńca wązkie ulice, ustawione z sieciowych wysokich parkanów i gęsto z obu stron osadzone ludźmi. Przymuszony zwierz dziki, wstępować wnie musiał: niedzwiedzie, łosie, odyńce, a nawet mniéjsza zwierzyna, szła w tę zagrodę, jak bydło do obory: z każdéj strony ciśnięto je i gnano. W zwierzéńcu zbudowano wspaniałą altanę dla króla, i znakomitszych gości. Udało się wszystko i Najjaśniéjszy Łowiec, zastrzelił własną ręką srogiego niedźwiedzia (5).

Był to piękny folwark *Alba*, przedtém Jezuici ostrzyli nań zęby, a gdy książe podchmielony, był w dobrym humorze, przyrzekł im uroczyście i dał słowo, że daruje im *Albę*.

Nazajutrz o dotrzymanie słowa gdy go naglą, książe pięknie wyszywaną darował im *albę*: spuścili nos na kwintę, bo im się chciało folwarku, nie wyszywanej alby.

Ile kosztowało przyjęcie dostojnego gościa, to żaden rachmistrz nie policzy, bo dla wszystkich i obroki dla koni i jedzenia, a napitku dostarczał prowent książęcy. Ale to nie raz, wydawał dużo grosiwa. Gdy odbywał książe w Nieświeżu nabożeństwo żałobne za duszę swych rodziców i krewnych, przez tydzień cały odprawiało się codzień, kilka tysięcy mszy, a każdy ksiądz, oprócz stołu i wszelkich wygód, dostawał za mszą czytaną dukata, a za śpiewaną 50 czerwonych złotych.

Na tych sutych zaprosinach, pogodzili się z sobą książe z gościem, bo dawniej nie lubił go książe Jegomość, i nie stroił się gdy na dwór przybywał: zwykle, nosił wtedy żupan materyjalny biały zatabaczony i poplamiony, kontusz na tym mundurowy, wileński, wytarty. Raz gdy był w dobrym hu-

morze, radził mu król, aby o powierzchnie szaty dbał więcéj. »Mości królu, *Panie-Kochanku*, ten kontusz, już trzynasty z kolei Radziwiłł Wojewoda Wileński nosi, to nie dziw, że się podstarzał.«

Jeden z panów koronnych, nazywał go niedźwiedziem litewskim. Książę pan, kazał w Warszawie cztéry niedźwiedzie do karety zaprządz, i wtedy, gdy on pan już był w zamku, na dziedziniec zamkowy zajechał. Zaledwo się pokazał, gdy konie rozhukane, połamały karetę pana koroniarza, powstają krzyki i wrzawa. Król wysyła pazia, żeby się dowiedział o powód rozruchu. Paź wraca, i donosi: »Że książę Karól Radziwiłł, *Panie-Kochanku*, zajechał cztérema niedźwiedziami.«

Znałem szlachcica, co się prawował z księciem, a nie mogąc nic wskórać, przybył na dwór jego. Książę ujrzawszy owego, rzekł: »No! cóż słychać panie bracie?« »Nic nowego Mości książę, mówią jeno, że nie masz większych kpów, jak Wasza książęca Mość,

i ja.« Co! co! krzyknął z gniéwem książę. A tak, *(odrzekł szlachcic spokojnie)*, ja, że proces wiodę z księciem panem, a książę pan, że wojnę z cesarstwem prowadzi. Udobruchał się na to książę, śmiał się szczerze, i pogodził z dowcipnisiem.

Ale baczę, że czas wam panowie bracia, wprządz woły w jarzma, mnie-ć czas do chałupy, wygląda mię tam dawno moja niewiasta i wnuczęta. No! bywajta zdrowi.

* * *

Powstał Kordus, wziął na plecy swoję krupkę z rydzami, gdy panowie z Sokołowa, ruszyli z sochami, każdy na swój zagon.

—Panie Boże dopomóż! rzekł starzec odchodząc.

—Panie Boże zapłać, razem odrzekła zdejmując czapki, szlachta *Sochowa.*

PRZYPISY.

(1) Gawęda niniéjsza, jest osnowana wiernie na podaniach, jakie krążą w naszym narodzie o panu Kaniowskim i *Panie-Kochanku*. Wiele szczegółów tak o piérwszym jak o drugim, mam wprost od osób, które same obu znały.

(2) W zbiorze szacownym P. Wacława z Oleska (*Zaleskiego*) pieśni ludu, są dwie ruskie pieśni (str. 493 i 494), w których wystawiony jest pan Kaniowski, jak strzela ze swego sztucca do *bodnaroczki* i zabija.

(3) Domy i Dwory Ł. Gołębiowskiego 1830 w Warszawie.

(4) Urywek téj mowy, zachowała nam piękna powieść w Tygodniku Petersburskim, pod napisem: «*Pan Wojski.*»

(5) O łowach z powieści «Pan Wojski.»

(6) Radziwiłł *Panie-Kochanku*, słynął z łgarstw swoich, o których miałem sposobność w inném miéjscu namienić (*patrz Kulig*). Przytoczyć tu muszę jeszcze jedno łgarstwo. Szlachcic Borow-

ski poufały księcia, którego lubił równie jak swoję ogromną wyżlicę *Neptę*; opowiadał, że książe kazał raz krowy swoje wydoić, a z tego udoju, wypełniono sadzawkę w Nieświeżu. «Panie Kochanku! *(rzekł Radziwiłł)*, to nic jeszcze: ale jak zebrano śmietanę z sadzawki i zrobiono masło, w maśle znaleziono źrebię, co się dawniej w mléku utopiło.»

Książe ten, zwiedzając różne kraje Europy, woził z sobą taki dukat szczerozłoty, że na niego oddzielny był powóz, a kilku ludzi dźwigać go musiało. Będąc w Paryżu, wszedł do jednego z magazynów galanteryi i wszystkie towary w składzie tym będące, bardzo mu się podobały. Zapytuje kupca, wiele żąda za cały magazyn? Zdziwiony właściciel uraził się, miał bowiem za żart to pytanie. Książe nie mogąc się doczekać odpowiedzi, pokazuje kupcowi pierścień, którego główny dyjament, prawie odurza kupca: nakoniec oświadcza, ile żąda za cały magazyn, a w kilka chwil, cała należytość zapłaconą została. Dotąd w Paryżu nazywa się to przejście Passage *(przejście)* de Radziwiłł.» *(Rozmaitości Lwowskie. Stało się to w* Palais-Royal*)*.

Do stołu prawie codzień, siadało 800 osób. Radziwiłł nagradzając wierność sług swych i przy-

jaciół, darowywał wsie o kilkudziesiąt osady, albo dziedzictwem, albo dożywociem. Utrzymywał teatr polski, operę włoską, i wyborny balet. W dobrach swoich przeszło 300,000 dusz liczył. Wszystkie te bogactwa, zbytkiem i nierządem zmarniały, skarbiec wypróżniał, Apostołów owych stopił nawet. Panie-Kochanku, jakby przeczuwał upadek domu i rodziny swojej, zmarnotrawił niemal wszystko. Majątek jego jaki pozostał wraz ze stolicą Nieświeżem, przeszedł w ród obcy. Ciało jego tylko w kontuszu przybrane, spoczywa w grobach Nieswieżkich, razem z *Radziwiłłem Sierotką.*

[illegible]

[illegible] w Paryżu, wszedł do jednego z magazynów [illegible] wszystkie towary w składzie tym będące, bardzo mu się podobały. Zapytuje kupca, wiele żąda za cały magazyn? Zdziwiony właściciel uraził się, miał bowiem za żart to pytanie. Książę nie mogąc się doczekać odpowiedzi, pokazuje kupcowi pierścień, którego główny dyjament, prawie odurza kupca; nakoniec oświadcza, ile żąda za cały magazyn, a w kilka chwil, cała należytość zapłaconą została. Dotąd w Paryżu nazywa się to przejście Passage (*przejście*) de Radziwill.« (*Rozmaitości Lwowskie. Stało się to* w Palais-Royal).

Do stołu prawie codzień, siadało 800 osób. Radziwiłł nagradzając wierność sług swych i przy-

XI.

RYBAŁT.

OBRAZ HISTORYCZNY.

Wejrzawszy także na mnie Rybałta starego,
Uszanujesz, i będziesz życzył, co dobrego.

Rybałt stary wędrowny 1632.

(Z wizerunkiem Rybałta).

Rybałt, nazwa z włoskiego, *ribaldo*, *rubaldo*, żak psalmista, śpiewak kościelny (*). Już w XVI wieku, jak Archidyjakon Gnie-

(*) S. B. Linde. Ribaldyja, psałteryja, bakałarstwo.

«Teraz z rybałtów, abo z dworzan, z żołnierzów, na stan duchowny idą.» (*Skarga. Kazania*).

«Pożyteczniéjsza jest, dać na wielkie miéjsca syna na nauki, niż go w miasteczku przy bakałarzu bawić, kędy się jedno na *rybaldyją*, albo *sekundaryją* sadzi, a o nauki nie dba.» (*Erazm Gliczner*. Książki o wychowaniu dzieci. in 8vo druk gocki).

źnieński mówi, nieskromne życie prowadzących duchownych, rybałtami nazywała, władza duchowna. Pełno było rybałtów w Polsce w XV i XVI wieku, wędrowali oni swobodnie, i wszędzie znajdowali dobre przyjęcie: i nie dziw, przy każdym niemal parafijalnym kościele, miano śpiéwaków, a małoż ich potrzebowały wspaniałe zamki magnatów naszych, i dwory szlachty bogatéj, gdzie nadworną trzymano kapelę. Rybałt wtedy byłe z dobrym głosem i znał muzykę, nie zagrzewał długo jednego miéjsca, ale poszukał coraz lepszego losu: w drodze nie potrzebował dzwigać sakwy, byle miasto, dwór, lub klasztor, śmiało wchodził, a znalazł pożywienie i zasiłek w dalszą drogę.

Rybałt, co nie śpiéwał w kościele, ale po dworach, i nie zawsze pobożną, ale i świeckie piosnki, nazywał to po swojemu: »*prywatną cantacyją*,« nie mały wszakże ta prywatna kantacyja, robiła mu dochód.

Przy końcu panowania, Zygmunta IIIgo, już ci wędrowni śpiéwacy, co przechowywali

w pamięci, najdawniejsze nie tylko pienia, na cześć Bożą, ale historyczne dumy i piosnki światowe, zaczęli upadać. Poemat owoczesny z 1632 roku pod napisem:

»Rybałt stary wędrowny, dobrego bytu szukający, z patrami i kantorami rozmawiający o delicyjach śpiewaków, kantorów, i żaków.«

(Arkuszy 3½, druk gocki in 4º, na początku jest wiersz do «Czytelnika,» a w końcu: Do tego, który ludzką pracę kąsać zwykł, ktorego *Zoilem* inaczéj nazywają).

Wystawia smutny obraz wędrownego Rybałta, co słuszne na odmiany czasu skargi wyrzeka.

Nie wiem, co teraz już nam, za czasy nastały,
Które się nam znać wszystkim, bardzo dobrze dały:
Ludzie się wszyscy skarżą, nic już nie masz żaków,
Nawet że też i mało dziś wdzięcznych śpiewaków.
Chodzę z miasta do miasta, wszędy pustoszeję,
A nie wiem, dla kogo się taka sprawa dzieje.

Jak przypominał sobie, dawano im strawę w miastach i klasztorach, teraz nie mają

za co zjeść ani wypić, ani na rzemyk, ni trzewik.

Przed tym więc, gdyśmy przyszli na rekordacyje (*).
Przywitali nalawszy: «Niech muzyka pije.»
Teraz, rekordacyje, i wszystko ustało,
Nie dziw, że téż śpiéwaków, pod ten czas nie stało.
Woli drugi karabin, i z szablą przy boku
Mieć, żeby miał pieniążki, dla przygody w troku.

Dzieci uczyły się od nich śpiéwać: stąd był obiad i *kretałes*, i pewna zapłata.

Przed tym się chudy śpiéwak, prędko poratował,
Byle tylko w kościele mógł odśpiéwać choral:
Mógł przy sobie pożywić Kantor, i śpiéwaka
Drugiego i trzeciego, i biédnego żaka.
Teraz, pieszczoty dosyć, dzieciom pochlebują,
Mówiąc: «iże śpiéwaków z nich nie potrzebują.
A przed tym się Królowie śpiéwać nie wstydali,
Jak nam o tym przodkowie, dawni opisali.
Z dziećmi miéjskiemi szlachta nic nie przebierając,
Traktowała: «Gama, ut, re, fa, sol, la,» *śpiéwając:*
A który więc nie umiał, to go położono,
Chocia płakał, przecie mu zaśpiéwać kazano.»

(*) Zebranie uczciwe sług kościelnych, z śpiéwaniem od domu do domu.

Wiele Rybałtów siedziało w Krakowie i na *Pódgórzu*, a panowie hojnie obdarzali: niemałą ich liczbę i *Wielko-Polska* miała. Ze wszystkich przecie, najsławniejsi były Rybałtowie z Podgórza, jak w ów czas nazywano *Podgórczykowie*. Wieszało się nie mało po dworach znakomitych panów. Często po kilku wędrując, składali już nie złą muzykę, dla czego szczególniej w zapusty, chętnie i u mniej zamożnego szlachcica, znaleźli przyjęcie: był to czas albowiem wesołych kuligów, gdzie gromadnie z śnieżną zawieją, od domu do domu, kulig przelatywał strojno, radośnie, i z muzyką zawsze. Rybałci wtedy, wyćwiczeni nie tylko w psałterzu, wesołemi piosnki, ożywiali zabawę i uczty.

Celował między wszystkiemi od roku 1619, do roku 1640, sławny Rybałt Marcin Zięba. Nietylko, że umiał grać doskonale na wielu instrumentach; ale przyjemnym i mocnym głosem, był obdarzony. Grał i śpiewał po zamkach panów, radzi go i ziemianie przyjmowali

u siebie. Z siedmią towarzyszami, obchodził on całą Polskę: rano, nie pierwéj poszedł do dworu, aż odśpiéwał mszą w kościele: wtedy, czy uczta, czy tańce, człowiek wielkiéj pamięci umiał mnóstwo owoczesnych piosnek wesołych, rubasznych, a nawet i poważnie historycznych: o *świętym Stanisławie z Pietrowiną*, o królowéj *Barbarze Radziwiłłównie*, małżonce Zygmunta Augusta, o bitwie pod Gründwaldem (r. 1410), i o *wzięciu Gdańska* (*). Wielu panów, chciało go zatrzymać przy swoim dworze, ale Zięba nie rad zagrzewać miéjsca, wędrował swobodnie, Po kilku latach, opuszczony od towarzyszów, chodził jeszcze samotnie, aż w roku 1640, znaleziono go we wsi jednéj pod Krakowem, bez duszy.

Rybałtów nie słusznie mięszano z Klecha-

(*) Pieśni o Św. Stanisławie i o Barbarze, nie znam. O bitwie pod Gründwaldem, że pieśń była, wspomina Błażowski, tłumacz Kromera. Pieśń o wzięciu Gdańska, jest znana z przedruku, w Pamiętniku Sandomiérskim.

mi (*). Klecha, był stały przy każdym niemal kościele we wsi: miał inne obowiązki, i znaczenie swoje długo utrzymał. Lubiony szczególniéj od ludu, główna osoba starych dyjalogów i komedyj, pamięć imienia swego dotychczas zachował. Rybałt, kościelny jeno śpiéwak, którego jedynym zawodem muzyka, śpiéwanie psalmów i pieśni nabożnych, a nauczanie takowych po szkółkach wiejskich, nie znalazł miéjsca w żadnym dyjalogu, i prędzéj niż Klecha, doznał wzgardy i upodlenia.

Sama nazwa poszła w ochydę: złą polszczyznę zwano, »*Polszczyzną Rybałtską*,« a Starowolski pisze (**): »*Ludzie uczone, z urąganiem* Rybałtami zowiemy.«

(*) «*Na wojnę księża, przed tym nie księdza wysłali,*
Ale tę dziurę, Rybałtem zatkali.»
(Wolna wyprawa do Wołoch Ministrów na wojnę z r. 1617 in 4to.)
Stawiano więc ich na równi mylnie z Klechami: porównaj opis Klechy z Rybałtem.

(**) O Reformacyi obyczajów Polskich.

Rybałci, których ślad piérwszy na początku XIV wieku dostrzegam, już znikli zupełnie w połowie XVII wieku, nie przetrwawszy i trzech spełna wieków.

Wyższy stopień śpiéwaków klasztornych, miał nazwę Kantorów *(Cantores)*, z Rybałta szedł dopiéro na Kantora, czyli stałego przy kościele śpiéwaka. Dla tego w powitaniu, czcił Rybałt Kantora wyrażeniem: »*Domine Cantor*,« a ten dumny pogardzał *wędrownemi* (jak nazywano), *Rybałtami*.

Liczniéjsi od ostatnich byli Kantorowie: przy jednym kościele, mieściło się ich nie raz dwunastu lub piętnastu, uważano to w on czas, za niezbędną ozdobę kościoła. Mimo swéj liczby, dobrze zaopatrzeni, bo żywili jeszcze przy sobie wędrownych Rybałtów, i wyręczali się niemi, gdy sami zajęci byli gospodarstwem domowém.

Równie jak Klechy, długo w bezżeństwie zostawali, gdyż miano ich za niejako poświęconych kościołowi: w połowie XVI wieku, zapomnieli surowości dawnéj, i wprędce,

mnóstwo się ich pożeniło. Uważano to ze zgrozą, że jak idzie Kantor, dzieci za nim lecą, wrzeszcząc:

Spytaszli gdzie się działy, one dawne lata,
Gdy dzieci za Kantorem, nie wołały Tata (*).

Wszelako w Krakowie, nie cierpiano i w tym czasie, żonatych Kantorów: nie wiele przecie na tém zyskiwała moralność.

Jeszcze wżdy przy Krakowie, żennych nie chowają,
Tylko małpom wydając, sami nic nie mają (**).

W Wielkopolsce, z równą surowością przestrzegano bezżenności Kantorów, bo żonaci natychmiast miéjsc swoich postradali; po kościołach wiejskich i parafijach, przez szpary na to patrzano, a Kantorzy, lepiéj się mieli po wsiach, a niżeli w miastach, kmiecie albowiem, dobrze zasilali ich spiżarnie.

W rynku Krakowskim była szkoła, którą sami opatrywali panowie, gdzie uczyli śpié-

(*) Rybałt stary wędrowny 1632.
(**) Rybałt stary wędrowny.

wu, i gędźby (*) kantorowie i wędrowni Rybałci. «Chowają tam muzykę piękną i muzyków wielu, a dla nich dom osobny» (**).

Było w on czas i więcej szkółek, gdzie młodzież szlachecka, mieszczan, a nawet ubogie żaki wiejskie, uczyły się gędźby i śpiewania. Liczni przy nich Kantorowie, wcale skromnie nie żyli. Nasz Rybałt stary, wędrowny, obecny świadek, opisuje tych hulaków.

«*Pijaliśmy tu* (w szkole) *przed tém, i tańce bywały,*
Same grzeczne dzieweczki do nas tu chadzały:
Nawet sery i masło, także i gomółki
Przynosiły, bywały tego pełne półki.
Nawet, jeśli pomnicie u nas nocowały,
Gdy dla tańca do domu, spać iść zamieszkały.

Dodajmy do tego, że umieli doskonale szklenicę wypróżniać.

Między rokiem 1620 a 1635. sławną była

(*) Muzyki.

(**) Rękopism 1665 folio, z którego wyjęta wiadomość o Ziębie Rybałcie Z księgozbioru ś. p Tomasza Święckiego.

gospoda w Krakowie, pod znakiem i napisem: «*U szewca Nogi piwo Częstochowskie*» gdzie najwięcéj schadzali się wszyscy Kantorzy z Rybałtami razem. Tu beczkami spijali sławne piwo Częstochowskie i tęgie miody: nie odwilżali zmordowanego śpiewem gardziela, ale topili w trunku, bez miary i pomiarkowania.

Nie raz, po całych nocach pili, a nazajutrz rano, nie było komu śpiéwać w kościele: wtedy klasztorna czeladź, sprowadzała opiłego i zaspałego jeszcze Kantora z pod *Nogi szewca* i sadzono go na chórze, by śpiéwał.

Wielu pomiędzy niemi tak wyprawnych pijaków było, że przyprowadzony bez pamięci, zaledwie mogąc usiedzieć, spiéwał z przywyknienia tak dobrze i bez pomyłki, że lepiéj i po trzeźwu nie umiał (*).

Jeżeli Rybałci, nie tak radzi zaglądali do Krakowa, gdzie nie wiele pożywić się mogli; za to Kantorów, była tu stolica. Mnóstwo ko-

(*) Rybałt stary 1632 r. Rękopism z 1665 folio.

ściołów uposażonych bogato, gdzie niemal co ulica to klasztor; gdzie, użyję słów starodawnéj o Krakowie pieśni: (*)

«Duchowieństwa niezliczone koło,
Ci, we dnie, w nocy, śpiewają wesoło:
Wesołe hymny, wdzięcznie zaczynają
Chwałę oddają.»

Kraków, o którym sami Włosi mieli przysłowie:

«*Że gdyby Rzymu nie było, Kraków byłby drugim Rzymem*» (**):

Żywił mnogość Kantorów: tu było główne ich gniazdo, stąd rozchodzili się na całą Polskę. Przeciwnie Rybałt, do wędrówki nazwyczajony, zyskując więcéj po zamkach, i dworach, niż w murach starożytnego grodu,

---

(*) «Pieśń nowa, o przesławném mieście stołeczném Krakowie.» Bez miéjsca i roku: druk gocki, pół arkusza in 4to. Pieśń ta, pochodzi z czasów panowania Zygmunta III, nim stolicę do Warszawy przeniósł.

(**) Zbiór Pamiętników o dawnéj Polsce.

chyba na starość, gdy osłabił nogi, lub dostał się na Kantora, przemieszkiwał w Krakowie.

Jak był sławny w tym czasie *Mosiężkowski* Adam, organista Krakowski, to o tém wspomina Cichocki, którego chwaląc mówi: «że gdy na organach zagrał, zdawało się, że każdy palec, duszą był ożywiony»(*). Równie był sławny Kantor *Laurencyjusz* (**). Spiew jego uwielbiali i ci nawet panowie, co za granicą, a szczególniej we Włoszech, nasłuchali się wybornych śpiewaków nie mało. Późniéj osiadł on w Poznaniu; był otyły, a wzrostu tak wysokiego, że najroślejsi w on czas, zaledwie mu do oczu dostawali.

Zwyczajnym ubiorem Kantora, był *gier-*

(*) Siarczyński. Obraz panowania Zygmunta III.
(**) Rękopism 1663. Wspomina i Rybałt (r. 1632) o Laurencyjuszu i mówi o nim:

«*Chłop to był grzeczny, cichy, i rodu dobrego,*
Owo zgoła żeć powiem, trudno o takiego.»

* * *

mak, długi aż do kostek, kołpak lisi, a wielu miało nawet, czapkę sobolową (*).

Rybałt, w ustawnéj drodze, miał kapelusz z szerokiemi skrzydłami, płaszcz obszerny, co mu za ochronę przed deszczem i okrycie na posłanie służył. Nosił wąsy i brodę, włosy krótko postrzygał: buty z długiemi cholewami, przymocowane pod kolanem rzemieniem (**). Kostur w ręku dobrze okuty, służył mu za obronę, i podpieranie się w drodze. Skrzypice, lirę, lub kobzę, alboli też jaki dęty instrument, nosił w torbie skórzanéj, pod obszernym płaszczem, który zwykle nazywano opończą.

(*) «*Giermak aże do dołu, czapka sobolowa,*
Postawa niepodlejsza, i wytworna mowa.»
(Rybałt 1632 r.)

(**) Rękopism 1665 folio.

XII.

Kościół
ŚWIĘTEGO KRZYŻA,
NA
ŁYSÉJ GÓRZE.

OBRAZ z R. 1825.

mak, długi aż do kostek, kołpak lisi, a wielu miało nawet czapkę sobolową (*).

Rybałt, w ustawnej drodze, miał kapelusz z szerokiemi skrzydłami, płaszcz obszerny, co mu za ochronę przed deszczem i okrycie na posłanie służył. [illegible] i brodę, włosy krótko postrzygał; buty z długiemi cholewami, przymocowane pod kolanem rzemieniem (**). Kostur z sękiem dobrze okuty, służył mu za obronę i podpieranie się w drodze. [illegible] lico, jak [illegible] jak [illegible] pod obszernym płaszczem, który zwykle nazywano oponczą.

(*) *Giermak aż do dołu, czapka sobolowa,*
[illegible]
(Rybałt 1632 r.)

(**) Rękopism 1665 folio.

Przebywając Wisłę na promie pod *Józefowem*, przewoźnicy doradzili, żebym się bliższą drogą do *Łyséj-Góry*, inaczéj *Święto-Krzyzką* zwanéj, udał. Droga szła lasami, na miasteczko Denków.

Jakoż, mając las dwu milowy do przebycia, pośpieszałem, aby za dnia dostać się do Denkowa, gdziem przenocować postanowił. Lecz jak to mówią, jedna biéda nie dokuczy: wytrzymawszy dużą na Wisle falę, zabłądziłem w wielkim lesie, i zaledwie doszedłem, do przechwalonéj od przewoźników

gospody. Łatwie do niéj mogłem trafić, krzyk, i wrzawa, rozlegały się, przez okna i drzwi roztwarte.

Wchodzę, do cztérdziestu wesołéj gawiedzi znajduję: cienka świéczka łojowa, i słabo tlejąca głownia na kominie, nie wielce, obszerną oświécały izbę. Znalazłszy przecie mały kącik, zrzuciłem tłómoczek, i usiadłem na nim, przyglądając się zebranéj drużynie.

Kilku dobrze podciętych spało, inni śpiéwkami krzykliwemi, ogłaszali radość gorzałczaną: najwięcéj ubawił mię szewc, z tegoż miasteczka majster. Człowieczek mały, ale czupurny, wybladły, w siwéj kapocie, z czapką baranią, co ją dobrze przekrzywiał na lewe ucho, stał na środku, tupał nogami, śpiéwał, popijał wódki coraz, nakładając fajkę. Trzeba było widzieć, jak ciągle dygał krótkiemi nogami, i kiedy chciał dojść do komina po węgiel, nabujawszy się dosyć, podniósł nogi w chęci posunięcia najprzód, ale z wielkim śmiéchem trzeźwiéjszych, cofnął się w tył o kilka kroków: tak prawdzi-

wie raczym chodem, miasto zbliżenia, oddalał się co raz od komina, aż w ostatku dotknął ławy u stołu, i usiadł nieco. Tu przechodzącemu *(a był to szewc drugi)*, tak nagle z nienacka potężny wyciął policzek, że czapka spadła: zaczepiony, nie podniósł czapki, ale w garść plunął, i tak się odwzajemnił, że pan majster jak sam wyrażał, *szewc z ojca, dziada i pradziada*, upadł pod ławę. Jakiś krewny ujął się za nim, wszczyna się wrzawa, małe grono siedzących dotąd cicho, powstaje, ci tę, owi tamtę, wspierający stronę. Zaczynają nogi z ławek wyłamywać, podnoszą ściśnięte pięści: gospodyni widząc na co się zanosi, otwiéra drzwi, i woła męża. Ujrzałem w głębi alkiérzyka, siedzącego człowieka w okularach, nad książką nabożną, był to sam gospodarz. Porwał się prędko, i wtedy pokazywał wzrost wysoki, i szerokie plecy. Tym czasem w izbie, już się z niejednéj czupryny kurzyło, już dwie nogi przeleciały na drugą stronę, zostawując ślady sińcowe w swoim przelocie. Gospodarz staje

we drzwiach, podnosi grożąc rękę w górę, i grzmiącym woła głosem: »*Żono, kija.*«

Te dwa słowa, czarodziejską wywiérają władzę: przez drzwi i okna, w jednéj chwili ucieka wszystko, nawet on szewc, co dojść nie mógł do komina po węgiel, między piérwszémi wyleciał za drzwi, i w sieni się rozciągnął jak długi. Strach był widoczny i potęga dwóch słów, bo do czterdziestu uciekło. Zostawszy sam, zadziwiony nie pomału, pytałem gospodarza, czy czarodziéj jaki?

Z uśmiechem odrzekł mi na to: »Znają moję rękę, i boją się. Przeszłéj niedzieli, chciałem wypchnąć za drzwi opoja, sprzeciwiał się i opiérał, pochwyciłem go i wyrzuciłem: na nieszczęście, gdym ścisnął mocniéj rękę, powyżéj łokcia kości, w dwóch miéjscach pękła.«

Że już blizko północka, i ja pragnąłem zmęczony odpocząć, bo od Wisły, na kmiecéj furze, połowę lasu przebyłem, lecz resztę pieszo, a zabłąkany, dwie mile przeszedłem; po lekkiéj wieczerzy, jaką mi sporzą-

dziła rozmowna gosposia, na świeżem i pachnącem sianie, złożyłem utrudzone kości. Mój gospodarz, człek podżyły, stary *dworus*, rad gawędził, widząc, że go słucham ciekawie: owoż krótki życiopis jego.

Służył na dworze krajczego Potockiego: syn pana tego, równie miał olbrzymią siłę, i kiedy z Gdańska w pakach przychodziły blaty marmurowe do stołów, we dwóch ze statków znosili. Ciężar był tak wielki, że dwa razy antaby im zostawały w ręku: ale młody krajczyc, prędko się zerwał i utracił siłę. Mój gospodarz, zachował ją stale. Trzymał pan krajczy dwóch niedzwiedzi, miały po lat siedem: raz się jeden urwał z łańcucha, i rozżarty wbiegł na gumno: pozamykano wrota, gromada czeladzi obskoczyła w około, lecz nikt nie śmiał się dotknąć zajadłego zwiérza. «Pan krajczyc *(mówił)*, przybiegł do mnie, a klepiąc po ramieniu, wyrzekł: «Mój Stanisławie, weź no tego niedźwiedzia.» Ha! więc poszedłem, wyłamałem kół z płota, otwiéram wrota i wychodzę. Deszczyk właśnie popru-

szył, było slizgo zbliżam się ostrożnie, i uderzam go po słabiźnie, niedźwiedź mruczy gniéwny, staje na dwóch łapach. Spodziewałem się tego, chciałem go schwycić tak z tyłu, żeby łapy po wiérzchu przycisnąć, w takim powijaku łatwo by go związać: ale na nieszczęście, nagle się zwrócił, w poły mię schwycił, podniósł w górę i rzucił daleko. Rozżarty przypada, i rzuca się na mnie: leżąc rozbity jeszcze, tyle miałem siły, żem go z siebie zrzucił; przecież począł mi nogę kaleczyć, i całą łytkę wydarł, nim leśniczy, jednym strzałem, rozciągnął go na ziemi.»

W istocie, pokazał mi skaleczoną nogę: kość piszczelową podarta skóra obciągała tylko. Długo się leczył nim wyzdrowiał, przecież nie chromał na nogę. Miał cztery żony, wszystkie rychle po ślubie umiérały, teraźniéjsza stara dwórka, była z rzędu piątą i miała także piątego męża «Oboje jesteśmy ciekawi *(rzekł do mnie z uśmiéchem)*, kto kogo przetrzyma.» Widząc że mi sen oczy klei, życzył dobréj nocy i odszedł, ja też stru-

dzony, smaczno do rana przespałem. Otwiéram oczy, spoglądam: wczorajszy szewc pan majster, co był powodem rozruchu, jeszcze bledszy, z podbitemi oczyma, już na ranne śniadanie, drugi półkwaterek szumówki wychylał. Dowiedziawszy się, że pragnąłem jakiéj furki dla dostania się do miasteczka *Słupi*, ofiarował mi najgrzeczniéj swego konia za tanie pieniądze i siebie za woźnicę: przyjąłem chętnie, a tak ruszyliśmy wkrótce, nim rosa opadła.

Nie piérwszy raz zwiedzałem tę sławną górę z klasztorem, i nie z jednéj strony przybywałem do niéj. Widząc o mil kilka wyniosłe wieże kościoła, rubaszny mój woźnica, nie wytrzeźwiony zupełnie, zaczął opowiadać ciekawą powieść o czarownicy, co na Łysą-górę leciała na ożogu; w samym środku zamilkł, bo usnął. Nie przerywałem snu smacznego, a świadomy drogi, wziąłem léjce do ręki, i popędzałem rzeźwego konika. Po krótkim spoczynku, dojechałem do miasteczka *Słupi*, w którym wielki przestrach panował.

Na kilka dni przed mojém przybyciem, zastrzelił się młodzieniec, zakochany w jednéj mieszczance: długo leżały zwłoki bez pogrzebu, bo mieszczanie nie dozwolili zakopać ich na gruncie miejskim, lękając się upiora. Po wielu trudach, w odległym i samotnym dole, pochowano trupa. Wkrótce napełnił całe miasto, i pobliższe okolice trwogą, bo powstał upiorem: każdéj nocy wychodził przy świetle księżyca z mogiły, i napadał już to na pasących bydło, już na przechodzących. Do podziwienia! upiór ten uderzył nawet na silnego parobka, i długo z nim się pasował: owoż jak mi ten sam parobek opowiadał w gospodzie, o swojém potkaniu.

«Noc była jasna, kiedym *stróżę* odprawując, przechodził się przy stodole. Spojrzę ku wrotom, aż te się same otwiérają, i wchodzi *On*, co się przed tygodniem zastrzelił. Poznałem do razu, miał też czapkę i płaszcz na sobie, w którym go widziałem po śmierci. Zimny pot oblał czoło, powstały mi włosy by kije z przestrachu, a on sunie się ku

mnie prosto, z roztwartemi rękoma, właśnie by też na uściski serdeczne. Chciałem krzyknąć, ale język by kłoda przewracał się po zębach, chciałem zrobić krzyż pański, aleć zlodowaciała ręka. Upiór się mknie i chwyta w poły, a wytrzészczył ślepie, patrząc gdzieby mię ujadł. W strachu takim, przybyło mi siły, schwyciłem za kark, przygniotłem ku ziemi, a on mruczał. Miesiąc zaszedł za chmurę, i tak ciemno, choć oko wykol. Aż w tém, na szczęście kur w chałupie zapiał, nie czuję nic w garści, obejrzę się, *kej* upiór? a on zniknął.»

Opowiadanie to widziałem, jak silne wrażenie na słuchaczach zrobiło: karczmarz uczęstował śmiałka darmo pół kwaterkiem wódki, kobiety drżały blade przestrachem, bo właśnie był wieczór, i miesiąc świécił. Parobek wesoły, przekrzywiał czapkę i pokazywał rękę, którą dławił upiora: wszyscy wlepili w niego oczy, widząc w nim rzadkiego bohatéra. Zaczęły stare baby opowiadać dawne powieści o upiorach, kiedy coś mi-

gnęło pod oknami. Jeden krzyk w gospodzie powstał: «Upiór! Upiór!» Zbledli wszyscy, uważałem że zadrżał i odważny przed chwilą parobek.

—«Mój przyjacielu *(rzekłem do niego)*, ty coś się probował z nim przez noc całą, pójdz i zobacz, czy to ten sam chodzi.»

Nie odrzekł i słowa, pożegnał się i przysunął bliżéj komina, gdzie zgromadzone, przytulone stały drżące niewiasty. Wybiegłem więc sam, ale nic nie zoczywszy, wróciłem na powrot, zaręczając, żem nikogo nie widział: to uspokoiło nieco zgromadzonych w gospodzie, jakoż wkrótce rozeszli się na spoczynek.

Słupia miasteczko, dawniéj dziedzictwo opactwa Benedyktynów, u stóp *Łyséj*, inaczéj zwanéj *Święto-Krzyskiéj* góry położone, małe i liche, zabudowane drewnianemi domkami: zdobi je tylko kościoł murowany, pod wezwaniem *Św. Wawrzeńca*. Słupia, lubo się szczyci odległą starożytnością, nie ma wszelako żadnego jéj piętna na sobie. Już w roku 1410 była miastem, gdzie jak Kronikarz

Marcin Bielski mówi: «Mieszkał dwa dni Władysław Jagiełło, skąd szedł na górę do kościoła *Świętego Krzyża*, bosemi nogami, gdzie czynił wielkie nabożeństwo.» Była to doba, w któréj modlitwą pragnął zjednać sobie łaskę niebios, mając walczyć z zakonem krzyżackim, pod którego znaki krzyża, zbiegało się żelazem warowne Europejskie rycerstwo, i lądem i morzem, a różne Europy okolice, składały w jego karbony pieniądze. Wkrótce też w pamiętnéj bitwie pod *Gründ-waldem*, ponieśli klęskę okropną.

Z miasteczka *Słupi*, otwiéra się wązka dróżyna, którą podróżny wdzierać się musi, chcąc się dostać na szczyt Łysej - Góry, *Świętym-Krzyżem* od ludu zwanéj: długa i przykra kamienista droga, z obu stron zarosła, bukami, grabiną i jodłami, przerżnięta mnóstwem strumieni wydobytych z pośród skał, które z szumem na dolinę spływają, prowadzi z trudem na wierzchołek. Przy samym wchodzie ze Słupi na górę, znajduje się starożytny posąg Śgo Emeryka, niezgrabnéj ro-

boty: wyobraża on klęczącą osobę z złożonemi rękoma, jakoby w czasie modlitwy. Lud, takie ma podanie o tym posągu. «W czasie napadu Tatarów na klasztor Łysogórski, kiedy rabowano kościół, jeden z nich porwał drzewo krzyża świętego, złożone od najdawniejszych czasów w tej świątyni: (a) ale zaledwie się dotknął, niewidomą siłą, pozbawiony został władzy w ręku. Gdy ze czcią postawił na miejscu dawném toż drzewo, natychmiast uzdrowiony został. Na pamięć tego zdarzenia, rozkazał zrobić ów posąg, i postawić go w tém miejscu.»

Z wierzchołka góry, piękny i okazały widok. Bielejące od śniegu w pośród chmur szczyty Karpatów, o mil 30 odległe, pola i lasy; wsie i miasta rozsiane po wzgórzach i dolinach, zachwycają wędrownika: a jakiegoż uczucia serce nie doznało moje, gdym wspomniał, że się w tych miejscach znajduję, gdzie przed dziewięcią wiekami, zwycięzka *Chrobrego* ręka, Bogu na chwałę, świątynią wzniosła!

Łysa-Góra, w pośród przerwisk skalistych lasami okryta, na któréj kościół *Świętego-Krzyża* z klasztorem Benedyktynów stoi, podniesiona jest na 2000 stóp, nad poziom morza Baltyckiego, a jak uważa *Staszic (o Ziemiorodztwie gór)*, jeszcze daleko musiała być wyższą, co dowodzą na samym wierzchu rozburzone skały, i niezmierne na wszystkie strony rozwaliska. Ludu podanie niesie, jakoby rozburzenie *Łyséj-góry* stało się przez wielkie trzęsienie ziemi: lecz o tém, nie masz żadnéj wzmianki w dziejopisach, a znalezione w pośród tych zwalisk kamienie, posągi bożyszcz, i popielnice umarłych dowodzą, że podobne zdarzenie, jeśli miało kiedy miéjsce, to zajść musiało jeszcze przed przyjęciem wiary chrześcijańskiéj, w kraju naszym. W całéj okolicy tych gór, na mil kilka, znajdują się po polach gromady rozrzuconych żużli żelaznych.

Na najwyższym gór Łyso-górskich szczycie, wznosi się klasztor z kościołem księży Benedyktynów, powszechnie *Święty-Krzyż* zwa-

ny. Cały ten wiérzch góry, na 15 sążni grubo, okrywają zwaliska, sama zaś góra tak jest wysoka, że często chmury ocierają się o jéj wierzchołek, a choć deszcze i burze panują na dole, w górze najpiękniéjszéj pogody używać można. Z dolin poglądając, nie raz widziémy, jak chmury zakrywają całkowicie klasztor: chwila ta sprawia zachwycający widok. Chmury ustępując zwolna, odkrywają częściami ten gmach wspaniały, który zdaje się, jakoby z nadpowietrznéj spływając krainy, osiadł na szczycie wyniosłéj góry. Kościół wchodową i tylną ścianę mający z ciosu ułożoną, ozdobiony zewnątrz marmurowemi posągami opatów i rycerzy, nie nosi na sobie żadnéj cechy starożytności: po ostatniém bowiem spaleniu przed dwudziestą kilku laty, od opata tutejszego został odnowiony, i zewnątrz zupełnie w nowym stylu przyozdobiony. Gzymsy jego wewnętrzne, opierają się na płaskich rzymskiego porządku słupach bielonych, równie jak i gmach cały. Wilgoć, pomimo takiéj wyso-

kości, jest tak wielka, z powodu opoki na której mury są wzniesione, że jak tylko deszcz ma padać, woda kroplami na posadzkę marmurową występuje. Z tej to przyczyny, piękne obrazy sławnego Smuglewicza, zdobiące ten kościół, w krótkim czasie zostały zniszczone.

Wielki ołtarz, zdobią dwa słupy mozaikowe, w środku których obraz wspomnionego malarza *Trójcę świętą* wystawia: sześć innych obrazów tegoż samego artysty, tworząc sześć bocznych ołtarzy, upiękniają ściany. Z pomiędzy nich, we dwóch był szczęśliwy w wyborze przedmiotu. W pierwszym, gdy Emerykowi, synowi Stefana króla Węgierskiego, będącemu na łowach, anioł spuszczając się z obłoków, wskazuje miejsce, gdzie ma klasztor wystawić, i drzewo krzyża świętego złożyć: w drugim, gdzie Helena matka Konstantyna, znalazłszy krzyż na górze *Kalwaryi*, doświadcza w przytomności biskupa Jerozolimy, przyłożeniem go do schorzałej osoby, czyli jest istotnie szukanym krzyżem Chry-

stusa. W piérwszym z tych obrazów Smuglewicza, widok potomka krwi królów, który na łonie wielkości, pobożności się oddaje, silnie mówi do umysłu. Koń wiérzchowy stojący na boku i psy otaczające młodego myśliwca, tudzież strój jego węgierski, nadają rozmaitości, i ożywiają tło obrazu. W drugim, religijna powaga biskupa, szanowna jego sędziwość, łagodnosć i ufność w wierze, obok pobożności Heleny, żyjącéj na dworze zepsutym Dyoklecyjana, w pośród prześlawań chrześcijaństwa, są głównemi rysami, które upiękniają to malowidło. Żałować potrzeba, że te dwa najpiękniéjsze obrazy, najwięcéj zostały uszkodzone przez wilgoć: koloryt ich już znacznie zepsuty, niknie coraz bardziéj; a tak, ta praca, co wieki przeżyć miała, co mogła być najlepszym pomnikiem sławy naszego malarza, zniknie wkrótce, i śladu nawet nie zostawując po sobie.

W bocznéj kaplicy, znajdują się w złotéj oprawie, cząstki drzewa krzyża świętego, złożone od Emeryka, które Cesarz wschodni

posłał był Ojcu jego za wielki upominek, a te (*jako Kromer pisze*), za najpiękniéjszą ozdobę nosił na sobie.

Za czasów Bartłomieja Paprockiego, tego zasłużonego heraldyka, były tu nagrobki Oleśnickiego z XV wieku. H: Jabłoński mówi w opisie Święto-Krzyskiéj Góry, który wydał pod napisem w r. 1735 «*Drzewo żywota z Raju*» że tu miał grobowiec Jeremi Wiśniowiecki, ojciec króla Michała, zwycięzca Tatarów, równie jak Wespazyjan Kochowski, znakomity poeta i historyk (b). Był tu bowiem od dawna grób rodziny Kochowskich. Wespazyjan poeta, w księdze piérwszéj swoich *Fraszek*, wspomina w następnych słowach, o grobie tu przodków swoich:

«*Najpewniéjsze dziedzictwo, niestracone włości,*
Grób ten sobie budując, i swéj potomności
Tomasz Sarna z Kochowa: *pragnął, by pobliżu*
U nóg Jezusa leżał, tuż przy jego krzyżu.
Ustępuj Magdaleno, ustępuj nam cugu,
Że przy tych nogach leżąc, wypłacim się z długu.»

Lecz teraz nadaremnie tych pamiątek poszukiwać, śladu nawet nie zostało, zniszczy-

ły je napady nieprzyjaciół, od których i at świątynia Boża, wolną nie była. Za Bolesława Wstydliwego w r. 1260, kościół ten uważany jako skład bogactw, i przytułek ludzi w czasie trwogi i niebezpieczeństwa, od Tatarów był złupiony i zniszczony. (*Kronika M. Bielskiego*). Niczego tam horda dzika, nie szanowała, ani płci, ani zgrzybiałéj starości, ani niemowlęcego wieku: wszystko krwią zbroczono, wszystko napełniono morderstwem, którego ciosy niekiedy, wstrzymywała wyuzdana rozpusta. Daremnie nieszczęśliwi u stopni ołtarza szukali schronienia, i tam śmierć okropną znajdowali: kapłani razem ze wszystkiemi,co w téj świątyni obiecywali sobie przytułek i ochronę, padli pod krwawem żelazem łupieżców, a kościół sam, został zburzony. Podobnyż los spotkał go w r. 1370, za Ludwika, od Litwinów, pod wodzą Kejstustuta i Olgierda książąt Litewskich, którzy pustosząc ziemię *Sendomiérską*, odarli ten kościół z bogatych sprzętów i skarbów. Długosz pisze, że gdy ładowne wozy ze zdoby-

czą stanęły nad granicą, jeden z nich zastanowiwszy się nagle, żadnym sposobem ruszyć się nie dał, lubo do niego mnóstwo koni i wołów zaprzężono. Zadziwieni poganie takowém zdarzeniem, nie mogli wiedzieć przyczyny: alić jeden z towarzyszących wajdelotów, ostrzegł książąt, iż się na téj kolasie, musiał znajdować *Krzyż-Lacki* (drzewo krzyża Śgo), który z kościoła Łyso-górskiego zabrano. Przetrząśnięty wóz, ukazał prawdę téj powieści, i dał świadectwo cudowi. Przywołany natychmiast jeden z brańców polskich,nazwiskiem *Chorobal*, otrzymał wolność, z rozkazem, aby to święte drzewo odniósł, z uszanowaniem na dawne miéjsce, co gdy uczyniono, wóz się ruszył i poszedł daléj.

Nie minęło lat kilkanaście, gdy znowu napadł ten kościół oddział Litwinów, pod dowództwem Dowojny. Zdobyli bogate łupy, bo każdy, w czasie takich napadów, chronił się do świątyni z majątkiem, w nadziei, że święte miéjsce, będzie uszanowanem. Zabrał

tam Dowojna w niewolą znaczną ilość więźniów, między któremi była piękna i bogata polka *Atlejda*, herbu Habdank, co Bogu poślubiła czystość. Pomiędzy łupami zawiezionemi do Wilna, miała się znajdować sztuka drzewa krzyża Śgo. Ktokolwiek dotknął się tego składu zdobyczy, gdzie się on znajdował, padał martwy na ziemię. Przerażony Jagiełło, nie wiedział co czynić: pobożna branka, radziła odwieść go z winną czcią na miéjsce. Wysłany z nim Dowojna, w towarzystwie Atlejdy, korzystał z téj sposobności, prosząc o rękę córki Habdanka, którą przez czas niewoli chował uczciwie: otrzymał ją, i chrzest przyjąwszy, wrócił z żoną do Litwy (c).

Spokojny był kościół *Święto-Krzyzki*, od strony Litwy, gdy Jagiełło poślubiwszy Jadwigę, połączył te dwa narody razem. Odtąd, pod panowaniem Jagiellonów, używał pokoju: lecz późniéjsze klęski, zarówno dzielił, i dla tego, żadnego zabytku starożytności nie zachował, prócz miéjsca i wspomnień.

Roku 1655 Szwedzi wpadli, klasztor opanowali, męczyli kapłanów, by skarby odkryć, lecz tych nie zabrali: ciż sami w roku 1704 i 1716 kościół ten zniszczyli.

Klasztor ten, w pośród skał i lasów, przez Bolesława Chrobrego, między rokiem 1008-1009 założony (d), inni mniemają, i nawet podania miéjscowe niosą, że Mieczysław I. piérwéj wystawił tu kościół z Modrzewia, na szczycie góry *Łyséj*. Przeor tutejszego klasztoru, pokazywał mi mały smętarzyk, otoczony parkanem w pobliżu kościoła, utrzymując, że to jest właściwie miéjsce, gdzie w pogaństwie wznosiła się świątynia bożyszczom *Lelum-Polelum*, i gdzie po przyjęciu wiary, na zwaliskach tamtéj bóżnicy, Mieczysław założył drewniany kościołek, i osadził Benedyktynów, dodając, że szczątki modrzewiów, opiérając się przeszło dziewięciu wiekom, dotąd znajdują się jeszcze.

Lubo o oznaczeniu z pewnością miéjsca, słusznie wątpić można; dziejopisowie podają przecież, iż stała na wiérzchołku *Łyséj-góry*,

którą lud miéjscem schadzek czarownic, na uczty i biesiady, uważa. Jabłoński (e) pisze, że tu był warowny murowany zamek, za czasów pogańskich *Łysiec* zwany, a przy nim świątynia bałwochwalska, że w nim mieszkała pani można: ta poraziwszy pod tą górą nieprzyjaciół pogranicznych, wbiła się w dumę, i czcić się za boginią kazała. Ale Bóg skarał jéj dumę, i piorunem zniszczył zamek, i jéj pałac, z których rozwaliska dotąd widoczne. Tu Polacy *(mówi daléj Jabłoński)*, wystawili świątynią, i 1go Maja na tę górę, schodząc, kłaniali się bożyszczom, i ofiary palili.

Andrzéj Krzycki pisze, że jak od przodków słyszał, trzem bogom była ona poświęcona: »*Pogodzie*, *Pogwizdowi i Ładzie*:« ta miała być matką *Lelum-Polelum*, i stąd była piosnka staroświecka:

»*Lada*, *Lada! Illeli*, *Illeli! Poleli* (f).

Schodząc na powrót do miasteczka *Słupi* od strony kościoła, jest zaczęta droga murowana obszerna, ze zwalisk i rumowisk okry-

wających tę górę: małą tylko cząstkę jéj dokonano, i od lat kilkudziesiąt nie powiększa się wcale. Tak więc, pozostały drożyny kamieniste i niewygodne, które wędrowiec przebywać musi, chcąc dostać się na szczyt góry, gdzie stoi klasztor i kościół Śgo Krzyża.

Bawiąc przez dni kilka w miasteczku *Słupi*, przyglądałem się nie raz z zachwyceniem wspaniałemu widokowi gór i klasztoru, przy bladém świetle księżyca. Wśród pogodnéj nocy, wdzierałem się na szczyt góry, i większą część nocy, tam przemarzyłem. Jaka cisza! bliższy nieba, zdaje mi się że jaśniéjszą twarz księżyca oglądam, czuję radość niewymowną, że stoję w chmurach! Wczoraj rano, to miéjsce, gdym poglądał z miasteczka, chmury oczom moim zakrywały. Wdziéram się wyżéj, rzucam oczyma na dolinę, tam wszystko milczy, śpią ludzie: gdzie niegdzie jaśnieją ogniska pasterzy, i czasem psa szczekanie zakłóci ciszę. Jak wzrok zasięgnie wśród jasnéj nocy; wzgórza, doliny, i mniéjsze góry, wszystko się wyrównywa przedsta-

wiając gładką równinę. A las ciemny, ogromny, nieprzejrzany, »*ten cud natury*,» jak W. Kochowski nazywa, wszystko co zajrzę, wieńcem okola. Nie dziwię się, że wyobraźnia gminu, ogłosiła za miejsce schadzek czarodziejskich istot, te góry i lasy ponure, które cudowne widoki, przedstawiają naszym oczom. Na szczycie wyniosłéj góry, co od stóp samych do wierzchołka, zakryta ogromnemi bukami i jodłami, wznosi się wspaniała, samotna świątynia. Chmury w przechodzie, ocierając mury kościoła, prawdziwie czarodziejskie wystawiają obrazy: zdaje się, spoglądając wtedy, że chmury, to jak olbrzymy zagarniają w objęcia swoje tysiące drzew wzniosłych; to jakoby potwory straszliwe, chwieją się na szczycie stroméj góry; to znowu nakształt dziewicy, w lekką osłonionéj szatę, spływają z nadpowietrznych szlaków, i kryją się w ponurych cieniach lasu. Tu jak zbrojny rycérz w hełmie i z tarczą, podobny do nocnego widma w Ossyjanie, przesuwa się zwolna, staje, i jak mgła

niknie. Do tego szum liści i drzew rożnych, szmer rozlicznych strumieni spadających na dolinę z szelestem, odgłos przerywany puszczyka towarzysza nocy, powiększają te złudzenia, i przywodzą na pamięć obraz *nocy Mathissona:*

Mrok posępny, mrok ponury,
Szczyt olbrzymiéj zaćmił góry:
Między smutnie brzmiącą trzciną,
Szeleszczące zdroje płyną.
Pasterskiego blask ogniska,
Z po za ciemnych lasów błyska,
Bladą światłość lejąc z siebie,
Jako lampa przy pogrzebie!
Już się nocny ptak nieśmiały,
Drżącym lotem wzbił nad skały:
I na szczycie drzew zielonym,
Noc, płaczliwym budzi tonem:
W długie wiążąc się łańcuchy,
We mgle ciche tańczą duchy:
Przy świetlika mdłych połyskach,
Po mogiłach, po zwaliskach.

(Przekład A. E. Odyńca).

Bard Szkocki, widziałby tu swoich przodków i poległych braci, co po śmierci zstępując z krain innego świata, ukazują się potomkom. Śpiéwak Skandynawii, witałby podobnież zmarłych, co w zwodniczych postaciach, schodzą z pałacu Odina. Nasz lud, różniący się wyobraźnią, mając inne podania, inne utworzył stąd istoty. Zamiast dziewiczéj piękności, co we śnie ukazuje się kochankowi: zamiast cienia poległego przyjaciela, co ostrzega o grożącém niebezpieczeństwie: widzi brzydkie wiédmy i czarownice, co na łopatach i miotłach, unosząc się w powietrzu szybkością błyskawicy, we czwartek po nowiu księżyca, zlatują na uczty, i biesiady swoje.

Błądzą w tych górach i ciemnych lasach, duchy i potępieńcy. Zstępując przed parą dniami z poblizkiéj klasztorowi góry, zaskoczeni zostaliśmy nocą, przewodnik świadomy jednak szedł śmiało naprzód, zachęcając do prędszego pochodu: nagle stanął, a obracając się w lewo: »Tu *(rzekł cicho)*, naj-

przód się przeżegnajcie, a potém ostrożnie za mną.« Nie zupełnie dowierzając, sięgnąłem za pistolet, nie mogąc odgadnąć com słyszał. Gdyśmy zeszli na dolinę, spytałem wieśniaka, co znaczyły jego słowa. »Widać, żeście cudzy! w tych miéjscach zawsze przebywa potępieniec, a często słyszéć go można, oto i teraz, uciszcie się...«

I położył palec na ustach, a w tém odgłos podobny do szmeru spadającego strumienia, odbił się o uszy.

—»To widzita, modli się teraz, i ciężko wzdycha i płacze, bo téż ciężkie jego grzéchy.«

I cóż zawinił? zapytałem ciekawy.

—»Oto święta nie święcił, gdy inni modlili się w kościele, to on robił, lub wziąwszy strzelbę, chodził podczas mszy świętéj po lesie i strzelał zwierzynę: dla tego cierpi, i jako za żywota swego, tak i teraz ugania się za ptakami i zwierzem, których złapać nie może.«

Nie jednemu z myśliwych dał się widzieć: my sami, kiedyśmy wyszli na zające, tośmy go widzieli, jak nad głową leciał, odtąd nic zabić z swojéj nie mogliśmy strzelby, i musielim *krakowskim targiem*, zbyć za połowicę.

PRZYPISY.

(a) Długosz, założenie tego klasztoru, przypisuje prośbom Emeryka króla Węgierskiego, lecz podług Naruszewicza, opierającego swe zdanie na historyi Węgierskiéj *Praya*; Emeryk urodzony r. 1007, był natenczas jeszcze w pieluchach.

(b) W czasie zamieszek w kraju, złożono tu zwłoki przewiezione z rodzinnego grobu Jeremi Wiśniowieckiego, z tym napisem:

«Hieremias Cosacorum terror, Dux et Princeps Visnioviecius, Michäelis Primi Regis Poloniæ progenitor ab A. D. 1653 depositus.»

(c) Kronika M. Stryjkowskiego Ed: Warszawska 1666 r. str. 435. Jest to ten sam Dowojna, który tak znakomitą gra rolę, w romansie historycznym F. Bernatowicza: «*Pojata córka Lezdejki, albo Litwini w XIV wieku,*» gdzie w osobie Heleny, Atlejda jest wystawiona.

(d) Tygodnik Wileński T. 1.

(e) Hijacynta Jabłońskiego: «Drzewo żywota z Raju 1735.

(f) Jabłoński pisze, że w r. 1686 przed drzwiami kościoła, kując w boku skały, znaleziono łożysko, w którym był posąg bożyszcza, węglami osypany.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

Spis przedmiotów.

W TOMIE III. ZAWARTYCH.

